

Piękna i sugestywna.
Gorąco polecam.
— Rick Riordan

TA, KTÓRA STAŁA SIĘ SŁOŃCEM



Shelley Parker-Chan

Wspaniała pod każdym względem. — Samantha Shannon

Węźcie tę dziewczuchę! – rzucił ojciec ponad jej głowę.

W pierwszej chwili jego słowa były zupełnie pozbawione sensu. Zaraz potem błyskawicznie go nabrały. Wszyscy w rodzinie nazywali ją nieużytką, lecz ojciec wreszcie znalazł dla niej zastosowanie – stała się przedmiotem, którego można było użyć z korzyścią dla członków rodziny mających prawdziwą wartość. Zdjęta przerażeniem, spojrzała na bandytów. Do czego mogła im się przydać?

– Co? Tego małego, czarnego świerszcza? – syknął bandyta z pogardą, jakby wtórując jej myśłom. – Lepsza byłaby jakaś z pięć lat starsza... I ładniejsza... – Urwał i wybuchnął tubalnym śmiechem. Nagle zrozumiał. – Och, wujku! Czyli to prawda, co wy, chłopci, robicie, kiedy los was naprawdę przy-ciśnie...

Otumaniona niedowierzaniem dziewczynka przypomniała sobie szepty, jakimi z przyjemnością wymieniały się miejscowe dzieci. Podobno w innych wioskach, tam, gdzie głód był jeszcze bardziej straszliwy, sąsiedzi wymieniali się najmłodszymi pociechami i je zjadali.

TA, KTÓRA STAŁA SIĘ SŁOŃCEM

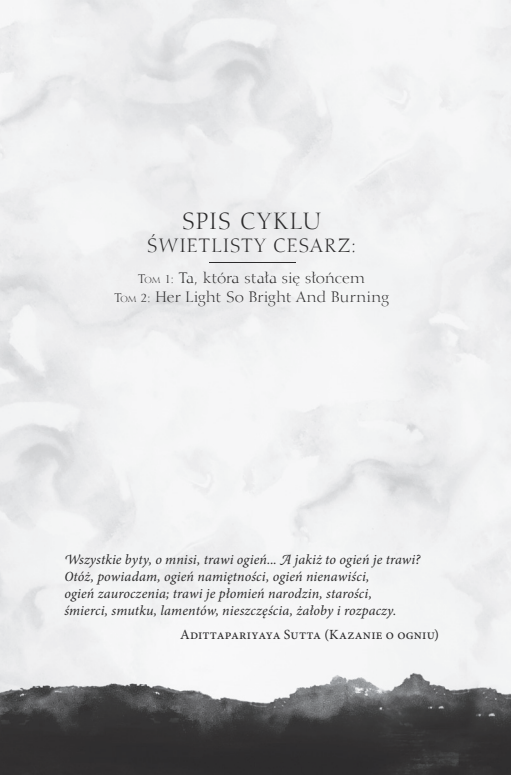


Shelley Parker-Chan

Przełożył Grzegorz Komerski
Ilustracje Przemysław Truściński

fabryka słów®

Lublin – Warszawa



SPIS CYKLU ŚWIETLISTY CESARZ:

TOM 1: Ta, która stała się słońcem

TOM 2: Her Light So Bright And Burning

*Wszystkie byty, o mnisi, trawi ogień... A jakiż to ogień je trawi?
Otóż, powiadam, ogień namiętności, ogień nienawiści,
ogień zauroczenia; trawi je płomień narodzin, starości,
śmierci, smutku, lamentów, nieszczęścia, żaloby i rozpaczy.*

ADITTAPARIYAYA SUTTA (KAZANIE O OGNIU)



CZĘŚĆ
PIERWSZA

1345–1354



Nizina rzeki Huai He,
południowa część prowincji Henan, 1345

Wieś Zhongli leżała w słońcu smętnie niczym zrezygnowany pies, któremu zbrakło sił, by dłużej szukać cienia. Wokół nie było nic z wyjątkiem nagiej żółtej ziemi, pokrytej pęknięciami tworzącymi deseń podobny do tego, jaki znaczą żółwiowe skorupy. W powietrzu snuła się jałowa, kościana woń rozgrzanego kurzu. Susza trwała czwarty rok. Chłopi dobrze znali przyczynę swych cierpień i dzień w dzień przeklinali barbarzyńskiego władcę rezydującego w odległej północnej stolicy. Wszystkie byty powiązane w pary niewidzialnymi nićmi energii qi oddziałują na siebie także na odległość. Za sprawą tego właśnie mechanizmu prawość cesarza wpływała na losy poddanej jego władaniu dziedziny. Na ziemi monarchów o sercach pełnych cnót spływa łaska bogatych plonów, a krainy niegodziwców zmagają się z nieustannymi powodziami, nieurodzajem i zarazą. Obecny samodzierżca Cesarstwa Wielkich Yuanów nosił nie tylko tytuł cesarza, lecz również wielkiego chana: był

dziesiątym z kolei mongolskim władcą od czasów zdobywcy Kubilaj-chana, który siedem dekad wcześniej rozbił armie ostatniej miejscowej dynastii. Boskie światło mandatu niebios posiadał jedenaście lat temu i już teraz chodziły po świecie dziesięcioletnie dzieci, które nie zaznały w życiu niczego poza biedą i nieszczęściem.

Druga córka rodziny Zhu, która w owym suchym roku koguta liczyła sobie mniej więcej właśnie dziesięć lat, szła za zgrają wioskowych chłopców w stronę pola zmarłego sąsiada i rozmyślała o jedzeniu. Jej czoło było niezwykle szerokie. Nie miała krągłych policzków, które sprawiają, że dziecięce twarzyczki wydają się tak urocze. Przypominała obdarzoną chudymi żuwaczkami szarańczę. I podobnie jak ten owad myślała o jedzeniu bez przerwy. Wychowała się na monotonnej chłopskiej diecie, a jej podejrzenia, że istniały gdzieś lepsze przysmaki, ograniczały się jedynie do wymiaru ilościowego. W tej chwili zaprzętała ją na przykład wizja gotowanego na wodzie kleiku z prosa. Mocą fantazji wypełniała nim miskę po brzegi. Oczyma duszy widziała formującą się na wierzchu wypukłą, napiętą skórę. Stawiając kolejne kroki w ślad za chłopakami, zastanawiała się ze zmysłowym, sennym niepokojem, w jaki sposób mogłaby zaczerpnąć pierwszą łyżkę kleiku tak, by nie uронić ani kropli. Wbić od góry, wtedy kasha mogłaby przelać się bokami, czy raczej z boku, co praktycznie gwarantowało katastrofę? Ruchem zdecydowanym czy też łagodnym? Wymagalinowany posiłek zaabsorbował ją do tego stopnia, że ledwie odnotowała przypominający cykanie świerszcza dźwięk łopaty mijanego po drodze grabarza.

Pierwsze kroki na polu dziewczynka skierowała prosto ku szeregowi bezgłowych wiązów rosnących na przeciwnym skraju. Dawniej były to przepiękne drzewa, lecz wspominała ich urodę bez nostalgii. Kiedy zbiory zawiodły po raz trzeci z rzędu, chłopci odkryli, iż pełne wdzięku wiązy można za-

bić i zjeść tak samo jak dowolną inną żywą istotę. Myśl warta zachowania w pamięci, stwierdziła w duchu dziewczynka. Sześciokrotnie gotowany korzeń wiązu zmieniał się w ponurą, brązową, gorzkawą substancję, której spożycie wywoływało lekkie nudności i pozostawiało w poranionym wnętrzu policków mgliste wspomnienie posiłku. Było też coś lepszego – mączka ze zmielonej kory zarobiona z wodą i drobno siekaną słomą, formowana w placuszki, które smażyło się na wolnym ogniu. Obecnie jednak wiązy były do cna ogołocone z jadalnych części i interesowały jedynie wioskową dzieciarnię ze względu na fakt, iż zapewniały schronienie myszom, konikom polnym i innym podobnym frykasom.

Pewnego dnia druga córka rodziny Zhu nie mogła sobie przypomnieć, kiedy dokładnie okazała się ostatnią dziewczynką we wsi. Nie było w tym nic przyjemnego i wołała się nad sprawą zbyt długo nie zastanawiać. Zresztą wcale nie musiała – była świadoma, jak do tego doszło. Jeżeli dana rodzina miała syna, córkę i dwa kęsy jedzenia, to kto marnowałby pożywienie na córkę? No chyba że byłaby to córka wyjątkowo z jakiegoś powodu przydatna. Dziewczynka zdawała sobie jednak sprawę, że nie jest bardziej pożyteczna od tych, które były już martwe. W dodatku była od nich brzydsza. Ściągnęła wargi i kucnęła przy najbliższym pniaku. Podstawowa różnica między nią a tamtymi dotyczyła faktu, iż ona nauczyła się samodzielnie łapać jedzenie. Z pozoru drobiazg, a jednak sprawił, że jej los potoczył się zupełnie inaczej.

Wtem chłopcy, którzy wybiegli naprzód, by zająć najlepsze łowiska, zaczęli pokrzykiwać. Zlokalizowali ukrytą w dziupli zwierzynę i próbowali ją wywabić, dłubiąc i uderzając w martwy wiąz patykami, mimo długiej historii niepowodzeń polowań z wykorzystaniem tej metody. Dziewczynka wyczuła sprzyjający moment i sięgnęła po schowaną w suchej trawie pułapkę. Palce miała zwinne od najmłodszych lat,

a dawniej, w czasach, gdy tego rodzaju talenty miały jeszcze znaczenie, plecione przez nią koszyki zdobywały we wsi powszechne uznanie. Dzisiaj w samodzielnie uplecioną pułapkę wpadła zdobycz, której pozazdrościłby każdy: długa na całe przedramię jaszczurka. Widok tego stworzenia z miejsca przegnał wszelkie fantazje o rozgotowanych nasionach prosa. Dziewczynka trzasnęła głową gada o kamień i przytrzymując jaszczurkę między kolanami, sprawdziła resztę pułapek. Kiedy znalazła garść świerszczy, aż zastygła. Na myśl o charakterystycznym orzechowym smaku i chrupaniu w ustach dostała ślinotoku. Otrząsnęła się, zawinęła owady w szmatkę i schowała do kieszeni na później.

Zastawiła pułapki ponownie i wyprostowała się. Ponad przecinającym wzgórze za wioską traktem unosił się tuman lessowego pyłu. Widoczne pod sztandarami – błękitnymi jak płomienie dzierzzonego przez mongolskich władców mandatu niebios – skórzane zbroje żołnierzy zlewały się w ciemną rzekę przebijającą się przez kurz na południe. Mieszkańcy równin nad Huai He doskonale znali armię księcia Henanu, mongolskiego arystokraty odpowiedzialnego za dławienie chłopskich powstań, które w ciągu ostatnich dziesięciu lat wybuchały w regionie już kilka razy. Każdej jesieni wojska książęce maszerowały na południe i co wiosna, z kalendaryzową regularnością, powracały do garnizonów na północy prowincji. Żołnierze nigdy nie zbliżali się do Zhongli bardziej niż dzisiaj i żaden z wieśniaków nigdy nie podchodził bliżej do oddziałów przelewających się po burym wzgórzu. Metalowe elementy pancerzy odbijały promienie słońca, przez co ciemne wody ludzkiej rzeki skrzyły się złotymi refleksami. Widok do tego stopnia nie przystawał do życia dziewczynki, że wydawał się jedynie częściowo rzeczywisty, podobnie jak żałobne wołanie gęsi, których klucz sunął właśnie wysoko na niebie. Wyglądiała, stłamszona przez słońce, szybko stra-

ciła zainteresowanie zbrojnymi. Ścisnęła jaszczurkę w garści i ruszyła z powrotem do domu.



W południe dziewczynka wzięła cebrzyk, koromysło i poszła do studni po wodę. Wróciła cała złana potem. Wiadro z dnia na dzień ważyło coraz więcej. Wyciągała z dna studni mniej wody, za to więcej ochrowego blocka. Ziemia nie chciała oddać ich jedzeniem, lecz wydawała się gotowa oddać kawałek po kawałku samą siebie. Dziewczynka przypomniawszy sobie, że niektórzy wieśniacy próbowali jeść placki z błota. Wspomnienie wzbudziło w niej przypływ współczucia. Kto nie robi wszystkiego, byle tylko uśmierzyć ból pustego żołądka? Nie wykluczone, że błoto skusiłoby liczniejszą grupę, lecz kończyły i brzuchy pierwszych śmiałków napuchły, a potem wszyscy pomarli, co zostało przez sąsiadów skrupulatnie odnotowane.

Rodzina Zhu zajmowała jednoizbową drewnianą chatę, zbudowaną jeszcze w czasach, kiedy drzew było pod dostatkiem. Tak dawno temu, iż dziewczynka tego nie pamiętała. Czteroletnia susza sprawiła, że deski w ścianach zaczęły się rozszczepiać i wyginać, przez co wewnątrz było równie przewiewnie jak na polach. Szpary nie stanowiły wszakże większego problemu, ponieważ i tak nigdy nie padało. Kiedyś dom zamieszkiwało więcej osób: dziadkowie ze strony ojca, oboje rodzice i siódemka dzieci. Z każdym suchym rokiem kogoś jednak ubywało i teraz zostało ich troje: dziewczynka, jej starszy brat Zhu Chongba oraz ojciec.

Jedenastoletni Chongba od urodzenia był ulubieńcem wszystkich, ponieważ miał to szczęście, że urodził się jako ósmy chłopiec w swoim pokoleniu. Teraz, kiedy ostał się przy życiu tylko on, było tym bardziej jasne, że niebiosy uśmiechają się do niego wyjątkowo serdecznie.

Dziewczynka zataszczyła cebrzyk do kuchni, urządzonej w otwartej przybudówce, składającej się z chwiejnej półki i daszku z hakiem do zawieszania naczyń nad ogniem. Na półce czekał kociołek i dwa gliniane dzbany żółtej fasoli. Z białego w ścianę gwoźdźcia zwisał stary ochłap, wszystko, co zostało z pociągowego bawołu ojca.

Dziewczynka sięgnęła po mięso i natarła nim wewnątrz kociołka. Matka zawsze tak robiła, by nadać zupie nieco smaku. Osobiście dziewczynka uważała, że z równym powodzeniem można oczekiwać, iż gotowane siodło nabierze aromatu soczystej pieczeni. Zdjęła spódnicę, nakryła nią kociołek i nalała do środka wody z cebrzyka. Po chwili zdrapała z tkaniny okrągły placek błotnistej mazi i założyła spódnicę z powrotem. Ubrania i tak nie mogła zabrudzić bardziej, za to woda w kotle była teraz wolna od piachu.

Kiedy dziewczynka rozpałała ogień, w obejściu pojawił się ojciec. Przyjrzała mu się z cienia przybudówki. Był jednym z tych ludzi, których oczy wyglądają po prostu jak oczy, a nos jak nos. Nijako. Głód ciasno napiął mu skórę na twarzy, z kości policzkowych wyciągały się ku podbródkowi gładkie, jednolite płyty. Dziewczynka zastanawiała się czasami, czy ojciec nie jest przypadkiem mężczyzną młodym lub przynajmniej niezbyt starym. Naprawdę trudno było powiedzieć.

Nióśł pod pachą niewielkiego zimowego melona, o przesuszanej białej skórce pokrytej piachem. Owoc przeczekał ukryty pod ziemią prawie dwa lata. Dziewczynkę zaskoczyło malujące się na twarzy ojca wzruszenie. Jeszcze nigdy nie widziała u niego takiej miny, lecz natychmiast zrozumiała, co się za nią kryło. To ostatni melon.

Ojciec przykucnął przy pieńku, na którym dawniej zabijali kurczaki, i złożył na nim owoc niczym ofiarę dla przodków. Wziął do ręki tasak i zawahał się. Dziewczynka wiedziała, o czym myślał. Otwarty melon szybko się psuje. Zalała ją

fala sprzecznych emocji. Przez kilka cudownych dni miałoby prawdziwe jedzenie. Zagotowało się w niej od wspomnień: doprawiona solą zupa na wieprzowych kościach, unoszące się na powierzchni oczka złocistego tłuszczu. Niemal galaretowaty miąższ melona, przezroczysty jak rybie ślepie, gładko ulegający naciskowi zębów. Zdawała sobie jednak sprawę, że potem zostanie im tylko żółta fasola. A kiedy zjedzą fasolę, nie będzie nic.

Tasak uderzył. Gdy po chwili ojciec wszedł pod daszek i wręczył córce kawałek melona, na jego twarzy nie widniał nawet ślad wzruszenia.

– Ugotuj to – rzucił zwięźle i wyszedł.

Dziewczynka obrała owoc i pokroiła twardy biały miąższ na cząstki. Zdążyła już zapomnieć, jak pachnie zimowy melon – воск i zieleń kwitnących wiązków. Przez chwilę zmagала się z pokusą wepchnięcia wszystkiego do ust. Miąższ, nasiona, nawet ta ostra skóra, wszystko to pobudziłoby jej język i doprowadziło każdy jego cal do nieopisanej ekstazy. Głośno przełknęła ślinę. Wiedziała, ile jest warta w oczach ojca, i rozumiała, z jakim ryzykiem wiązałaby się kradzież. Przecież nie wszystkie nieżyjące dziewczęta pomarły z głodu. Z żalem wrzuciła kawałki melona do kociołka, do którego trafiła też garść fasoli. Gotowała zupę tak długo, na ile starczyło jej opału, po czym sięgnęła po dwa złożone na pół płyty kory, chwyciła przez nie ucha kotła i zaniósła posiłek do domu.

Czekający na klepisku Chongba spojrział na siostrę. W odróżnieniu od oblicza siedzącego obok ojca, twarz chłopaka wręcz prosiła się o komentarz. Zadziorna szczęka i pomarszczone niczym skorupa orzecha czoło sprawiały, że był tak uderzająco brzydki, iż trudno było od niego oderwać wzrok.

Chongba zabrał dziewczynce łyżkę i nałożył zupę ojcu.

– Jedz, ba, proszę. – W następnej kolejności nalał sobie i siostrze.

Dziewczynka przyjrzała się zawartości miski i znalazła w niej tylko fasolę i wodę. Popatrzyła na brata bez słowa. Zająty jedzeniem, nic nie zauważył. Obojętnie wpakował sobie do ust częśćkę melona. Na jego twarzy nie było okrucieństwa, a jedynie ślepe, błogie zaspokojenie – mina człowieka bez reszty skupionego na sobie. Dziewczynka rozumiała, że podobnie jak rodzina tworzy podstawę wszechświata, tak ojcowie i synowie stanowią podstawę rodziny, wskutek czego ona mogła sobie marzyć do woli, a i tak nikt nie pozwoli jej skosztować melona. Rozumiała, lecz mimo wszystko ta świadomość bolała. Przełknęła łyżkę wywaru, który pozostawił w jej ciele ślad gorący jak węgielek z paleniska.

– Ba, prawie złapaliśmy dziś szczura, ale uciekł – powiedział Chongba z pełnymi ustami.

Prawie, powtórzyła w myślach dziewczynka, przypominając sobie ze wzgardą chłopców okładających pniak kijami.

Brat przeniósł na nią spojrzenie. Być może spodziewał się, że wyda im swój łup. Niech czeka.

– Wiem, że coś złapałaś – podjął po chwili bez ogródek. – Oddaj mi to.

Dziewczynka, nie podnosząc wzroku znad miski, wsunęła dłoń do kieszeni i wyjęła podrygujące lekko zawiniątko ze świerszczami. Podała je Chongbie. Węgielek w jej trzewiach zaczął pęcznieć.

– I to ma być wszystko, ty nieużyta dziewucho?

Podniosła głowę i spojrzała na brata tak ostro, że aż się wzdrygnął. Zaczął ją w ten sposób wyzywać całkiem niedawno, naśladował ojca. Żołądek miała zaciśnięty mocno jak pięść. Pomyślała o ukrytej w kuchni jaszczurce. Postanowiła, że wysuszy ją i zje potajemnie całą. Sama. I to wystarczy. Musi wystarczyć.

Dokończyli bez słowa. Gdy dziewczynka wylizała miszkę do czysta, ojciec z czcią złożył na prostym rodzinnym ołta-

rzyku dwie pestki melona: jedna miała wykarmić przodków, a druga zadowolić głodne, błakające się po świecie duchy nieposiadające potomków, którzy mogliby je wspominać.

Po chwili ojciec rozluźnił się i wstał.

– Przyjdzie taki dzień – zwrócił się do dzieci z cichą żądłością w głosie – kiedy przodkowie przyjdą nam z pomocą i położą kres cierpieniu. Jestem tego pewien.

Dziewczynka wiedziała, że ojciec ma rację. Był od niej starszy i wiedział dużo więcej. Gdy jednak próbowała wyobrazić sobie przyszłość, poniosła klęskę. Jej wyobrażenia nie miała czym zastąpić bezkształtnych, monotonnych dni głodówki. Dziewczynka trzymała się życia kurczowo, ponieważ wydawało się mieć pewną wartość, choćby dla niej samej. Kiedy jednak zaczynała się nad tym zastanawiać, nie rozumiała, po co to właściwie robi.



Dziewczynka i Chongba siedzieli na progu domu i gapili się apatycznie przed siebie. Jeden posiłek dziennie nie wystarczał dla zabicia czasu. Upał najbardziej dawał się we znaki późnym popołudniem, gdy słońce policzkowało wioskę na odlew, czerwone niczym mandat niebios ostatniego cesarza z rodziwej dynastii. Kiedy zachodziło, rozpoczynały się bezlitośnie duszne wieczory. W części wioski, w której znajdowała się chata rodziny Zhu, domy stały w pewnej odległości od siebie, rozdzielone szeroką bitą drogą. Nic się nie poruszało ani po tej drodze, ani gdziekolwiek w oddali. Chongba roztrzącał kopnięciami kurz i bawił się swoim buddyjskim amuletem. Dziewczynka spoglądała na wynurzający się spoza cienia odległych wzgórz sierp księżyca.

Kiedy w pewnej chwili zza domu wyszedł ojciec, rodzeństwo poczuło zaskoczenie. W dłoni trzymał kawałek melo-

na. Mimo że napoczęli go ledwie dziś rano, dziewczynka wychwyła w zapachu nutę zgnilizny.

– Wiesz, jakie mamy dziś święto? – Ojciec zwrócił się do Chongby.

W wiosce od lat nie obchodzono żadnego z licznie występujących w kalendarzu świąt.

– Święto Środka Jesieni? – zaryzykował po chwili chłopak.

Gdzie on ma oczy? Księżycy nie widzi? – zachnęła się w duchu dziewczynka.

– Drugi dzień dziewiątego miesiąca, Zhu Chongba – wyjaśnił ojciec. – W ten właśnie dzień przyszedłeś na świat, w roku świni. – Odwrócił się i ruszył przed siebie. – Chodź.

Chłopak poderwał się i potruchtał za ojcem. Chwilę potem ich śladem poszła dziewczynka.

Stojące wzdłuż drogi domy odcinały się czarnymi plamami od ciemniejącego nieba. Dawniej bała się wtedy chodzić po zmroku, ze względu na zdziczałe psy. Teraz jednak noc była pusta. Wieśniacy powtarzali co prawda, że zaludniają ją duchy, lecz ponieważ zjawy są równie niewidzialne jak oddech czy qi, trudno było stwierdzić, czy rzeczywiście krążą w pobliżu. Zdaniem dziewczynki oznaczało to, że nie warto się nimi przejmować – obawiała się wyłącznie tego, co mogła zobaczyć na własne oczy.

Kiedy zeszli z głównego traktu, ujrzała przed sobą małą plamkę światła, iskierkę podobną do tych, jakie czasem nie wiedzieć czemu rozpalają się pod powiekami. Dom wróżbiarza. Kiedy weszli do środka, domyśliła się powodu, dla którego ojciec otworzył melona.

Z miejsca rzuciła im się w oczy świeca. W Zhongli był to przedmiot spotykany tak rzadko, że jego blask zdawał się dziełem magii. Długi jak wyprostowana dłoń płomień kołysał się u wierzchołka niczym ogon węgorka. Piękny, lecz niepokojący. W rodzinnym domu dziewczynki światła nie pa-

liło się nigdy, więc nie zdawała sobie sprawy, jak czarna jest panująca na zewnątrz noc. Tutaj otaczał ich nieprzenikniony mrok, a świeca pozbawiała zdolności widzenia wszystkiego, co znajdowało się poza rozświetlonym kręgiem.

Jak dotąd dziewczynka widywała wróżbiarza jedynie z oddali. Teraz, przyglądając mu się z bliska, natychmiast doszła do ostatecznego wniosku, że jej ojciec nie jest stary. Wróżbiarz natomiast był tak sędziwy, że mógł nawet pamiętać czasy poprzedzające barbarzyńskich cesarzy. Z ciemniejącego na pomarszczonym policzku pieprzyka sterczał samotny czarny włos, dwakroć dłuższy od cienkiego, siwego zarostu. Nie potrafiła oderwać od niego wzroku.

– Czcigodny wujku! – Ojciec skłonił się i wręczył melona wróżbiarzowi. – Przyprowadziłem ósmego syna rodziny Zhu, Zhu Chongbę. Przychodzimy pod gwiazdami dnia jego narodzin. Czy zdradzisz nam, co jest mu przeznaczone? – spytał i pchnął syna naprzód.

Chłopak podszedł do starca ochoczo. Wróżbiarz ujął sękatymi dłońmi twarz Chongby i zaczął nią na wszystkie strony obracać. Ugniatał kciukami czoło i policzki, szacował rozmiary oczodołów i nosa, badał dotykiem kształt czaszki. Po chwili chwycił chłopca za przegub i zmierzył puls. Opuścił powieki, a na jego twarzy pojawił się surowy wyraz skupienia. Starzec wyglądał, jakby starał się odczytać wiadomość nadaną z oddali. Na skronie wystąpił mu pot.

Chwila zaczęła się dłużyć. Świeca przygasła i wydawało się, że czarna noc napiera coraz mocniej. Dziewczynka poczuła na plecach zimny dreszcz. Z niecierpliwości prawie nie mogła wysiedzieć.

Gdy wróżbiarz uwolnił wreszcie rękę Chongby, wszyscy niemal podskoczyli.

– Powiedz nam, czcigodny wujku – zachęcił ojciec. Starzec drgnął i podniósł spojrzenie.





– To dziecko ma w sobie wielkość – stwierdził roztrzęsiony. – Och, jak wyraźnie to zobaczyłem! Jego czyny przepelnia dumą serca setki przyszłych pokoleń waszego rodu. – Ku wielkiemu zdumieniu dziewczynki wróżbita wstał, podszedł i klęknął przed jej ojcem. – Zostałeś nagrodzony synem, którego przeznaczenie jest zaiste wspaniałe. Musiałeś w poprzednich żywotach być człowiekiem wielkiej cnoty. Panie, to zaszczyt, że mogłem cię poznać.

– Pamiętam dzień, kiedy ten chłopiec przyszedł na świat – odezwał się po chwili ojciec, patrząc z góry na starca. – Był zbyt słaby, żeby ssać pierś matki, więc wybrałem się na pielgrzymkę do klasztoru Wuhuang i złożyłem w intencji jego życia ofiarę. Trzy dynie i ważący dwadzieścia jinów worek żółtej fasoli. Obiecałem nawet mnichom, że jeżeli przeżyje, to kiedy skończy dwunasty rok życia, oddam go do klasztoru – wspominał łamiącym się głosem, zarazem radosnym i pełnym rozpaczy. – Wszyscy mówili, że jestem głupcem.

Wielkość. To słowo nie pasowało do Zhongli. Dziewczynka słyszała je dotąd jedynie w snutych przez ojca opowieściach z dawnych czasów. Z tej złocistej, tragicznej epoki sprzed najazdu barbarzyńców. Z dni cesarzy, królów i generałów. Znała je z legend o wojnie, zdradzie i zwycięstwach. A teraz okazało się, że wielkość przeznaczona jest Zhu Chongbie, jej zwyczajnemu bratu. Obejrzała się i zobaczyła, że jego paskudna twarz promienieje. Wiszący na szyi drewniany buddyjski amulet lśnił w blasku świecy złotem, sprawiając, że chłopiec wyglądał jak monarcha.

Gdy wychodzili, dziewczynka przystanęła na granicy mroku. Jakiś impuls kazał jej obejrzeć się na zalanego światłem starca. Nieśmiałym krokiem zawróciła i klękając, zgięła się przed nim w pas, aż dotknęła czołem klepiska, a jej nozdrza wypełnił martwy, kredowy zapach gleby.

– Czcigodny wujku! Czy powiesz, jaki los czeka mnie?

Bała się spojrzeć ku górze. Impuls, który ją tu przyprowadził, ten gorący węgiel w żołądku, znienacka ją opuścił. Serce kołatało w piersi dziewczynki niczym wylękniony królik. Wiedziała, że w tym biciu kryje się prawda o jej przeznaczeniu. Pomyślała o Chongbie, który nosił w sobie wielkość. Jakie to uczucie, zastanowiła się, mieć w sobie nasiona czegoś tak cudownego? Przyszło jej do głowy, że może i ona nosi w sobie zarodki wielkości, a nie dostrzegła ich dotąd jedynie dlatego, że nie wiedziała, na co zwrócić uwagę, nie umiała ich nazwać.

Wróżbita milczał. Dziewczynkę przebiegły ciarki. Obsypana gęsią skórą, skuliła się jeszcze bardziej, próbując uciec przed mrocznym dotykiem strachu. Płomień świecy wystrzelił ku górze.

Wtem jakby z bardzo daleka doleciał ją głos starca:

– Nicość.

Dziewczynka poczuła tępy, głęboko osadzony ból. A więc tego nosiła w sobie załączek, to było jej przeznaczone. Zrozumiała nagle, że wiedziała o tym od dawna, od urodzenia.

朱

Dni wlokły się naprzód. Pozostały rodzinie Zhu zapas żółtej fasoli kurczył się coraz bardziej, czerpana ze studni woda coraz mniej nadawała się do picia, a w plecione przez dziewczynkę sidła coraz rzadziej wpadały małe zwierzęta. Wielu mieszkańców wioski wyprawilo się traktem wiodącym wśród wzgórz na wędrowkę do klasztoru i dalej, mimo że wszyscy wiedzieli, iż zamieniają jedynie w ten sposób śmierć głodową na śmierć z ręki bandytów. Tylko ojciec sprawiał wrażenie człowieka, który odnalazł świeże źródło siły. Codziennie rano wychodził przed dom, stał pod różową, nieskałaną nawet jedną chmurą kopułą nieba i ogłaszał modlitewnym tonem:

– Deszcz nadejdzie. Potrzeba nam cierpliwości i wiary, a niebiosa pozwolą Zhu Chongbie dostąpić przeznaczonej mu wielkości.

Pewnego ranka dziewczynkę, śpiącą we wglębeniu w ziemi, które wraz z bratem wykopali sobie obok domu, zbudził jakiś hałas. Oszałamiające doznanie: zdążyli prawie zapomnieć, jak brzmią odgłosy życia. Kiedy wyszli na drogę, ujrzeli coś jeszcze bardziej zdumiewającego. Ruch. Zanim zdążyli się połapać, obok nich przemknęli niczym hucząca wichura mężczyźni na brudnych wierzchowcach, których potężne kopyta wzbijały tumany kurzu.

– Żołnierze? – spytał mały, złęczony Chongba, kiedy jeźdźcy zniknęli.

Dziewczynka milczała. Według niej ci ludzie nie byli częścią tej ciemnej, leniwej rzeki, pięknej, lecz zawsze odległej.

– Bandyci – odpowiedział stojący za ich plecami ojciec.



Po południu tego samego dnia trzech bandyci przeszli pod niskim, zapadniętym nadprożem domu rodziny Zhu. Dziewczynce, kulącej się z bratem na łóżku, wydawało się, że mężczyźni swoimi rozmiarami i kwaśnym fetorem wypełnili natychmiast całą izbę. W obszarpanych ubraniach ziały dziury, rozpuszczone włosy opadały skołtunionymi strąkami. Dziewczynka nigdy wcześniej nie widziała ludzi noszących buty.

Jej ojciec był na ewentualność takiej wizyty przygotowany. Wstał i podszedł do bandytów, niosąc w dłoniach gliniany dzbanek. Nikomu nie pokazał, co znajduje się w środku.

– Czcigodni goście, nie mamy wiele i nie jest to najwyższej jakości, ale weźcie, proszę, to, co mamy.

Jeden z bandytów odebrał naczynie, zajrzał do wnętrza i prychnął:

– Wujku, czemuś taki skąpy? To nie może być wszystko, co macie.

– Przysięgam, że wszystko. – Ojciec zeszytywniał. – Sami spójrzcie, moje dzieci mają nie więcej ciała niż chory kundel! Już od dawna karmimy się kamieniami, przyjacielu.

– Ach, nie kpij ze mnie! – Bandyta wybuchnął śmiechem. – Żyjesz przecież, więc nie możecie jeść samych kamieni. – Od niechcienia, niczym leniwy okrutny kocur, pchnął ojca, który zatoczył się w tył. – Wy, chłopcy, wszyscyście jednacy. Podsuwacie nam pod nos kurczaka i liczycie, że nie zauważymy schowanego w spiżarni spasionego świniaka! Już! Przynoś resztę, ty pizdo!

Ojciec odzyskał równowagę. Na jego twarzy zaszła dziwna przemiana. Zdumiewająco żwawym ruchem skoczył ku dzieciom, chwycił dziewczynkę za ramię i ściągnął z posłania. Zaskoczona krzyknęła. Ścisnął bardzo mocno. Zabolało.

– Weźcie tę dziewczuchę! – rzucił ojciec ponad jej głowę.

W pierwszej chwili jego słowa były zupełnie pozbawione sensu. Zaraz potem błyskawicznie go nabrały. Wszyscy w rodzinie nazywali ją nieużytą, lecz ojciec wreszcie znalazł dla niej zastosowanie – stała się przedmiotem, którego można było użyć z korzyścią dla członków rodziny mających prawdziwą wartość. Zdjęta przerażeniem, spojrzała na bandytów. Do czego mogła im się przydać?

– Co? Tego małego, czarnego świerszcza? – syknął bandyta z pogardą, jakby wtórując jej myślom. – Lepsza byłaby jakaś z pięć lat starsza... I ładniejsza... – Urwał i wybuchnął tubalnym śmiechem. Nagle zrozumiał. – Och, wujku! Czyli to prawda, co wy, chłopcy, robicie, kiedy los was naprawdę przycisnie...

Otumaniona niedowierzaniem dziewczynka przypomniała sobie szept, jakimi z przyjemnością wymieniały się miejscowe dzieci. Podobno w innych wioskach, tam, gdzie

głód był jeszcze bardziej straszliwy, sąsiedzi wymieniali się najmłodszymi pociechami i je zjadali. Opowiadając sobie o tym, maluchy dygotały ze strachu, lecz żadne tak naprawdę w te historie nie wierzyło. W końcu to tylko opowiadki.

Teraz jednak, widząc uciekające spojrzenie ojca, dziewczynka zrozumiała, że nie były to tylko opowiadki. Zaczęła się panicznie szamotać, lecz ojcowskie palce wbiły się w jej ciało mocniej i zapłakała tak gwałtownie, że ledwie mogła oddychać. W jednej przerażającej chwili uświadomiła sobie, co znaczy przeznaczona jej nicość. Do tej pory myślała, że chodzi po prostu o to, że będzie nieważna, że nigdy nie zrobi nic istotnego, że nie zostanie nikim liczącym się w świecie. Chodziło jednak o coś innego.

Nicość oznaczała śmierć.

Wiła się, płakała i wrzeszczała, lecz nie powstrzymało to bandyty, który podszedł i odebrał ją od ojca. Wydarła się jeszcze głośniejsze i nagle padła na łóżko z takim impetem, że straciła dech w piersiach. To bandyta ją rzucił.

– Jestem głodny, ale takiego śmiecia do ust nie wezmę – stwierdził pełnym odrazy głosem i uderzył ojca w brzuch. Coś miękko chlupnęło, mężczyzna zgiął się wpół. Oniemiała dziewczynka rozchyliła usta. Kulący się obok Chongba krzyknął.

– Tu jest więcej! – zawołał z kuchni inny bandyta. – Zakopali!

Ojciec osunął się na podłogę. Kopniak intruza trafił go tuż pod zębra.

– Myślałeś, że nas oszukasz, zakłamanym żółwi synu? Założę się, że masz tego więcej! Pewnie po całej chałupie pochowałeś! – Kopnął ojca ponownie. I jeszcze raz. – Gdzie? Mów!

Dziewczynka uświadomiła sobie, że odzyskała dech. Oboje z Chongbą błagali wrzaskami bandytę, by przestał. Każdy odgłos zderzającego się z ciałem ojca twardego buciora

napawał ją strachem i przepełniał bólem tak intensywnym, jakby to ją kopano. Tak, ojciec nie raz i nie dwa dawał jej do zrozumienia, że nie znaczy dla niego wiele, lecz był przecież ojcem. Nie sposób ustalić wartości długu, jaki dziecko zaciąga u rodziców, nie można go spłacić.

– Nie mamy więcej! – wyła dziewczynka. – Przestań, proszę! Nie mamy. Nie ma...

Bandzior kopnął ojca jeszcze kilka razy, po czym zastygł. Dziewczynka instynktownie wyczuła, że nie ma to nic wspólnego z jej krzykiem. Ojciec leżał nieruchomo. Bandyta przykucnął, chwycił pobitego za włosy i podniósł, odsłaniając pokryte krwawą pianą wargi i bladą twarz. Syknął z niesmakiem, a czaszka ojca stuknęła o podłogę.

Dwaj pozostali zbrojcy wrócili z drugim dzbankiem fasoli.

– Szeffie, to już chyba wszystko.

– Co, kurwa? Dwa dzbanki i już? Chyba naprawdę głodowali. – Herszt wzruszył ramionami i wyszedł. Jego kamraci ruszyli za nim.

Dziewczynka i Chongba, wtuleni w siebie, przerażeni i wyczerpani, wpatrywali się w leżącego na klepisku mężczyznę. Zakrwawione ciało było skulone jak dziecko w łonie matki. Ojciec opuścił ten świat w pełni przygotowany do reinkarnacji.



Noc po tym dniu była długa i pełna koszmarów. Jednak przebudzenie okazało się znacznie gorsze. Dziewczynka leżała na łóżku i patrzyła na zwłoki ojca. To jej przeznaczeniem była nicość i ojciec chciał, by je wypełniła, a teraz on sam stał się niczym. Dygocąc z poczucia winy, zrozumiała, że tak naprawdę nie zmieniło się nic. Bez ojca, bez jedzenia nicość wciąż na nią czyhała.

Dziewczynka zerknęła na Chongbę i drgnęła. Oczy miał otwarte, lecz niewidzące spojrzenie wlepił nieruchomo w strzechę. Prawie nie oddychał. Przez jedną pełną grozy chwilę myślała, że brat też nie żyje, lecz kiedy nim potrząsnęła, jęknął cicho i zamrugał. Poniewczasie uświadomiła sobie, że Chongba nie może umrzeć, martwy nie mógłby przecież dostać wielkości. Tak czy inaczej, przebywanie w jednej izbie z wydrążonymi skorupami dwóch innych ludzi, jedną żywą, drugą martwą, było najbardziej przerażającym i samotnym doświadczeniem, jakiego zaznała. Od urodzenia nieprzerwanie otaczali ją inni. Nigdy nawet nie wyobrażała sobie, jak może wyglądać samotność.

To Chongba, jako syn, powinien wypełnić ostatni obowiązek wobec rodziciela. Niemniej to dziewczynka chwyciła martwe dłonie i wyciągnęła zwłoki za próg. Ojciec był tak wychudzony, że podołała wyzwaniu. Ułożyła go za domem na żółtym kurzu, sięgnęła po motykę i zabrała się do kopania.

Wzeszło słońce i zaczęło przypiekać ziemię, dziewczynkę i wszystko inne, czego sięgały jego promienie. Motyka działała mozolnie jak erozja, ospale usuwając cienkie warstwy pylistej ziemi. Dziewczynka ryła niczym rzeka głębiąca skałę przez długie stulecia. Cienie skróciły się i ponownie wydłużyły; powiększała grób niemal niezauważalnie. W pewnym momencie dziewczynka zdała sobie sprawę, że jest głodna i spragniona. Porzuciła jamę i znalazła cebrzyk z resztką błotnistej wody. Zacerpnęła dłońmi, napiła się. Wzdrygając się z obrzydzenia, zjadła dziwnie smakujący czarny ochłap, którym nacierała kociołek, po czym weszła do chaty i przez długą chwilę przyglądała się dwóm suchym nasionom melona spoczywającym na ołtarzyku przodków. Pamiętała, co mówili ludzie o losie tych, którzy ważyli się zjeść ofiarę przeznaczoną duchom. Gniew zmarłych sprawiał, że świętokradcy chorowali i umierali. Tylko czy to prawda?

Dziewczynka nie słyszała, by coś podobnego spotkało kogokolwiek ze wsi, a skoro duchów nie można zobaczyć, to skąd pewność, co robiły w zemście? Stała tak, cierpiąc z niezdecydowania. Ostatecznie zostawiła nasiona na miejscu, wyszła na zewnątrz, pogrzebała w grządce, na której w zeszłym roku rosły orzechy ziemne, i wyszperała kilka zdrewniałych pędów.

Kiedy zjadła połowę, przyjrzała się reszcie, rozważając, czy powinna dać je Chongbie, czy może uznać, że niebiosy same o niego zadbają. Po chwili namysłu wyrzuty sumienia kazały jej podejść i zamachać pędami nad twarzą brata. Gdy je zobaczył, coś w nim zapłonęło. Wyraźnie widziała, jak usilnie stara się powrócić do życia, napędzany godnym króla oburzeniem i przekonaniem, że powinna była oddać mu wszystko. Zaraz potem jednak iskra zgasła, a oczy na powrót zapatrzyły się w nicość. Nie wiedziała, co to oznacza. Nie miała pojęcia, dlaczego chłopak tak leży, dlaczego nie pije i nie je.

Poszła za dom i zajęła się kopaniem.

O zachodzie słońca grób był głęboki jedynie do kolan, a ziemia na jego dnie wciąż miała tę samą jasnożółtą barwę jak na powierzchni. Dziewczynka była w pełni gotowa uwierzyć, że gleba wygląda identycznie także głębiej, że nie zmienia się aż po Żółte Źródła, gdzie mieszkają duchy. Ułożyła się w łóżku obok zeszytniałego Chongby i zasnęła. Rankiem oczy brata wciąż były otwarte. Nie była pewna, czy zbudził się przed nią, czy spędził w tym stanie całą noc. Kiedy nim potrząsnęła, zareagował przyspieszonym oddechem, lecz i to wydawało się czystym odruchem.

Ten dzień również spędziła na kopaniu, przerywając jedynie po to, by napić się wody i przeżuć pęd orzecha ziemnego. A Chongba wciąż leżał jak kłoda. Nie wykazał zainteresowania, nawet kiedy przyniosła mu wodę.

Trzeciego dnia zbudziła się jeszcze przed brzaskiem. Ogarnęło ją dojmujące poczucie samotności, głębsze i bardziej rozległe niż cokolwiek, czego w życiu zaznała. Miejsce obok było puste: Chongba zniknął. Znalazła go na zewnątrz. W blasku księżyca przypominał niewyraźną, bladą plamę rzuconą obok masy, która do niedawna była ich ojcem. Początkowo uznała, że brat śpi. Także kiedy klęknęła i dotknęła go, dopiero po dłuższej chwili zrozumiała, co się stało. Zajął jej to tyle czasu, bo nie miało to sensu. Chongba miał dostąpić wielkości. Miał przynieść dumę przyszłym pokoleniom ich rodziny. Tymczasem nie żył.

Dziewczynkę zaskoczył własny gniew. Niebiosa przyrzekły jej bratu życie na tyle długie, by mógł stać się wielkim człowiekiem, a on wyrzekł się tego życia z równą swobodą, z jaką kiedyś oddychał. Stał się niczym z własnego wyboru. Miała wielką ochotę na niego nawrzeszczeć. Jej nicość była przeznaczona od urodzenia. Jej nikt nie dał wyboru.

Kłęczała tak bardzo długo, aż błysk na szyi Chongby wreszcie zwrócił jej uwagę. Buddyjski amulet. Przypomniała sobie opowieść ojca o tym, jak wybrał się do klasztoru Wuhuang, by modlić się o życie syna, przypomniała sobie, jaką złożył tam obietnicę: w zamian za przeżycie Chongba miał zostać mnichem.

Klasztor, miejsce, w którym mogła znaleźć jedzenie, dach nad głową i bezpieczeństwo.

Ta myśl coś w niej rozbudziła. Świadomość życia: tej kruchoj, obdarzonej tajemniczą wartością rzeczy, której trzymała się kurczowo od bardzo dawna i wbrew wszystkiemu. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby z życia zrezygnować, nie potrafiła zrozumieć, jak Chongba mógł wybrać cokolwiek innego niż trwanie. Obrócenie się w nicość przerażało ją jak nic innego na świecie – bała się tego bardziej nawet niż głodu, bólu czy innego wynikającego z życia cierpienia.

Wyciągnęła rękę i pogładziła amulet. Chongba stał się niczym. Skoro skradł moje przeznaczenie i umarł... Może ja mogę ukraść jego los i żyć? – pomyślała.

Najbardziej na świecie obawiała się nicości, lecz to wcale nie uśmierzało obaw przed tym, co mogło ją spotkać w przyszłości. Dłonie trzęsły się tak bardzo, że odarcie trupa z odzienia zajęło jej długi czas. Zdjęła spódnicę i ubrała się w odebrane Chongbie spodnie i sięgający kolan kaftan. Dziewczęce koczek rozplotła i pozwoliła włosom opaść swobodnie, na chłopięcą modłę. Na koniec zdjęła z szyi brata amulet i założyła sobie.

Tak przygotowana wstała i zepchnęła oba ciała do grobu. Ojciec po raz ostatni otoczył syna ramieniem. Nielatwo było ich zasypać; żółta ziemia unosiła się nad jamą lśnącymi w blasku księżyca kłębam. Dziewczynka odłożyła motykę, wyprostowała grzbiet i nagle drgnęła z grozą. Po drugiej stronie mogiły stały nieruchomo dwie postacie.

To mogli być oni, wskrzeszeni do życia. W księżycowej poświacie naprawdę mogli stać jej ojciec i brat. Jednak wiedzona instynktem równie pewnym jak ten, który pozwala świeżo wyklutemu pisklęciu rozpoznać lisa, wyczuła straszną obecność istot, które nie należały – nie mogły należeć – do zwykłego, ludzkiego świata. Jej ciało skurczyło się, wypełnił je strach. Miała przed sobą umarłych.

Duchy ojca i brata wyglądały inaczej niż oni sami jeszcze za życia. Brązowa skóra pobladła i wyglądała niczym oprószona popiołem. Odziani byli w białe jak kość łachmany. Włosy ojca nie były splecione jak zwykle w kołyszący się na czubku głowy koczek, lecz spływały splecione na ramiona. Zjawy trwały w bezruchu; ich stopy nie w pełni dotykały ziemi. Puste oczy wpatrywały się w nicość. Spośród zastygłych warg płynął niezrozumiały, nieartykułowany szept.

Sparaliżowana strachem dziewczynka przyglądała się duchom. Noc była gorąca, lecz emanujący ze zjaw chłód wysysał z niej całe ciepło i życie. Przypomniała sobie mroczny, lodowaty dotyk nicości, jaki poczuła, gdy usłyszała o swym przeznaczeniu. Zadrżała, szczękając zębami. Co to mogło znaczyć, ta niespodziewana wizyta umarłych? Czyżby niebiosy przypominały w ten sposób, że powinna obrócić się w nicość?

Wciąż dygocąc, oderwała wreszcie spojrzenie od zjaw i przeniosła je na skrytą w cieniu wzgórz drogę. Nigdy w życiu nie wyobrażała sobie, że mogłaby opuścić Zhongli. Lecz taki los był przecież pisany Zhu Chongbie. Jego przeznaczeniem było przetrwać.

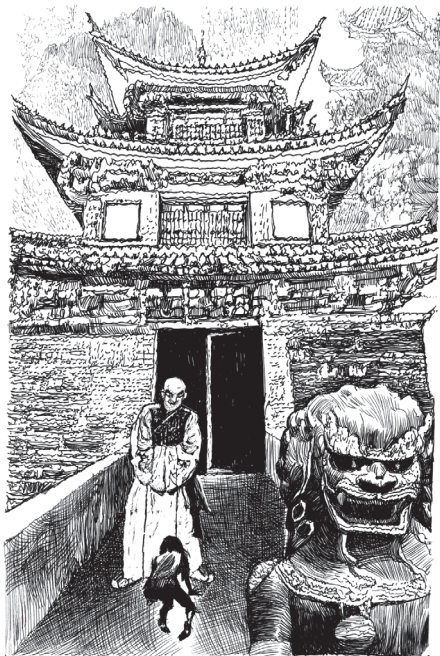
Powietrze ostygło jeszcze bardziej. Dziewczynka drgnęła, czując na sobie dotyk, zimny, lecz rzeczywisty. Łagodne, miękkie pacnięcie na skórze – wrażenie z dawna zapomniane, które rozpoznała teraz niczym w sennej mgiełce.

Zostawiła pustookie, mamrocące duchy na deszczu i ruszyła przed siebie.



Do klasztoru Wuhuang dotarła w słotny poranek. Kamienne miasto szybowало wśród chmur. Wysoko w górze na połyskliwych łukach zielonych dachówek igrały promienie słońca. Brama była zamknięta. Właśnie wtedy dziewczynka dowiedziała się, że złożona przed laty obietnica prostego chłopca nie znaczy nic. Stała się jednym z gęstego tłumu zrozpaczonych chłopców, tłoczących się u wrót klasztoru, proszących i błagających o przyjęcie.

Nastało już popołudnie, kiedy pojawili się mnisi w szarych jak chmury szatach i pokrzykując, kazali im się rozejść. Chłopcy, którzy spędzili pod murami całą ostatnią noc, a także ci, którzy już teraz zrozumieli, iż dalsze czekanie nic



im nie da, odeszli przygnębieni. Mnisi zabrali ciała tych, którzy pomarli, i ponownie zniknęli za zamkniętą bramą.

Została jedynie dziewczynka. Klęczała z czołem przyściśniętym do zimnego bruku. Pierwszą noc, potem drugą i trzecią. W deszczu i wzmagającym się chłodzie. Dryfowała. Chwilami, gdy nie była pewna, czy śni, czy pozostaje na jawie, wydawało jej się, że widzi kątem oka nagie kredowobiałe stopy. W momentach większej jasności umysłu, kiedy cierpiała najbardziej, kierowała myśli ku bratu. Gdyby Chongba nie zmarł, to on przybyłby do Wuhuangu i czekałby tutaj, tak samo jak czekała ona. A skoro była to próba, którą mógł przejść on – słaby, rozpieszczony Chongba, który wyrzekł się życia, gdy tylko strach zajrzał mu w oczy – mogła ją przetrwać i ona.

Mnisi, widząc tak wytrwałe dziecko, zdwoili skierowane przeciw niej wysiłki. Kiedy nie wskórali nic krzykiem i wyzwiskami, zaczęli ją bić. Zniosła wszystko. Jej ciało stało się skorupą, która pozwoliła przywrzeć do bruku, utrzymać się życia. Została. Miała już tylko to jedno.

Czwartego popołudnia z klasztoru wyszedł nowy mnich i stanął nad dziewczynką. Miał na sobie czerwoną, obszytą złotymi nićmi szatę, otaczała go aura władzy. Choć nie był jeszcze mężczyzną starym, skórę na twarzy miał zwiotczałą. W ostrym spojrzeniu próżno było szukać dobroćliwości, lecz dostrzegła w nim coś innego: zainteresowanie.

– A niech to, młodszy braciszku, uparty jesteś – przyznał tonem niechętnego podziwu. – Coś ty za jeden?

Dziewczynka klęczała już czwarty dzień, bez jedzenia, popijając jedynie deszczówkę. W tej chwili musiała przywołać ostatnie siły. Zrobiła to i chłopiec, który był dotąd drugą córką rodziny Zhu, odpowiedział głosem tak wyraźnym, że musiały go usłyszeć same niebiosy:

– Nazywam się Zhu Chongba.



2

Klasztor Wuhuang, południowa część prowincji Henan

Świeżo upieczonego nowicjusza Zhu Chongbę wyrwał ze snu huk tak poruszający, iż dziewczynka była przekonana, że pochodził z samego środka jej ciała. Ledwie otworzyła oczy, dobiegł ją ponownie, lecz tym razem odpowiedział mu dźwięk do tego stopnia czysty i donośny, że zawibrowały jej kości. Po drugiej stronie papierowego okna dormitorium zapłonęło światło.

Otoczające ją ciała były już w ruchu: chłopcy w spodniach i podkoszulkach na wyścigi narzucali chłopskie portki i kaptany, na które naciągali szare klasztorne płaszcze o szerokich rękawach, i pędzili do drzwi.

Przy akompaniamencie kłapania słomianych sandałów wypadli z sali, podobni do ławicy łysych ryb. Zhu biegła z tyłu, szata w popielatym kolorze płatała jej się między nogami. Aby stać się Chongbą, musiała biegać równie szybko, jak biegałby on, myśleć szybciej, niż myślałby on, i wyglądać tak, jak wyglądałby on. Była od pozostałych chłopców niższa,

lecz poza tym w obszernym stroju nie wyróżniała się niczym. Przeciągnęła dłonią po świeżo ogolonej głowie. Włosy miała tak krótkie, że nie dało się w nie wpleść palców, drażniły rękę niczym szorstka szczotka.

Biegli, a przyspieszone oddechy i uderzenia stóp dodawały własną melodię do łoskotu bębna. Gnająca za pozostałymi Zhu pomyślała, że nawet gdyby żywcem wstąpiła do niebiańskiego królestwa Nefrytowego Cesarza, nic nie wydałoby jej się bardziej dziwne. Przemierzali pograżony w mroku dziedziniec. Z przodu wznosił się wysoki budynek wsparty na czarnych belkach, wiszące pod złotymi okapami latarnie rozsiewały jasny blask. Za nimi z kolei pięły się w ciemność schody. Pod nieobecność dziennego światła klasztor sprawiał wrażenie świata bez granic, wiecznie pnącego się w cieniu góry ku niebu.

Chłopcy dołączyli do wężowo wijącego się pochodu mnichów, wspinających się gęsiego do wysokiego budynku. Wchodząc do środka, Zhu nie miała dość czasu, by rozejrzeć się po przestronnym wnętrzu. Idący na czele duchowni rozchodzili się na prawo i lewo, znajdowali swoje miejsca i siadali ze skrzyżowanymi nogami na posadzce. Zhu, wciąż na szarym końcu, ujrzała przed sobą ciasno wypełnioną ludźmi salę: szeregi siedzących w równych odstępach mnichów, nieruchomych niczym posągi w starożytnym grobowcu.

Bęben ucichł. Dzwon odezwał się raz jeszcze i zamilkł. Moment przejścia z gorączkowego pośpiechu w bezruch okazał się drażniący jak fałszywa nuta. Zapadła cisza tak głęboka, że kiedy wreszcie wypełnił ją ludzki głos, zabrzmiał obco i niezrozumiale. Należał do odzianego w czerwoną szatę mnicha, tego samego, który wpuścił Zhu do klasztoru. Duchowny śpiewał. Jego zamknięte powieki były wypukłe jak skrzydła wielkich żuków, a policzki miał obwisłe. To powin-

no być nudne oblicze. W rysach mnicha zawierał się jednak specyficzny ciężar: jego twarz emanowała potencjałem głazu balansującego chybottliwie na wysokim zboczu. Zafascynowana Zhu niemal przestała oddychać. Zaśpiew duchownego po chwili ustał i pieśń przejęły inne głosy. Dźwięczny męski pomruk wypełniający całą przestronną salę. Wreszcie odezwał się dzwon, a mnisi wraz z nowicjuszami jak jeden mąż poderwali się na równe nogi i wybiegli z sali. Potykająca się co chwila Zhu pognała za nimi.

Następny przystanek wcześniej zwąchała, niż zobaczyła.

Mimo że była dziewczynką, Zhu była też chłopką i jako taka nie była osobą zbyt wrażliwą czy subtelną. Niemniej widok tak wielu mnichów i nowicjuszy wspólnie sikających i srających okazał się dla niej szokiem. Wstrząsana mdłościami, odczekała pod ścianą, aż wypróżnili się ostatni chłopcy, po czym załatwiła się sama i pobiegła dalej, by zobaczyć, dokąd udali się pozostali.

Zauważyła ostatni szary płaszcz znikający właśnie za zamykającymi się drzwiami. To pomieszczenie również z wyprzedzeniem anonsowała woń, choć nieskończenie bardziej powabna od poprzedniej. Jedzenie. Zhu, niewiele myśląc, wparowała przez próg, za którym ktoś od razu chwycił ją za kołnierz i wprowadził z powrotem.

– Nowicjusz! Nie słyszałeś dzwonu? Jesteś spóźniony! – Mnich zamachał jej przed nosem bambusowym kijem i dziewczynka spochmurniała.

W długiej sali za drzwiami mnisi i nowicjusze siedzieli na poduszkach przy niskich jednoosobowych stolikach. Jeden z duchownych roznosił miseczki. Poczwała w brzuchu ostre ukłucie. Ogarnął ją lęk, że nie pozwolą jej zjeść, i było to uczucie tak okrutne, iż przyćmiło nawet strach o życie.

– Musisz być nowy. Przyjmij karę lub zrezygnuj z posiłku! – warknął mnich. – Co wybierasz?

Zhu odpowiedziała zdumionym spojrzeniem. W życiu nie słyszała bardziej głupiego pytania.

– No?

Wyciągnęła przed siebie otwarte dłonie, a duchowny smagnął je kijem. Wbiegła zdyszana do środka i niemal skoczyła na poduszkę leżącą przy wolnym stoliku. Pojawiła się przed nią miska. Rzuciła się na nią łapczywie. Nigdy nic nie smakowało jej tak bardzo. Przemknęło jej przez myśl, że mogłaby tak jeść bez końca. Gliniasta kasza jęczmienna, kwaśne liście kapusty sarepskiej i plastry rzodkwi, a wszystko duszone w słodkawej paście z kiszonej fasoli – każdy kęs stanowił odrębne objawienie. Ledwie skończyła, serwujący posiłek mnich nalał do jej miski wody. Naśladując pozostałych nowicjuszy, Zhu wypila kilkoma szybkimi łykami i wytarła naczynie rąbkiem szaty. Mnich powrócił i zebrał miseczki. Cały proces – jedzenie i sprzątanie – zajął mniej czasu niż zagotowanie czajniczka wody na herbatę. Dorośli mnisi wstali z miejsc i odtruchtali z wyraźnym pośpiechem, prawdopodobnie po to, by usiąść i milczeć gdzie indziej.

Podnosząc się z poduszki, otoczona nowicjuszami Zhu uświadomiła sobie, że żołądek boli ją w nieznany dotąd sposób. Dopiero po kilku chwilach zrozumiała, co się z nią dzieje. Mam pełny brzuch! – pomyślała zaskoczona. I po raz pierwszy od opuszczenia Zhongli, od momentu gdy ojciec próbował oddać ją bandytom, odkąd pojęła, co naprawdę oznacza nicłość, uwierzyła, że może przeżyć.

朱

Nowicjusze – byli wśród nich zarówno mali chłopcy, jak i dorośli, niemal dwudziestoletni mężczyźni – podzielili się na grupy wiekowe. Zhu ruszyła biegiem po kamiennych schodkach za najmłodszymi. Oddech wypływał jej z ust białą

chmurką prosto na rzeński, błękitny świt. Obok nich wspinała się po zboczu spleciona zieleń. Zhu poczuła na języku jej smak: bogate, uderzające do głowy mrowienie życia i rozkładu, niepodobne do niczego, czego do tej pory zaznała.

Daleko w dole rozległo się rytmiczne postukiwanie, po którym odezwał się dzwon. Teraz, kiedy zrobiło się dostatecznie jasno, Zhu zobaczyła, że klasztor zajmuje całą serię wykutych w górskim stoku tarasów, na których tłoczyły się budynki o zielonych drewnianych dachach i połączone labiryntem wąskich ścieżek dziedzińce. W pewnym miejscu ciemniejące w murze wnęki wydychały zapach kadzidła. W jednej z tych wnęk zauważyła stertę kolorowych owoców otoczoną przez liczne białe sylwetki. Może jacyś mnisi? – pomyślała dziewczynka, lecz zanim zdążyła się zastanowić, poczuła na ого-
lonej czaszce lodowatą pieśczętę.

Popędziła z rozkołatanim sercem przed siebie: w górę, byle dalej od tego mrocznego miejsca. Po chwili z ulgą stwierdziła, że nowicjusze dotarli do celu, znajdującego się na jednym z wyżej położonych tarasów. Zdjęli sandały i weszli do długiej, widnej sali. Okna w jednej ze ścian otwarte były na oścież, ukazując panoramę rozciągniętej poniżej doliny, pokrytej szachownicą pól uprawnych. Mniej więcej tuzin niskich stolików czekało na ciemnym drewnianym parkiecie, tak wyślizganym przez długie stulecia, że Zhu miała pod podszewkami stóp jedynie płynny chłód.

Zasiadła przy pustym stoliku i czując, jak strach z wolna ustępuje, zaczęła się przyglądać i dotykać rozłożonych na blacie, intrygujących przedmiotów. Pędzelek z jakiegoś niezwykle miękkiego czarnego włosia i biały kwadrat czegoś, co trochę przypominało tkaninę. Papier. Pochyłe kamienne naczynko, którego dolną część wypełniała woda. Krótki czarny patyczek, zostawiający na palcach ślad sadzy. Po zostali chłopcy brali już swoje patyczki do rąk i ścierali je

w naczynkach. Zhu poszła za ich przykładem i z rosnącym zachwytem stwierdziła, że woda stała się po chwili czarna jak żrenica. Atrament! Przemknęło jej przez myśl, iż jest być może pierwszą w dziejach urodzoną w Zhongli osobą, która na własne oczy ogląda te na poły magiczne przybory, o jakich mówiły opowieści z dalekich stron.

Zaraz potem do sali wszedł mnich i uderzył się w dłoń bambusowym kijkiem. Kijek okazał się rozcięty wzdłuż i obie połówki zderzyły się tak głośno, że Zhu aż drgnęła. Co okazało się błędem.

– Proszę, proszę! – Oczy duchownego w jednej chwili skupiły się na niej. – Nowy nabytek – rzucił nieprzyjemnym tonem. – Mam nadzieję, że twoje zalety wykraczają poza nieustępliwość objadającej kość mrówki.

Mnich podszedł prosto do stolika Zhu. Dziewczynka podniosła lękliwe spojrzenie, w jednej chwili zapominając o zachwycie. W kontraście do ogorzałych na słońcu, wiecznie pokrytych warstwą brudu chłopów z Zhongli, duchowny miał cerę bladą i pomarszczoną jak skórka tofu. Przekonanie o własnej wyższości oraz zgorzknienie sprawiały, że wszystkie jego zmarszczki prowadziły w dół, a mrożące Zhu oczy wyzierały z ciemnych, zapadłych oczodołów.

– Czytaj! – syknął, trzaskając o blat jakimś przedmiotem, przez co dziewczynka podskoczyła po raz drugi.

Spojrzała na przedmiot i poczuła w sercu narastającą nieokreśloną grozę, jaką dobrze знаła z nocnych koszmarów. Książka. Otworzyła ją powolnym ruchem i przyjrzała się kształtom spływającym kolumnami po podzielonych liniach stronach. Każdy znak był wyjątkowy jak liść drzewa. I równie jak liść zrozumiała. Zhu nie potrafiła odczytać ani jednego.

– Naturalnie! – burknął kąśliwie mnich. – Sprowadzają mi śmierdzących wsiowych analfabetów, a oczekują, że zmienię ich w wykształconych mnichów! Skoro mistrz tak łaknie

cudów, powinien na nauczyciela nowicjuszy zatrudnić bodhisattwę!... – Odtrącił kijkiem dłoń wystraszonej Zhu, po czym odwrócił nim książkę przodem do siebie. – Teraz nowicjuszy szkoli się zupełnie inaczej! Za moich czasów mnisi krzyczeli na nas dniami i nocami. Pracowaliśmy do omdlenia, a kiedy padaliśmy, bili nas, dopóki nie wstaliśmy. Żyliśmy o jednym posiłku dziennie, a sypialiśmy po trzy godziny na dobę. I tak to trwało, dopóki nie wyzbywaliśmy się własnych myśli, woli, samych siebie. Stawaliśmy się naczyniami wypełnionymi jedynie bieżącą chwilą. Tak właśnie winno się szkolić nowicjuszy. Czy bodhisattwa, oświecony, naprawdę potrzebuje ziemskiej wiedzy, czy może wystarczy mu możliwość krzewienia dharma? Ale cóż, nasz mistrz... – wydał usta – jest odmiennego zdania. Sądzi, że mnichów należy kształcić. Chce, żeby potrafili pisać, czytać i rachować na liczydło. Jakby klasztor był zwykłym, przyziemnym interesem, jakimś kantorem, którego celem jest zysk i zarobek! Ale cóż, niestety, to, co myślę, nie ma znaczenia, gdyż i tak wyznaczono mi zadanie wpojenia wam wiedzy. Nie mam pojęcia, dlaczego zgodził się ciebie przyjąć. – Ponownie zmierzył Zhu pełnym odrazy spojrzeniem. – Popatrz no tylko na siebie! Jesteś niewiele większy od świerszcza. W którym roku przyszedłeś na świat?

Zhu pochyliła głowę nisko nad blatem, starając się nie zwracać uwagi na słodkawy zapach książki, który rozbudził zainteresowanie żółądka.

– W roku... – zaczęła ochryplym wskutek długotrwałego milczenia głosem i odchrząknęła. – W roku świni – wyrztusiła.

– Jedenaście lat! A zwykle przyjmujemy dwunastolatków! – W tonie mnicha pojawiła się nieobecna dotąd nuta mściwości. – Zapewne fakt, że mistrz okazał ci względy, sprawił, że masz się za kogoś wyjątkowego, nowicjuszu Zhu?

Dużym problemem byłoby już, gdyby zniechęcił ją za jej własne wady. Tymczasem, co dziewczynka uświadomiła sobie z rosnącym przygnębieniem, mimowolnie stała się uosobieniem poglądów mistrza, który w opinii mnicha szkolącego nowicjuszy najwyraźniej zajmował się wszystkim, tylko nie tym, czym powinien.

– Nie – wymamrotała.

Miała wielką nadzieję, że mnich usłyszy w jej głosie prawdę. Pozwól mi być normalną. Po prostu daj mi przetrwać, dodała w duchu.

– Prawidłowy zwrot brzmi: „Nie, nauczycielu Fang!” – warknął. – Cóż, do klasztoru przyjął cię mistrz, ale tutaj rządzi ja. Jako nauczyciel nowicjuszy to ja decyduję, czy spełniasz wymagania. Bądź pewien, że nie zostaniesz obdarzony szczególnymi względami z powodu młodego wieku. Bądź więc gotów pracować i uczyć się równie ciężko jak pozostali lub oszczędź mi czasu i odejdz natychmiast!

Odejść. Zalała ją fala grozy. Jak mogła odejść, skoro poza murami klasztoru czekało ją jedynie przeznaczenie, przed którym uciekła? Niemniej była też boleśnie świadoma, że nie jest jedynie o rok młodsza od najmłodszych nowicjuszy. To Chongba był od nich rok młodszy. Zhu urodziła się jeszcze później, w roku szczura. Była więc młodsza aż o dwa lata. Czy mogła dotrzymać kroku pozostałym?

Wtem ujrzała w duchu twarz brata, po królewsku przekonanego o własnej wartości. Nieużyta dziewczucha.

Zobaczysz, będę od ciebie lepsza w byciu tobą, rozległ się w Zhu głos przepełniony nową, świeżą siłą.

– Nędzny nowicjusz będzie się pilnie przykładać! – odpowiedziała, zwracając się do blatu.

Spojrzenie Fanga parzyło wygoloną czaszkę dziewczynki. Po chwili w polu widzenia Zhu pojawił się kijek, którym nauczyciel podniósł jej głowę. Sięgnął po pędzelek i płynnymi

ruchami nakreślił na papierze trzy symbole, jeden pod drugim, zaczynając od prawego górnego rogu kartki.

– Zhu Chongba. Szczęśliwa podwójna ósemka. Powiadają, że w nazwiskach zawiera się prawda, a ty z pewnością możesz mieć się za szczęściarza! Chociaż z mojego doświadczenia wynika, że ludzie, którym sprzyja szczęście, wykazują skłonność do lenistwa. – Wydał wargę. – Cóż, przekonajmy się, czy rzeczywiście potrafisz się przyłożyć. Naucz się swojego nazwiska i stu pierwszych znaków z tego elementarza. Jutro osobiście sprawdzę, co umiesz.

Kwaśna mina nauczyciela przyprowadziła dziewczynkę o dreszcz. Świetnie rozumiała, co z tego wszystkiego wynika. Fang będzie mieć ją na oku, będzie czekać, aż Zhu popełni błąd lub zacznie odstawać od grupy. I nikt tutaj nie potraktuje jej ulgowo.

Nie mogą odejść, pomyślała.

Spojrzała na zasychające na papierze znaki. Od urodzenia szczęście nigdy się do niej nie uśmiechnęło i nigdy nie była leniwa. Skoro aby przetrwać, musiała się nauczyć, to się nauczy. Ujęła dłonią pędzelek i zaczęła pisać. „Zhu Chongba”.

朱

Zhu nigdy w życiu nie była tak wyczerpana. W przeciwieństwie do bólu wywoływanego przez głód, po jakimś czasie przechodzącego w czystą abstrakcję, zmęczenie okazało się torturą, którą czas jedynie wyostrzał. Głowa pękała jej od nieustającego naporu nowych wiadomości. Najpierw musiała przyswoić sobie piosenkę, która uczyła tysiąca znaków zawartych w elementarzu nauczyciela Fanga. Następna w kolejności była niezrozumiała lekcja dharmy, na której musiała nauczyć się na pamięć początkowego ustępu jednej z sutr. Potem przyszedł czas na naukę korzystania z liczydła, czego

uczył garbaty mnich odpowiadający za klasztorną buchalterię. Chwili wychnienia zaznała jedynie w porze obiadu. Dwa posiłki dziennie! Taka obfitość jedzenia z trudem mieściła się Zhu w głowie. Potem jednak powróciły lekcje: poezja, dzieje władców dawnych dynastii, nazwy miejsc dalszych nawet niż Haozhou, stołeczna miejscowość ich okręgu, leżąca dwa pełne dni drogi od Zhongli i będąca najdalszym miejscem, jakie dziewczynka potrafiła sobie wyobrazić. Pod koniec dnia doskonale rozumiała punkt widzenia nauczyciela Fanga: nie miała pojęcia, do czego mogła się mnichowi przydać cała ta wiedza. No, może z wyjątkiem sutr.

Późne popołudnie i wczesny wieczór wypełniała nowicjuszom praca. Wspinająca się mozolnie po zboczu Zhu, obciążona trzeszczącym koromysłem, na którym kołysały się wiadra pełne zaczerpniętej w rzece wody, roześmiałyby się, gdyby tylko nie była aż tak zmęczona. Oto trafiła do tego dziwnego nowego świata i znowu dźwigała wodę. Wysilek utrzymywania w głowie świeżych wiadomości sprawił, że zaczęła panikować, ale to? To robić potrafiła.

Po kolejnych trzech krokach jedno z wiader odczepiło się nagle z pałaka. Ciężar drugiego natychmiast sprawił, że dziewczynka straciła równowagę i padła na kolana na skalistej drodze. Przez chwilę nie potrafiła się nawet ucieszyć, że woda się nie rozlała, a wiadro nie stoczyło się w dół zbocza. Klęczała, szcząc z bólu. Wreszcie, gdy ból przeszedł w tępe rwanie, wycieńczona obejrzała koromysło. Sznur, na którym wisiało wiadro po lewej, pękł i rozplątał się na cienkie włókna.

Gdy tak przyglądała się usterce, dogonił ją inny, nadchodzący z dołu nowicjusz.

– Ach, to się narobiło! – rzucił czystym, przyjemnie brzmiącym głosem. Był starszy, mógł mieć trzynaście czy nawet czternaście lat, i patrzącej wyglodniałymi oczami

Zhu wydawał się cudacznie krzepki: był tak wysoki i zdrowy, że niemal odrealniony. Rysy twarzy miał harmonijne, jakby zostały uformowane dłońmi jakiegoś dobrotliwego bóstwa, a nie spadły z niebios bez ładu i składu jak w przypadku wszystkich innych ludzi, których dziewczynka dotąd poznała. Gapiła się na niego niczym na kolejny z architektonicznych cudów tego nowego, dziwnego świata. – Tego koromysła nie używał nikt, odkąd z klasztoru odszedł nowicjusz Pan. Lina przegniła. Musisz to zanieść do intendentury. Naprawią.

– Po co? – zdziwiła się Zhu. Zerknęła na wiązkę włókien, które nadal ścisłała w dłoni, i zastanowiła się, czy przypadkiem coś jej nie umknęło. Konopne nici wyglądały jednak tak samo jak przed chwilą. Można je było zapleść dosłownie w kilka chwil.

– A kto inny mógłby to naprawić?

Zhu odniosła wrażenie, że świat stanął raptem na głowie. Była pewna, że każdy potrafi splatać liny. Jej przychodziło to równie naturalnie jak oddychanie. Zajmowała się tym przez całe życie. Tylko że była to umiejętność kobieca. Zrozumiała nagle, iż nie wolno jej robić nic, czego nie zrobiłby Chongba. Nie mogła ukrywać swoich niecodziennych talentów jedynie przed tym nowicjuszem. Musiała je chować również przed wzrokiem samych niebios. Bo gdyby niebiosy zorientowały się, kto wie gdzie życie Chongby... Wylękniony umysł nie pozwolił dziewczynce nawet doprowadzić rozumowania do końca.

Jeżeli chce zatrzymać życie Chongby dla siebie, musi stać się nim bez reszty. Myślą, słowem, uczynkiem...

Czuąc mdłości, wypuściła rozplątany sznur. Katastrofa była tak blisko! Zaraz potem odwiązała drugie wiadro i chwyciła oba za pałaki. Ledwie stłumiła głuchy jęk. Bez koromysła ciężar okazał się przynajmniej dwukrotnie więk-

szy. Pomyślała, że będzie musiała po nie wrócić, lecz ku jej zaskoczeniu nowicjusz poderwał jej nosidła z ziemi i ułożył sobie na barkach obok własnych.

– Chodźmy! – rzucił promiennie. – Nie ma rady, trzeba iść dalej. A kiedy odniesiemy wodę, pokażę ci, gdzie jest intendentura. – Ruszyli pod górę. – Tak przy okazji, nazywam się Xu Da.

Uchwyty wiader boleśnie wrzynały się Zhu w dłonie, grzbiet protestował bólem.

– A ja...

– Ty jesteś Zhu Chongba – uprzedził ją swobodnie nowicjusz. – Chłopiec, który wytrwał przed bramą cztery dni. Chyba już wszyscy tu o tobie słyszeli. Trzeciego dnia każdy z nas miał nadzieję, że wreszcie cię wpuszczą. Nikt do tej pory nie wytrzymał nawet połowy tego czasu, co ty. Nie bardzo odrosłeś od ziemi, młodszy braciszku, ale hardy jesteś jak osioł.

Zhu pomyślała, że nie pomogła jej hardość, tylko zwykła desperacja.

– A dlaczego nowicjusz Pan odszedł? – spytała zasapana Zhu.

– Ach...! – Xu Da posmutniał. – Zdążyłeś pewnie zauważyć, że nauczyciel Fang nie ma cierpliwości do ludzi, których ma za głupich bądź bezużytecznych. Los nowicjusza Pana był przesądzony od jego pierwszego dnia w klasztorze. Był bardzo chorowity i po dwóch tygodniach nauczyciel po prostu go wyrzucił. Ale ty jesteś zupełnie inny – dodał pospiesznie, wyczuwając zmartwienie Zhu. – Już teraz widać, że sobie poradzisz. Wiesz? Większość nowych chłopców za nic nie chce nosić wody. Powinieneś posłuchać tego marudzenia. O, to babska robota! Dlaczego musimy dźwigać te wiadra? Jakby nie rozumieli, że trafili do klasztoru – zakończył ze śmiechem.

Babska robota. Zhu poczuła ostrzegawczy skurcz kiszek i obrzuciła nowicjusza uważnym spojrzeniem. Twarz miał jednak błogą jak posąg Buddy: nie wyczytała z niej nawet cienia podejrzliwości.

Po wizycie w intendenturze, gdzie Zhu została skarcona za niezdarność smagnięciem w łydki, Xu Da odprowadził ją z powrotem do dormitorium.

Dziewczynka dopiero teraz mogła się tu rozejrzeć. Omiotła spojrzeniem długą, pozbawioną ozdób salę. Wzdłuż ścian leżały szeregi sienników, a na przeciwległym końcu stał wysoki na dwie stopy posąg istoty obdarzonej tysiącem oczu i tysiącem dłoni. Zhu przyjrzała mu się z wyraźnym niepokojem. Mimo oczywistej anatomicznej fantastyczności nigdy nie widziała tak realistycznej rzeźby.

– Pilnuje, żebyśmy nie psocili. – Xu Da rozciągnął usta w szerokim uśmiechu.

Pozostali chłopcy składali już swoje wierzchnie szaty i układali je starannie przy swoich siennikach, po czym wsuwali się parami pod proste, szare koce.

– Możesz spać ze mną – zaoferował Xu Da bezpretensjonalnie, widząc, iż Zhu rozgląda się za wolnym posłaniem. – Do niedawna nocował ze mną nowicjusz Li, ale dopiero co odbyły się jesienne święcenia i jest już teraz mnichem.

Zhu wahała się tylko przez chwilę, w dormitorium panował okrutny ziąb, mimo że nie nastała jeszcze zima. Położyła się razem z Xu Da, układając plecami do niego. Jeden ze starszych nowicjuszy obszedł salę i pogasił lampy. Płonące w korytarzu latarnie podświetlały od tyłu papierowe okna, zmieniając je w długie złociste pasmo, ostro kontrastujące z mrokiem. Wokół rozlegały się szept i szelesty. Zhu aż się trzęsła ze zmęczenia, lecz nie mogła pójść spać, nie nauczywszy się znaków, które wyznaczył jej nauczyciel Fang. Bezgłośnie powtarzała słowa piosenki z elementarza, starannie

kreśląc palcem na podłodze kształty odpowiadających im symboli. Niebo i ziemia, czarny i żółty. Co chwila przysypiała i podrywała głowę z powrotem. Cierpiała, lecz skoro taką właśnie cenę musiała zapłacić, była na to gotowa. Uda mi się, myślała. Nauczę się tego. Przetrwam.

Utrwalała właśnie w pamięci ostatni, zawierający cztery znaki wers, kiedy sączące się przez papier światło ściemniało i zafalowało, jakby płomykiem latarni zakolysał nagły powiew. Noc była jednak spokojna. Okryte nowym ubraniem ciało dziewczynki pokryła gęsia skórka, choć Zhu sama nie wiedziała, czego się boi. Kilka chwil potem na rozświetlonym przepierzeniu pojawiły się cienie. Ludzie sunący korytarzem jeden za drugim. Długie, rozpuszczone włosy spływały im na ramiona. Dziewczynka wyłowiła ich głosy: samotny, niezrozumiały pomruk, szept zarazem znajomy i jeżący włos na głowie.

Odkąd opuściła Zhongli, Zhu zdołała już niemal wmówić sobie, że duchy ojca i brata były jedynie koszmarną wizją zrodzoną z szoku i głodu. Teraz ujrzała tę upiorną procesję i zjawy w jednej chwili stały się na powrót rzeczywiste. Bała się. Nie, to nie to, co myślę, powtarzała sobie bezgłośnie. Przecież nie miała pojęcia o klasztorzym życiu. Z pewnością istnieje jakieś proste wytłumaczenie. Musi istnieć.

– Nowicjusz Xu! – rzuciła niespokojnie i zawstydziło ją drżenie własnego głosu. – Starszy bracie! Dokąd oni idą?

– Co? Kto? – odparł pogrążony w półśnie chłopak, jego ciało kojąco ogrzewało rozdygotaną dziewczynkę.

– Ci ludzie na korytarzu.

– Mmm... – Xu Da rzucił senne spojrzenie na papierowe okno. – Nocny dozorca? Po gaszeniu świateł tylko on kręci się po klasztorze. Ma całonocny obchód.

Żołądek Zhu skurczył się ze strachu. Pochód cienistych sylwetek wciąż trwał. Ciemne kontury odciskały się na cien-

kim przepierzeniu wyraźnie jak drzewa na tle zachodzącego słońca. A Xu Da ich nie zobaczył! Dziewczynka przypominała sobie białe sylwetki, które tłoczyły się wokół ofiarnych owoców w ciemnej alkwie. Mrok był tam tak gęsty jak teraz w dormitorium, a Zhu pamiętała z podać, że esencją światła dusz jest yin: zamieszkujące go istoty należą do żywiołu czerni, wilgoci i księżycowej poświaty.

Widzę duchy, pomyślała zdjęta grozą i uświadomiła sobie, że jej ciało zwinęło się w kablak tak ciasny, że rozbolały ją mięśnie. Jak miała teraz zasnąć? Niemniej gdy strach dziewczynki osiągnął punkt kulminacyjny, parada dobiegła końca. Ostatnia zjawa zniknęła, światło znieruchomiało, a Zhu ponownie poczuła zwyczajne, ziemskie zmęczenie, które ogarnęło ją tak szybko, że aż westchnęła.

Jej oddech dosięgnął ucha Xu Da i wyrwał chłopaka ze snu.

– Niech Budda ma nas w opiece, młodszy braciszku! – mruknął rozbawiony. – Nauczyciel Fang nie mylił się co do jednego. Cuchniesz. Dobrze, że już niedługo wypada dzień kąpieli...

– Dzień kąpieli? – Zhu z miejsca zapomniała o duchach i niewyspaniu.

– Przegapiłeś lato. Latem kąpaliśmy się raz w tygodniu. Teraz, dopóki znów nie zrobi się ciepło, myjemy się tylko raz na miesiąc. Dni kąpieli są najlepsze! – ciągnął rozmarzonym tonem Xu Da. – Żadnych porannych obrzędów. Żadnej pracy i lekcji. Nowicjusze mają co prawda obowiązek podgrzewać wodę do mycia, ale potem możemy przez cały dzień siedzieć w kuchni i siorbać herbatę...

Zhu przypominała sobie wspólną latrynę i opadły ją wyjątkowo złe przeczucia.

– Myjemy się kolejno?

– Czterystu mnichów? Wiesz, ile by to trwało? Tylko mistrz bierze kąpiel w pojedynkę. Zawsze jako pierwszy. My

wchodzimy na końcu. Woda wtedy przypomina już błoto, ale przynajmniej wolno nam moczyć się do woli.

Zhu zobaczyła oczyma wyobraźni nagą siebie w obecności kilkunastu nowicjuszy.

– Nie lubię kąpeli – oświadczyła kategorycznie.

– Cisza! – Na korytarzu pojawiła się bezspornie ludzka sylwetka i zaczęła kołatać rozpołowionym bambusem o futrynę drzwi dormitorium.

Gdy nocny dozorca odszedł, Zhu zapatrzyła się w mrok. Zebrało jej się na mdłości. Jak dotąd była przekonana, że aby stać się Chongbą, wystarczy robić to, co robiłby on. Teraz jednak, poniewczasie, przypomniła sobie, jak wioskowy wróżbita odczytał przeznaczenie brata z jego pulsu. To ciało niosło w sobie los. A ona, choć zostawiła w Zhongli prawie wszystko, wciąż tkwiła we własnym. Żyła w ciele, któremu przeznaczono nicość, o czym raz po raz coś jej przypominało. Wpadający z korytarza blask latarni odbijał się słabo od złotego posągu i jaśniał w tysiącu jego źrenic. Jak miała chęć pomyśleć, że zdoła oszukać samego niebiosa?

Ujrzała w duchu trzy znaki składające się na nazwisko brata, symbole nakreślone idealnymi pociągnięciami pędzla nauczyciela Fanga. Poniżej zobaczyła własną koślawą wersję. Nie napisała tych znaków, zaledwie je narysowała. Stworzyła imitację, w której nie było nic z oryginału.

朱

Dzień kąpeli wypadał dopiero pod koniec tygodnia, co w pewnym sensie było jeszcze gorsze. Zupełnie jakby nie mogła się zatrzymać, zmierzając przed siebie góskim szlakiem, który w pewnym momencie kończył się zabójczym urwiskiem. Klasztorne życie, o czym Zhu przekonała się bardzo szybko, pędziło naprzód bez wytchnienia. Lekcje, praca,

lekcje. Co wieczór uczyła się nowych znaków i powtarzała poznane dzień wcześniej. Kiedy dopuszczała do siebie wyczerpanie, nawet myśl o spędzeniu nocy w towarzystwie duchów nie powstrzymywała jej przed zaśnięciem, po którym, jakby dosłownie mgnienie później, następowały poranne obrzędy dnia następnego. Na swój szczególny sposób życie w klasztorze okazało się równie mało urozmaicone jak to, które wiodła w Zhongli.

Tego poranka Zhu i Xu Da stali w głębokim po kolana kamiennym korycie, wypełnionym lodowatą wodą i brudną pościelą. Dzisiaj zamiast lekcji wypadał jeden z dwóch w miesiącu dni prania.

Od czasu do czasu jakiś nowicjusz przynosił gar rozgotowanych, śliskich fasolek gledicji i dorzucał je do koryta. Inni chłopcy zajmowali się płukaniem, wyżymaniem, krochmalem i prasowaniem. Rosnące na dziedzińcu miłorzęby niedawno pożółkły i zarzuciły bruk owocami, przez co praniu towarzyszyła nieprzyjemna woń niemowlęcych wymiocin.

Zhu szorowała w zamyśleniu. Mimo świadomości, iż ciało na dobre przykuło ją do wyznaczonej przez los nicości, nie chciała się z tym pogodzić. Nie mogła się tak po prostu poddać i pozwolić, by niebiosy skierowały ją z powrotem na dawną ścieżkę. Musiał istnieć sposób pozwalający jej nadal żyć życiem Zhu Chongby – jeśli nawet nie zawsze, to przynajmniej przez kolejny dzień, miesiąc, rok. Niemniej, ku rozpaczy dziewczynki, im lepiej zaznajamiała się z klasztornym rozkładem dnia, tym mniejszą miała nadzieję. Każdy moment każdego dnia był wypełniony. Nie miała gdzie się ukryć.

– Skoro zimną porą myją nas rzadziej niż latem, to i pranie mogliby czasem odpuścić – burknął pod nosem Xu Da. Lodowata woda sprawiła, że dłonie obojga przybrały jasnoczerwoną barwę i paliły żywym ogniem. – Nawet wiosenna orka jest lepsza niż to.

– Niedługo obiad! – zauważyła Zhu, czym na moment poprawiła sobie nastrój. W jej opinii posiłki nadal pozostawały najjaśniejszymi punktami dnia.

– Tylko ktoś wychowany o pustym brzuchu może się cieszyć na myśl o tutejszym jedzeniu. Zauważyłem zresztą, jak zerkasz na te ziarna. Tego się nie je!

– Skąd ta pewność? – odparła dziewczynka. – W końcu to fasola. Kto wie? Może jest pyszna? – Odkąd opanowała sztubacki, braterski styl rozmów nowicjuszy, podobne prze-komarzanki zaczęły sprawiać jej przyjemność. Z Chongbą nie odbyła nawet jednej prawdziwej rozmowy.

– To mydło – sprostował Xu Da. – Bekalbyś pianą. Ale nic, mogło być gorzej. Na szczęście to zwyczajne pranie. Pamiętam, że kiedy odwiedził klasztor książę Henanu, musieliśmy wyprać nie tylko pościel, ale też szaty mnichów. Trzeba było słyszeć, jak szeleścili potem od krochmalu! Zupełnie jakby człowiek medytował w lesie. Czasem odwiedzają nas też buntownicy – dodał. – Ale to normalni ludzie, nikomu nie wadzą – stwierdził, po czym widząc puste spojrzenie Zhu, podjął: – No, ci od chłopskiego powstania. Obecne jest największe, odkąd żyjemy. Mistrz gości ich przywódców zawsze, kiedy pojawiają się w okolicy. Twierdzi, że o ile tylko klasztor zdobędzie przychyłność obu stron, nic nam nie grozi i bezpiecznie doczekamy tego czy innego końca.

Zhu pomyślała z żalem, że chciałaby zdobyć przychyłność nauczyciela Fanga. Przygnębienie powróciło, głębsze niż przedtem.

– Starszy bracie, czy nowicjusze, którzy popełnią błąd, zawsze kończą poza klasztorem? Czy może czasami wystarcza inna kara?

– Myślę, że gdyby nauczyciel Fang mógł wydalić wszystkich nowicjuszy, nie wahałby się ani chwili – ocenił rzeczowo Xu Da. – Ale karze tylko tych, którzy naprawdę nastąpili

mu na odcisk i chce się nacieszyć ich cierpieniem. – Wspólnie wyciągnęli z koryta prześcieradło i wrzucili je do balii do wyżęcia. – Mnie ukarał raz, byłem jeszcze żółtodziobem. Kisiliśmy czarną fasolę i Fang kazał mi mieszać w kadziach. Tak się zdenerwowałem, że jedną potrąciłem i wszystko wylało się prosto na niego. – Chłopak zaśmiał się i pokręcił głową. – Wiesz, jak śmierdzi fermentująca fasola? Inni mnisi zaczęli go przezywać Pierdziocem i aż do następnego prania nie siedali obok niego w czasie modłów. Był naprawdę wściekły.

Gdzieś w oddali zaklekotał bambus. Dozorca uprzedzał o zbliżającym się obiedzie.

– Niedługo potem wypadało Święto Środka Jesieni. Nowicjusze zazwyczaj wspinają się w ten dzień na górę, żeby ogłądać z wysoka rozświetlony latarniami klasztor. A nauczyciel Fang kazał mi wtedy czyścić latrynę. Stwierdził, że czas, że bym i ja trochę pośmierdział. A do następnego dnia kąpieli było bardzo daleko. – Xu Da wygramolił się z koryta i zaczął się wycierać. – Ale czym ty się martwisz? Nawet Fang nie wyrzuci nikogo bez dobrego powodu. Chyba nie zamierzasz narobić, co? – Wyszczrzył się do Zhu, a kiedy usłyszeli dźwięk dzwonu, wbiegł na prowadzące do refektarza schody. – No chodź! Pracowaliśmy tak ciężko, że nawet ja z ochotą zjem trochę słonych warzyw.

Zhu powlokła się za chłopakiem, pogrążona w myślach. Opowieść Xu Da obudziła w niej pewien pomysł. Bez względu na perspektywę powodzenia sam fakt posiadania planu przepełnił dziewczynkę uporem i nadzieją, które wydały się znacznie bardziej rzeczywiste od rozpaczy.

Jednak mimo że wmawiała sobie, że wszystko się uda, strach kazał jej sercu bić tak mocno, jakby przebiegła własnie wszystkie schody w klasztorze.

Pozostali nowicjusze emocjonowali się dniem kąpieli równie mocno jak Nowym Rokiem. Zhu przeciwnie, obudziła się przepełniona koszmarnymi przeczuciami, które towarzyszyły jej przez cały poranek. Bała się, leżąc do wschodu słońca na sienniku, bała się, gdy zasiedli do śniadania w kuchni zamiast w refektarzu. A potem bała się, popijając czarkę za czarką herbaty, kiedy pilnowali płomieni ogrzewających olbrzymie kotły wody do mycia.

– Nowicjuszu! – Kucharz rzucił w jej stronę koromysło. – Mistrz już zapewne kończy. Zanieś do łaźni dwa wiadra gorącej wody. Trzeba podgrzać dla starszych mnichów.

Gdy Zhu chwyciła w locie pałąk, jej świat zawężił się do ponurej determinacji. Skoro tak ma być, to tak właśnie zrobię, pomyślała. Poradzę sobie. Muszę.

Pochłonięta myślami, drgnęła, kiedy Xu Da podszedł i sięgnął po jedno z wiader. Prawdopodobnie zauważył jej wycofanie i omyłkowo uznał je za oznakę zmęczenia.

– Pomogę ci. Odwdzięczysz się, kiedy przyjdzie moja kolej.

– To znaczy, że oboje będziemy musieli odbyć dwie lżejsze wycieczki zamiast jednej trudniejszej – zauważyła nieswoim tonem Zhu. – Nie lepiej mieć z głowy za jednym zamachem?

– Cierpienie w samotności nie jest tak zabawne – odparł życzliwie jak zawsze Xu Da.

Do zaskoczonej Zhu dotarło, iż chłopak stał się chyba jej przyjacielem. Nigdy w życiu nie miała przyjaciela. Niemniej nie była przekonana, że cierpieniem można się dzielić, choćby i z przyjaciółmi. Kiedy obserwowała śmierć ojca, gdy kopała mu grób, kiedy przez cztery dni klęczała pod klasztorną bramą... Zawsze wtedy była nieskazitelnie wręcz samotna. Wiedziała, że kiedy przychodzi co do czego, człowiek żyje i umiera sam jak palec.

Choć może rzeczywiście byłoby przyjemniej mieć wtedy kogoś u swego boku.

– Nie spieszyliście się! – syknął nauczyciel, gdy Zhu i Xu Da weszli do łaźni.

Fang wraz z dwoma innymi mnichami pozbyli się już szat i siedzieli na skraju wbudowanej w posadzkę wanny. Ciała wszystkich trzech pomarszczone były niczym suszone daktyle przed wrzuceniem do zupy. Nawet męskie organy duchownych sprawiały wrażenie skurczonych do rozmiarów zredukowanego członka Buddy. Snujące się wokół mnichów pasma pary krążyły w pobudzonym ruchem drzwi powietrzu. Wtem Zhu zobaczyła, że nie są w tym wilgotnym, zamkniętym pomieszczeniu sami. Pod ścianami majaczyły duchy. Szybowały w bezruchu, ożywiane jedynie przez przenikającą ich białe sylwetki parę. Puste spojrzenia zjaw skupione były na nieokreślonym punkcie. Nie interesowała ich Zhu ani nadzy mnisi. Dziewczynka przyjrzała się im i zmusiła się, by oddychać normalnie. Przeobrażony mocą śmierci wygląd duchów budził w niej specyficznie fundamentalny niepokój, lęk splatający kiszki w ciasny węzeł. Nie wyczuwała jednak, by te zjawy były groźne. Po prostu stanowią część łaźni, powiedziała sobie, czując mimowolny dreszcz. Tak samo jak para.

– Na co się gapisz? – warknął nauczyciel Fang i Zhu zniebaczka przypomniała sobie, co tu robi. Przyspieszone tętno pozwoliło jej wrócić do rzeczywistości. – Nalać mi wody i zniknąć!

Xu Da opróżnił wiadro jako pierwszy. Zhu podeszła do wanny, by zrobić to samo. Kątem oka dostrzegła rozkwitające na twarzy chłopaka przerażenie, widziała jego sunące ku niej ramię, lecz było za późno: już na to pozwoliła. Śliska bambusowa podłoga wyszarpnęła spod niej sandały. Dziewczynka zamachała ramionami, a ciężkie wiadro skoczyło do wanny i pociągnęło ją za sobą.

Przez chwilę trwała zawieszona w bańce ciepłej ciszy. Korciło ją, by pozostać pod wodą, w tej bezpiecznej chwili, w któ-

rej nie było ani sukcesu, ani porażki. Zrobiła już jednak to, co zamierzała, i ze zdumieniem stwierdziła, że zrealizowany czyn tworzy własną odwagę: teraz mogła jedynie przeć na przód, nie zważając na strach. Wynurzyła się, wyprostowała.

Xu Da i trzy suszone daktyle wpatrywali się w nią z rozdziawionymi ustami. Szata uniosła się wokół Zhu niczym liście lotosu. Po chwili wypłynął też na powierzchnię pierścien brudu i rozszedł się po czystej wodzie.

– Nauczycielu Fang – odezwał się nauczyciel dharmy z przyganą w głosie – dlaczego twój nowicjusz zanieczyszcza naszą wannę?

Prefekt Fang pokraśniał na twarzy do tego stopnia, że znaczące jego czaszkę rytualne blizny zbiegały jak kreda. Poderwał się rozjuszony, furkocąc płatami pomarszczonej skóry. Mgnienie później ciągnął już Zhu za ucho. Dziewczynka zawyla z bólu.

Pchnął ją przez całe pomieszczenie, na wskroś duchów, i posłał jej śladem wiadro. Trafiał.

– Bardzo ci tak dobrze! – wysapał wściekle, widząc, jak Zhu się przewraca. – Klękaj!

Przenikając niematerialne ciała zjaw, Zhu poczuła się, jakby przeszło ją tysiąc lodowatych igieł. Zaskomlała i dźwignęła się na kolana. Skóra piekła ukłuciami umarłych, od uderzenia głową w podłogę dzwoniło jej w uszach. Otumaniona wpatrywała się w nauczyciela Fanga i oczekiwała werdyktu. Ku swemu przerażeniu zrozumiała, że nie tylko on się w tej chwili zastanawia. Same niebiosy przyglądały się powłoce Zhu Chongby, jakby wyczuwając ukrytą pod nią anomalię. Chłodna nicość musnęła kark dziewczynki i mimo że w łaźni było gorąco, Zhu zadzwoniła z zimna zębami.

– Ty mały psi wypierdku! – wycodził wreszcie Fang. Poderwał leżące na podłodze wiadro i wcisnął je w ręce Zhu. – Będziesz to trzymać nad głową aż do wieczornego dzwonu, a za

każdym razem, kiedy je upuścisz, dostaniesz grubym bambusem. – Pomarszczona pierś unosiła się i opadała w opętańczym tempie. – A co do szacunku, jaki należy się starszym, i odpowiedniej staranności przy pracy, pomyślisz o nich, szorując się zimną wodą ze studni. Kąpiel to przywilej. Jeśli kiedykolwiek zobaczę cię znowu w łaźni lub usłyszę, że się do niej zakradłeś, bez wahania usunę cię z klasztoru. – Zmierzył ją pełnym sadystycznej satysfakcji spojrzeniem. Doskonale zdawał sobie sprawę, z jakim wytęsknieniem nowicjusze czekają na dzień kąpeli, i zdecydował jej tę radość odebrać.

Gdyby Zhu była kimkolwiek innym, prawdopodobnie poczułaby się nieszczęśliwa. Czekalby ją niekończący się znoj monotonnego klasztornego życia pozbawiony nawet tej przyjemnej odmiany. Roztrzęsiona dziewczynka wzięła drewniane wiadro do ręki. Rzeczywiście było ciężkie. Wiedziała, że do wieczornego dzwonu upuści je setki razy. Godziny cierpienia i setki wymierzonych bambusowym kijem razów. Kara była straszna i każdy inny, słysząc taki wyrok, zapewne zapłakałby ze strachu i wstydu. Gdy jednak Zhu uniosła kubek nad głowę i ramiona natychmiast zadygotały jej z wysiłku, poczuła ulgę, która wypaliła ziać i lęk. Ulgę promienną jak samo szczęście. Dokonała niemożliwego: umknęła przeznaczeniu.



1347, drugi miesiąc

Zhu i Xu Da siedzieli okrakiem na dachu sali dharma i wymieniali uszkodzone przez zimową niepogodę dachówki. W tym miejscu czuli się prawie jak we śnie. Szybowali pomiędzy niebem pełnym pierzastych chmur a morzem skrzących się zielonych dachów, których złote kwiatony podrywały się ku górze niczym morskie fale. Dalej, poza płataniną dziedzińców, a nawet poza doliną, widzieli skrawek lśniącej równiny Huai He. Ponieważ wszystkie byty podobne są ze sobą powiązane, kształt chmur podpowiadał im, jak ta odległa kraina wygląda. Tam, gdzie obłoki przypominały rybie łuski, znajdowały się jeziora i rzeki. Gdzie chmury przybrały formę krzewów, tam wznosiły się wzgórza. A tam, pod rozkwitającymi z wolna tumanami żółtego pyłu, było wojsko.

Słońce przygrzewało w najlepsze, więc Xu Da zdjął koszulę i obie szaty. Pracował półnagi, odziany jedynie w spodnie. Miał szesnaście lat, a ciężka praca obdarzyła go zupełnie już męskim ciałem.

– Paradując tak bez ubrania, prosisz się o śmierć – zauważyła cierpko dziewczyna. Fang nie szczędził bambusa nowicuszom, którzy naruszali obowiązujące duchownych zasady przyzwoitego stroju. Dwunastoletnia Zhu, odczuwająca egzystencjalną trwogę za każdym razem, kiedy musiała przyznać, że jej ciało żadną miarą nie jest męskie, doceniała surowość nauczyciela bardziej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. – Myślisz, że jesteś taki przystojny, że wszyscy chcą cię oglądać?

– Tamte dziewczyny chciały – odparł Xu Da z uśmiechem zadowolenia. Miał na myśli rozchichotane wioskowe dziewczęta, które jakiś czas temu przyniosły do klasztoru ofiarę.

– Dziewczyny! Tylko dziewczyny ci w głowie! – Zhu wyróciła oczyma. Była młodsza od Xu i nie stała się jeszcze zakładniczką okresu dojrzewania, przez co obsesja chłopaka wydawała jej się nużąca. – Żądza jest korzeniem wszelkiego cierpienia – dodała, udatnie naśladowując ton nauczyciela dharma.

– Chcesz mi wmówić, że byłbyś szczęśliwy, żyjąc jak te zasuszone papaje, które nie wychylają nosa z sali medytacyjnej? – Xu Da rzucił jej wymowny uśmiezek. – Oni z pewnością nie odczuwają żądz. Ale ty? Nawet przez chwilę w to nie uwierzę. Może nie łakniesz jeszcze dziewcząt, ale każdy, kto pamięta twoje przybycie do klasztoru, wie, że rozumiesz, co znaczy pragnąć.

Poruszona Zhu przypomniła sobie rozpaczliwą, zwierzęcą żądzę przetrwania, która doprowadziła ją do przywłaszczenia życia Zhu Chongby. Nawet teraz czuła ją głęboko w sobie. Aż do tej chwili nie kojarzyła jej nigdy z żądzą, o jakiej na swoich wykładach mówił nauczyciel dharma. Na chwilę ożył w niej stary, gorący węgielek zawiści. Nie wydawało się uczciwe, że podczas gdy wszyscy inni cierpieli wskutek pogoni za przyjemnością, ona cierpiała jedynie dlatego, że chciała żyć.

Wtem w dole zakotłowało się od dźwięków i barw. Na główny dziedziniec klasztoru wkroczyły dziesiątki żołnierzy. Chorążowie unosili wysoko błękitne jak niebo proporce.

Zbroje wojskowych lśniły, rozpraszając światło niczym woda. Do Zhu powróciło nieproszone wspomnienie: mroczna, roziskrzona rzeka płynąca po pylistym wzgórzu pod Zhongli wieki temu.

Na schodach Wielkiej Sali Świątynnej pojawił się mistrz w charakterystycznej czerwonej szacie. Czekał spokojnie, ze złożonymi dłońmi.

– Książę Henanu i jego synowie wracają na lato do domu. Uznali za stosowne złożyć nam wizytę – zauważył Xu Da, siadając obok dziewczyny na skraju dachu. Jako starszy nowicjusz miał lepszy dostęp do klasztornych plotek. – Wiedziałeś, że hu nie mogą walczyć latem dlatego, że są zimnokrwieńcy jak węże? – spytał, posługując się tym samym terminem, którym większość nanrenów, ludzi południa, najniższej z czterech kast w Cesarstwie Wielkich Yuanów, określała mongolskich panów. Hu, barbarzyńcy.

– Myślałam, że węże lubią ciepło – zdziwiła się Zhu. – Kiedy ostatnio widziałeś węża na śniegu?

– Powtarzam tylko, co mówią mnisi.

Wiatr podrywał żołnierskie płaszcze i zarzucał je na błyszczące ramiona. Szeregi twarzy o zaokrąglonych policzkach wpatrywały się beznamiętnie przed siebie. W porównaniu z miękkimi mnichami Mongołowie wydawali się całkowicie odmienną rasą. Nie byli potworami o końskich łbach, jakie zaludniały opowieści jej ojca, nie byli nawet brutalnymi zdobywcami, jakich opisywali uczeni nanrenów. Byli za to świetliści i nieludzczy niczym potomkowie smoków.

W dole poniósł się dźwięk fletu. Książę Henanu przemierzył dziedziniec i wspiął się na stopnie Wielkiej Sali Świątynnej. Gęste, delikatne futro obrębiające jego płaszcz falowało

i ugięło się niczym żywe stworzenie. Na hełmie podskakiwała biała kita z końskiego włosia. Za księciem kroczyli trzej jaśniejący młodzieńcy bez nakryć głowy. Wiatr kołysał ich splecionymi na cudzoziemską modłę warkoczykami. Dwóch miało na sobie pancerze, trzeci długą szatę w tak majestatycznym i mieniącym się odcieniu fioleto, że Zhu w pierwszej chwili pomyślała, że uszyto ją ze skrzydełek motyli.

– To zapewne wielmożny Esen, dziedzic księcia – stwierdził Xu Da, spoglądając na wyższego z obleczonych w zbroje młodzieńców. – Zatem ten w fiolecie musi być jego młodszym synem, wielmożnym Wangiem.

Książęta i wielmożni panowie: ożywione postacie z opowieści. Przedstawiciele świata poza klasztorem, który aż do tej pory z punktu widzenia Zhu sprowadzał się do pokrywających mapę nazw. To ludzie ze świata, w którym istnieje wielkość, przemknęło jej nagle przez myśl. Kradnąc nazwisko Chongby i zakładając na siebie porzuconą skorupę jego życia, myślała jedynie o tym, że brat ma zagwarantowane przetrwanie. Kiedy zdołała już uciec śmierci, niemal na dobre zapomniała o tym, co Chongbie było w tym życiu przeznaczone. Wielkość. W kontekście brata słowo brzmiało równie absurdalnie, jak kiedy Zhu usłyszała je po raz pierwszy, w blasku świecy wróżbiarza. Teraz gdy spoglądała na tych majestatycznych ludzi, ze słowem „wielkość” na końcu języka, zaskoczyła ją emocja, która zniknęła, ledwie dziewczyna zdążyła nadać jej nazwę: mdłą ciekawość człowieka, który stoi na bardzo wysokim urwisku i zastanawia się, jakie to uczucie – skoczyć.

Tymczasem w dole mistrz wskazał księciu i dwóm jego synom drogę do Wielkiej Sali Świątynnej. Przełożony klasztoru rozplątywał się w uśmiechach, lecz tylko do chwili, gdy jego spojrzenie padło na ich towarzysza, trzeciego młodzieńca. Wzdrygnął się z odrazą i powiedział coś donośnym głosem. Na oczach zaintrygowanych nowicjuszy pomiędzy mistrzem

a wielmożnym Esenem wybuchła sprzeczka. Moment później niezadowolony książę wydał gardłowy rozkaz i wraz z synami oraz mistrzem zniknęli w ciemniejącym niczym rozwartą paszcza wejściu do sali. Drzwi zatrzęsły się za ich plecami. Towarzysz gości pozostał na zewnątrz, zwrócony wyprostowanymi jak struna plecami do szeregów piechurów. Stojąc samotnie wśród oślepiająco białego morza kamiennych płyt dziedzińca, w zbroi rozognionej refleksami słonecznych promieni, zdawał się podobnie zimny i odległy jak księżyc. Kiedy w końcu odwrócił się od wrót – dumnym, tchnącym arogancją ruchem – Zhu stłumiła okrzyk zdumienia.

Wojownik okazał się dziewczyną. Jej oblicze, jasne i delikatne, podobne do wypolerowanej muszelki morskiego ślimaka, ożywiało i wypełniało wszystkie definicje piękna, jakie Zhu знаła z poetyckich lektur. A jednocześnie – doceniając niezwykłość urody nieznanym, poczuła również brak czegoś, czego domagało się oko. Śliczne rysy wojowniczkę do cna wyzute były z kobiecości. Zamiast niej biła z nich twarda wyniosłość i poczucie wyższości, właściwe raczej młodym mężczyznom. Skonsternowana Zhu wpatrywała się w to oblicze, niebędące ani męskim, ani kobiecym.

– Mnisi opowiadają, że wielmożny Esen posiada eunucha, którego ceni wyżej niż własnego brata. – W głosie siedzącego obok Xu Da fascynacja mieszała się z obrzydzeniem. – To na pewno on.

Zhu przypomniała sobie stare, pokryte patyną mitu opowieści. Szlachetni i zdradzieccy eunuchowie bardziej jeszcze niż wojowniczy władcy wydawali jej się istotami z zupełnie innych czasów. Aż do dzisiaj nie podejrzewała nawet, że wciąż mogą krążyć po świecie. Teraz jednak jeden z nich stał niemal na wyciągnięcie ręki, człowiek z krwi i kości. Przyglądając mu się, Zhu poczuła budzące się w wątrobie drżenie, które rozlało się po całym jej ciele, jakby stała się nagle

struną rezonującą z dźwiękiem swojej bliźniaczki trąconej przez muzyka grającego na innym instrumencie. Rozpoznała doznanie instynktownie, tak jak bez wahania rozumie się, czym jest żar, nacisk czy uczucie spadania. Było to wrażenie towarzyszące zetknięciu się dwóch pokrewnych sobie bytów. Równie szybko, jak to sobie uświadomiła, poczuła chłodny niepokój. Reagować w ten sposób na eunucha, człowieka, który nie posiada istoty kobiecej ani męskiej, mogła wyłącznie z jednego powodu. Oto świat przypominał jej prawdę, której tak usilnie starała się zaprzeczyć: nie była stworzona z tak czystej męskiej substancji, z jakiej powstał Zhu Chongba. Jej istota była odmienna. I odmienne było jej przeznaczenie. Przebiegł ją dreszcz.

– Aż trudno sobie wyobrazić, co? – mówił siedzący obok Xu Da. – Słyszałem, że oni nie mają nawet tego tutaj – powiedział i ścisnął przez spodnie własny narząd, jakby chcąc się upewnić, że wszystko ma na miejscu. – Niewiele jest takich wśród hu. Nie tworzą ich tak często jak nasi władcy z dawnych dynastii. Myśl o okaleczeniu przepełnia ich odrazą. Dla nich jest to jedna z najokrutniejszych kar, jakie mogą wymierzyć.

Dla mnichów deformacja ciała była równie wstrętna. W dniach, kiedy Wielka Sala Świątynna otwierała podwoje dla osób spoza klasztoru, na jej stopniach zawsze tłoczyli się zatrzymani przed wejściem nieczyści: żebracy z przeżartymi chorobą twarzami, ludzie pozbawieni dłoni, dzieci o poskręcanych kręgosłupach, krwawiące kobiety. Podobnie jak w przypadku kobiet, niedoskonałość dyskwalifikująca młodego eunucha była z zewnątrz niewidoczna, lecz wstyd niczym pieczęć pozostawiał na jego twarzy nieusuwalny odcisk.

– Mistrz lubi trwać w dobrych stosunkach ze wszystkimi – podjął Xu Da – ale mam wrażenie, że chętnie przypomina też światu, że i my dysponujemy sporą władzą. Nawet ksią-

żęta hu i przywódcy buntowników muszą darzyć klasztory szacunkiem, w przeciwnym wypadku mogliby się w następnym wcieleniu odrodzić jako mrówki.

Zhu niezmiennie wpatrywała się w lodowatą, przepiękną twarz eunucha.

– Myślę, że on wołałby pełnić inną rolę niż świadectwa władzy klasztorów – stwierdziła, nie mając pojęcia, skąd o tym wie.

Kątem oka dziewczyna wychwyciła poruszenie. Zdumiona ujrzała duchy przepływające przez nieruchome szeregi mongolskich żołnierzy. Niepokój postawił dęba wszystkie włoski na jej karku. Odkąd wstąpiła do klasztoru, zdołała nieco przywyknąć do towarzystwa zjaw, choć wciąż czuła się przy nich nieswojo, lecz duchy należały do dziedziny yin. Przynależały nocy, a ich dom stanowiły mroczne zakamarki świątyń, a nie zalany jasnym światłem dnia dziedziniec, gdzie niepodzielnie króluje yang. Widok był mocno niepokojący.

W blasku górskiego słońca obleczone białymi szatami sylwetki zjaw były zupełnie przezroczyste. Niczym niezmordowanie dążąca w dół woda, duchy przelały się przez plac przed Wielką Salą Świątynną, wpłynęły na schody i otoczyły młodego eunucha. Nic na twarzy wojownika nie wskazywało, by zdawał sobie sprawę z ich towarzystwa.

Była to jedna z najbardziej upiornych scen, jakie Zhu widziała w życiu. Dotychczasowe obserwacje świata duchów nauczyły ją, że głodne zjawy zazwyczaj dryfują bez celu, nie wchodząc w paradę żywym, a ich ruchy nabierają zdecydowania, jedynie gdy ktoś złoży im ofiarę z pożywienia. Nigdy nie śledziły konkretnych ludzi. Dziewczyna nigdy też nie widziała tak wielu duchów zgromadzonych w jednym miejscu. A wciąż nadciągały kolejne, aż wreszcie oblały eunucha ciasnym pierścieniem. Zhu bardzo długo przyglądała mu

się, kiedy stał, sam pośród niewidzialnego tłumu, z dumnie uniesionym czołem.

1352, siódmy miesiąc

– Dlaczego nigdy mi to nie wychodzi? – Xu Da spojrzał na Zhu. – Pomocy! – Zarumieniony i roześmiany, zmagał się z na wpół ukończoną latarnią, która zamiast kwiatu lotosu o wiele bardziej przypominała pękłą cebulę.

Xu Da miał już dwadzieścia jeden lat i wyrósł na rosnącego mężczyznę, a ogolona głowa jedynie uwydatniała czystość płaszczyzn jego twarzy. Świecenia otrzymał jesienią, na tyle niedawno, iż Zhu wciąż nie zdołała się przyzwyczaić do oglądania przyjaciela w pełnej, złożonej z siedmiu podziałów mnisiej szacie, która zastąpiła prostszy strój nowicjusza. Skalp chłopaka znaczyły rytualne blizny. Xu Da wraz z kilkoma innymi młodszymi mnichami wprosił się dziś do dormitorium nowicjuszy, twierdząc, że chcą pomóc przy składaniu latarni, które na zakończenie Miesiąca Duchów miano spławić rzeką, by zaprowadziły błakające się po ziemi dusze zmarłych z powrotem do podziemnej krainy. W rzeczywistości wizyta młodych duchownych miała znacznie bardziej ścisły związek z winem, które Zhu potajemnie upędziła z jesiennych śliwek i które krążyło teraz z rąk do rąk wśród wstydliwego chichotu.

Po chwili Xu Da dał za wygraną i oparł się na ramieniu dziewczyny.

– Twoje co do jednego wyglądają jak kwiaty – przyznał z udawanym przygnębieniem, patrząc na kolekcję lampionów wykonanych przez Zhu.

– Naprawdę nie pojmuję, jak to możliwe, że nadal jesteś w tym tak kiepski. Robisz przecież te latarnie od lat. Dlaczego się wreszcie nie nauczysz? – spytała z sympatią. Wymieniła

swoją czarkę wina na jego żalosne dzieło w kształcie cebuli i zaczęła poprawiać aranżację płatków.

– Nikt chyba nie zostaje mnichem, żeby spełniać artystyczne ambicje – zauważył Xu Da.

– A co? Myślisz, że ludzie wstępują do klasztoru dlatego, że marzą o niekończących się studiach i fizycznej harówce?

– Może na przykład nauczyciel Fang. Jemu praca sprawia tyle radości...

– Tak, cudza praca – sprostowała Zhu i wręczyła chłopakowi naprawiony lampion. – Aż dziw, że nie sterczy nad nami w tej chwili i nie liczy gotowych latarni.

– Liczyłyby latarnie i nas. Żeby mieć pewność, że nikt nie wymknął się ze zdrożnymi zamiarami do mniszek.

Mniszki pojawiały się w klasztorze z okazji jesiennych święceń, najważniejszych świąt, a także na cały siódmy miesiąc rytuałów i dharmicznych zgromadzeń poświęconych duchom zmarłych. Mieszkały w kwaterach gościnnych, do których wstęp był mnichom surowo wzbroniony, a ich okolicę nauczyciel Fang patrolował z gorliwością graniczącą wręcz z obsesją.

– Biorąc pod uwagę, z jakim upodobaniem wyobraża sobie nasze pijaństwo i akty cudzołóstwa, podejrzewam, że ma więcej nieczystych myśli niż my wszyscy razem wzięci – zauważyła Zhu i dodała w niezbyt buddyjskim duchu: – Jak tak dalej pójdzie, gotów kipnąć na serce.

– Ha! Nauczyciel Fang nigdy nie umrze. Trzyma się życia żelaznym uściskiem. Po prostu z każdym rokiem, coraz bardziej zasuszony, będzie dręczył kolejne pokolenia nowicjuszy aż do reinkarnacji Księcia Światłości.

Wedle nauczyciela dharmy ponowne narodziny Księcia Światłości, materialnego uosobienia światła, będą sygnałem nastania nowej epoki pokoju i stabilizacji, której kulminacją stanie się zstąpienie z niebios Buddy, Który Przybędzie.

– W takim razie musisz na niego uważać – odpowiedziała Zhu. – Coś mi mówi, że jeśli ktokolwiek stanie się tu bohaterem skandalu z udziałem mniszek, to właśnie ty.

– Czemu ten nędzny mnich miałby gonić za mniszkami, które wyglądają jak suszone rybki? – zaśmiał się Xu Da. – Nędzny mnich ma tyle dziewczyn, ile tylko zapagnie, za każdym razem, kiedy schodzi do wiosek. – Chłopak z nawyku wpadał niekiedy w przesadnie skromną manierę mówienia, jaką mnisi posługiwali się w kontaktach ze światem zewnętrznym. Po otrzymaniu święceń został przydzielony do pracy w buchalterii, gdzie zlecono mu pobieranie od chłopów opłat za dzierżawę klasztornej ziemi, w związku z czym większość czasu spędzał poza klasztorem. Zhu, która przez sześć lat dzieliła z nim siennik, z zaskoczeniem stwierdziła, że zaczęła za przyjacielem tęsknić. – Zresztą jestem już pełnoprawnym mnichem, więc co niby nauczyciel może mi zrobić? – Xu Da wrócił do normalnego sposobu wyrażania się. – To tacy nowicjusze jak ty muszą się go bać.

Drzwi otworzyły się, zmuszając wszystkich do ukrycia czarek w rękawach. Na progu pojawił się jednak tylko jeden z nowicjuszy.

– Skończyliście? Kto chce, powinien już iść nad rzekę. Nauczyciel dharmy domaga się latarni.

Dla większości nowicjuszy Miesiąc Duchów był najprzyjemniejszym okresem całego roku. Dzięki znoszonym przez świeckich ofiarom w klasztorze było jedzenia w bród. Długie letnie dni przepełniały zimne zazwyczaj sale rozkosznym ciepłem i nawet poważniejsze ceremonie w rodzaju spławiania latarni pozwalały młodym duchownym zaznać chwili zabawy nad rzeką, gdy tylko starsi mnisi wracali do klasztoru. Z perspektywy Zhu, która widziała mieszkańców świata duchów, sprawa przedstawiała się zgoła inaczej. Przez cały Miesiąc Duchów w klasztorze dosłownie roilo się od umar-

łych. Zjawy włóczyły się po wszystkich cienistych dziedzińcach, majaczyły pod każdym drzewem. Nie było posągu, za którym nie kryłby się choć jeden duch. Bijący od nich chłód atakował mroźnymi igielkami ciało dziewczyny, aż mogła myśleć jedynie o tym, by wybiec na zewnątrz i skąpać się w oczyszczających promieniach słońca, a nieustanne drżenie, jakie wychwytywała na skraju pola widzenia, przyprawiało ją o rozstrój nerwów. Udział w obrządku spławiania lampionów nie był obowiązkowy, lecz w pierwszym roku nowicjatu Zhu wybrała się nad rzekę, wiedzona zwykłą ciekawością. Widok dziesiątek tysięcy szybujących w dół rzeki duchów o pustych spojrzeniach wystarczył, by zniechęcić ją do tego święta na resztę życia – i to zanim dowiedziała się, że kluczowym punktem zabaw, jakie następowały po ceremonii, było taplanie się w wodzie, co zakładało pozbycie się większej ilości szat, niżby sobie tego życzyła. Jakoś tak się składa, pomyślała dziewczyna z westchnieniem, że zawsze tracę najciekawsze rozrywki.

– Nie idziesz? – spytał jeden z nowicjuszy, który podszedł, by zebrać latarnie.

– Jak to? To ty nie wiesz, że nowicjusz Zhu boi się wody? – Xu Da podniósł spojrzenie z chytrym uśmieszkiem. – Twierdzi co prawda, że czasami się myje, ale osobiście mam poważne wątpliwości... – Poderwał się z miejsca, powalił Zhu na ziemię i udał, że ogląda jej skórę za uszami. – Ajja! Wiedziałem. Więcej tu brudu niż u chłopaka!

Kiedy tak na niej leżał, wyszczerzony od ucha do ucha, Zhu przypomniała sobie o dręczącym ją przypuszczeniu, że Xu Da wie na jej temat więcej, niż mogło się wydawać. Między innymi ze zdumiewającą trafnością wyczuwał momenty, gdy potrzebowała prywatności, i wypraszał wtedy z dormitorium innych nowicjuszy.

Nie chcąc jednak zagłębiać się w te rozważania, Zhu pchnęła chłopaka w pierś.

– Latarnie gnieciesz, bydlę niezdarne!

Xu Da stoczył się ze śmiechem na bok. Pozostali przyglądali im się z głęboką wyrozumiałością. Wszyscy dobrze znali ich przyjacielskie sprzeczki. Wyprowadzając grupę z sali, chłopak zawołał jeszcze przez ramię:

– Na szczęście nauczyciel Fang nie musi się martwić, że zmajstrujesz coś z mniszkami. Uciekłyby od samego zapachu.

– Przede mną? – obruszyła się Zhu. – Wszyscy dopiero co widzieli, jakie masz niezgrabne łapska. A wiadomo, że każda rozsądna kobieta przymknie oko na ociupinę potu, jeśli tylko mężczyzna potrafi ją zadowolić! Zręczny mężczyzna!

Xu Da przystanął na progu i rzucił jej zranione spojrzenie.

– Baw się dobrze! – rzuciła zjadliwie dziewczyna.



Zhu podrapała się po głowie i poczuła pod palcami płatki brudu. Xu Da nie do końca żartował: letnią porą pocila się jak wszyscy, a zakaz korzystania z łaźni sprawiał, że miała mniej niż inni okazji, by cokolwiek w tej kwestii zaradzić. Teraz jednak co najmniej połowa mnichów bawiła nad rzeką, a pozostali zgromadzili się zapewne przy ołtarzu Buddy, odmawiając ostatnie modły w intencji duchów. A dzień był naprawdę upalny. Przyjemnie byłoby choć raz porządnie się doszorować.

Jeszcze kilka lat temu Zhu zaanektowała na potrzeby swych nieczęstych ablucji mały, zapomniany składzik. Samotne, otwierające się wysoko w ścianie okno wyglądało na dziedziniec na wysokości ludzkich kostek. Kiedy dziewczyna ten magazynek znalazła, w okienku brakowało papieru, lecz kiedy go już wprawiła, miała tam tyle intymności, ile potrzebowała.

Niosąc do składzika chlupiącą balię, minęła po drodze kilka mniszek, wspinających się po stopniach ku kwaterom

gościwym. Gdy rozbierała się do mycia, uderzyła ją nieprzyjemna refleksja, że prawdopodobnie przypomina te drobne, łyse kobietki bardziej, niżby sobie życzyła. W wieku szesnastu lat dojrzała już w pełni i była dość niska (jak na mężczyznę), a ukryte pod bezkształtną szatą ciało zmieniło wygląd i zaznaczyło niewielkie piersi, które musiała ciasno obwiązywać. Od zeszłego roku doznawała nawet miesięcznych krwawień. Wciąż udawała, że jest nowicjuszem Zhu Chongbą, lecz jej ciało odmierzało mijający czas za pomocą własnego niewzruszonego zegara, co bezustannie przypominało, że osoba wiodąca to życie nie jest tą, za którą uważają ją niebiosy.

Szorując się w tym niezbyt wesołym nastroju, usłyszała szczekanie. Od pewnego czasu w klasztorze zamieszkała sfora psów, których liczebność stabilnie wzrastała, ponieważ obowiązujący mnichów zakaz zabijania wykluczał najsukrotniejszą metodę rozprawienia się z plagą zwierzaków. Zhu nie była pewna, czy psy widzą zjawy jak ona, lecz bez cienia wątpliwości potrafiły je wyczuć. Przez cały Miesiąc Duchów czworonogi były niebywale podekscytowane, a w pozostałych okresach roku od czasu do czasu widywała psy ujadające wesoło na przechodzące obok niematerialne postacie.

Sfora wpadła na dziedziniec. Rozległo się entuzjastyczne szczekanie, pazury zachrobotyły o kamień, a moment później jeden z psów przebił z impetem papierowe okienko i wyładował prosto na niej. Zhu zawyla i zamachała rękoma. Pies uczynił to samo i spowolnił swój upadek, drapiąc łapami wiążące się pod nim ciało dziewczyny. Zhu wrzasnęła ze zdwojoną energią, odtrąciła zwierzę, podbiegła do drzwi i otworzyła je szarpnięciem, a kiedy psisko rzuciło się w jej stronę, poczęstowała je kopniakiem, który posłał skowyczącą bestię na zewnątrz. Zdyszana dziewczyna zatrasnęła drzwi z powrotem i poczuła, że cuchnie jeszcze gorzej niż przedtem: błoto, sierść i coś, co musiało być nutą psiego moczu.

Moment później wpływające przez rozdarte przepierzenie światło przygasło, a kiedy Zhu podniosła spojrzenie, ujrzała w oknie twarz osłupiałego Fanga. W oczach mnicha gorzały wściekłość i oburzenie.

朱

Nauczyciel zniknął. Zhu, która nagle skostniała z zimna, sięgnęła niezgrabnie po ubranie i z łomocącym sercem obwiązała się zewnętrzną szatą. Zdażyła dosłownie w ostatniej chwili. Fang obszedł budynek i otworzył drzwi magazynku z taką furją, że huknęły o ścianę głośno niczym burzowy grzmot. Gdy chwycił Zhu za ucho i wyciągnął ją za próg, dziewczyna rozpoznała przeraźliwy dotyk przeznaczenia, przed którym tak długo umykała, i poczuła ogarniający ją od stóp do głów strach. Przepelnione paniką myśli mieszały się jedna z drugą. Gdyby uciekła, zostałoby jej jedynie to, co miała na grzbiecie. A bez potwierdzających otrzymanie święceń blizn i mnisiego stroju nie mogła nawet marzyć o przyjęciu do innego klasztoru – w drodze do którego mogłaby zresztą zginąć.

Fang ponownie pociągnął ją boleśnie za ucho. Starzy mni-si bez lęku traktowali nowicjuszy w podobnie szorstki sposób, nawet nie dopuszczali do siebie myśli, że chłopak może stawić opór. Prowadząc za sobą Zhu, przemierzał korytarz i z malującą się na twarzy złowrobną determinacją otwierał kolejne drzwi. Kiedy dotarli do ostatnich i nie miał już czego otwierać, przysunął twarz do twarzy dziewczyny.

– Gdzie ona jest!? – wrzasnął na cały głos.

– Co? – zdziwiła się. – Kto? – Szarpnęła się do tyłu i niemal straciła równowagę, kiedy uwolnił wreszcie jej eksploatujące bólem ucho.

– Mniszka! Wiem, że miałeś tu mniszkę! – syknął nauczyciel Fang. – Widziałem ją nagą! Bezwstydnie gwałcisz

nakazy! Utrzymujesz kontakty seksualne z kobietami! Która to była, nowicjuszu Zhu? O, możesz mi wierzyć, doprowadzę do wydalenia was obojga...

I nagle w przerażenie dziewczyny wdarło się gwałtownie wzburzające uczucie, w którym rozpoznała dalekiego kuzyna śmiechu. Ledwie mogła uwierzyć. Nauczyciel Fang zobaczył w magazynku coś, czego obsesyjnie wypatrywał już od dawna. Zobaczył ciało Zhu i wziął ją za mniszkę. Niemniej mimo pomyślnego zbiegu okoliczności dręczyła ją przyprawiająca o mdłości świadomość, że kryzys nie minął. Jeszcze się nie wywinęła. Bo gdyby zaprzeczyła, że złamała nakazy, to kim byłaby nauczycielka?

– Nie chcesz mówić? – Oczy nauczyciela Fanga lśniły jasnym płomieniem: płał się w małostkowym poczuciu władzy, jedynej rozkoszy, jakiej kiedykolwiek zaznało jego zaszuszone ciało. – Mało to ważne. Bądź pewien, że nigdy nie dostąpisz święceń, nowicjuszu Zhu. Kiedy mistrz usłyszysz ode mnie, coś zrobił, będziesz niczym.

Chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą schodami pod górę, w kierunku tarasu, gdzie znajdował się gabinet przełożonego klasztoru. Potykająca się u boku starego nauczyciela dziewczyna z wolna zdała sobie sprawę, iż narasta w niej uczucie, którego po raz ostatni posmakowała w czystej formie bardzo dawno temu, w dniu, gdy klęczała w Zhongli nad zwłokami brata.

Gniew.

Emocja tak pierwotna i instynktowna, że prawdopodobnie zszokowałyby mnichów bardziej niż jakakolwiek forma fizycznej żądy. Od duchownych wymagano, by starali się ograniczać przywiązanie do wszystkich rzeczy na świecie, lecz dla Zhu od początku był to cel nieosiągalny: z życiem łączyła ją więź silniejsza, niż ktokolwiek w klasztorze zdołałby pojąć. Teraz, po tym co wycierpiała, by żyć życiem Chongby, po prostu nie mogła dopuścić, aby jakiś zgorzkniały, wy-

schnięty na wiór, stary nauczyciel nowicjuszy sprawił, że doścignie ją przeznaczona nicość. Nie ty uczynisz mnie niczym! – pomyślała, czując w sercu determinację tak czystą i twardą jak dźwięk brązowego dzwonu. Nie zgadzam się!

Pod rosnącymi wzdłuż schodów magnoliami szybowало obojętnie kilka zjaw. Ich białe stroje i długie, luźno zwisające włosy tworzyły w półcieniu kalejdoskop plam światła i mroku. Zhu, pokonująca w ślad za nauczycielem kolejne wąskie i strome stopnie, zrozumiała nagle, że w tej chwili Fang jest jedyną osobą, która wie, co między nimi zaszło. Aż zaparło jej dech w piersiach. Czy ktokolwiek mógłby nabrać podejrzeń, gdyby spotkał go nieszczęśliwy wypadek? Co bardziej wiekowi mnisi spadali tu ze schodów właściwie bez przerwy. Fang był od niej znacznie większy i bardziej masywny. Z drugiej strony Zhu była młoda i silna. Jeżeli zdoła go zaskoczyć... Jednak mimo płonącego w sercu gniewu ogarnęło ją wahanie. Podobnie jak inni nowicjusze, łamała klasztorne nakazy notorycznie, lecz każdy rozumny człowiek musiał zdawać sobie sprawę, że istnieje różnica pomiędzy drobnymi grzeszkami w rodzaju pijaństwa czy kontaktów seksualnych a morderstwem.

Wahała się wciąż, gdy weszli na jeden ze środkowych tarasów, gdzie woń dojrzewających na słońcu śliwek daremnie usiłowała zamaskować aromat mniej przyjemny. Budynek latryny przystrojony był kołyszącymi się na wietrze latarniami w kształcie kwiatów lotosu: widocznie jakiś nowicjusz niespecjalnie dbał o zadowolenie ofiarodawców, którzy sowicie płacili za wypisanie na lampionach nazwisk przodków, by ich duchom wiodło się lepiej. Nie był to zresztą jedyny niegodny pochwały postępек, jaki widział ten dziedziniec. To właśnie te śliwy dostarczyły Zhu owoców na jej domowe wino, którego zapas zresztą właśnie tutaj magazynowała. Z wychodka cuchnęło na tyle odstręczająco, że nikt nie bawił tu dość

długo, by zauważyć, że opadłe śliwki spod drzew zniknęły, zastąpione dzbanami z dojrzewającym trunkiem.

Ledwie spojrzenie dziewczyny padło na drzewa, zrozumiała, co może zrobić. Naturalnie złamie liczne nakazy. Ale nie ten, nie najpoważniejszy.

Niezupełnie.

Zatrzymała się tak gwałtownie, że niemal przewróciła prowadzącego ją nauczyciela Fanga.

– Pozwól mi skorzystać z latryny.

– Wytrzymasz. – Fang zmierzył ją pełnym niedowierzania wzrokiem.

– Nie chcę sikać – wyjaśniła Zhu. – Ty oczywiście nie masz o tym pojęcia, ale po... hmm... po zbliżeniu z kobietą dobrze jest się obmyć... – Podkreśliła wypowiedź gestem niepozostawiającym wiele miejsca wyobraźni, po czym przywołała na twarz najbardziej uduchowioną minę, na jaką było ją stać, i dodała oskarżycielskim tonem: – Nie chcesz chyba obrazić mistrza, prowadząc mnie do niego w tak nieczystym stanie...

Fang drgnął, wypuścił jej ramię jak oparzony i wytarł dłoń o szatę. Dziewczyna obserwowała go z poczuciem gorzkiej ironii. Skoro tak bardzo obrzydliwa była mu myśl o brudnych kobiecych wydzielinach, to jak by zareagował, gdyby dowiedział się, jakiego ciała dotyka naprawdę?

– Idź! Idź i wymyj się porządnie, ty... ty brudasio! – warknął nauczyciel.

Gdzieś pod zewnętrzną powłoką odrazy i świętego oburzenia Zhu wyczuła tłącą się w nim lubieżność. Wchodząc do wychodka, pomyślała zimno, że lepiej jest być jak Xu Da – mnichem niedoskonałym, za to szczerze i uczciwie oddającym się pożądaniu. Tłumienie żądz wystawia jedynie człowieka na pastwę innych ludzi, przenikliwych na tyle, by dostrzec i wykorzystać to, do czego nie potrafimy przyznać się sami.



Klasztor Wuhuang, 1352,
siódmy miesiąc

Z hu przymknęła za sobą drzwi latryny, przeszła ostrożnie po uwalanych ekskrementami kafelkach i spojrziała na szczelinę wentylacyjną otwierającą się między ścianą a sufitem. Szpara była znacznie ciaśniejsza, niż zapamiętała. Dziewczyna podskoczyła jednak od razu, nie chciała dać czasu zwątpieniu. Wyprostowane palce zaczepiły o krawędź; drapiące o ścianę sandały znalazły oparcie na nierówności gipsu. Gdyby nie to, że wysiłek ledwie pozwalał jej oddychać, mogłaby się roześmiać: pośród wszystkich rozrośniętych nowicjuszy jedynie ona ze swym mikrym, niemęskim ciałem miała ramiona na tyle wąskie, by przecisnąć się przez tak ciasny otwór. Moment później wygramoliła się po drugiej stronie i spadła głową naprzód na miękką ziemię pod śliwami. Pozbierała się natychmiast i najciszej jak potrafiła odłamała z najbliższego drzewa nisko zawieszoną gałąź. Serce waliło jej jak młotem. Czy nauczyciel Fang usłyszał? Trzask pękającego drewna musiał jednak szczęśliwie utonąć

w radosnych odgłosach celebracji dobiegających z sąsiednich tarasów. Mnisi, którzy zrezygnowali z udziału w rytualnym spalwaniu latarni, skończyli już recytować sutry i oddali się świątecznej fecie. Zhu przemknęło przez myśl, że nauczycielowi Fangowi i to zapewne było nie w smak.

Chwyciła jeden ze stojących pod śliwami dzbanów, w drugiej dłoni ścisnęła gałąź i pobiegła ku schodom. Stanowczo zbyt wcześnie usłyszała gniewny okrzyk: nauczyciel Fang odkrył jej ucieczkę i ruszył w pościg. Skupienie wymazało z umysłu dziewczyny wszelkie myśli wyższego rzędu. Stała się czmychającą przed drapieżnikiem zwierzyną łowną, w tej chwili liczył się jedynie sam fakt przetrwania. Jej płuca paliły jak rozgrzane do czerwoności, łydki rwały bólem. Wydawane przez spracowane ciało odgłosy: świst, stukot, szelesty dudniły Zhu w uszach. Pędziła gnana świadomością, że od tej gonitwy zależy całe jej życie. Nie odejdę z klasztoru, myślała. Nie odejdę!

Kroki prześladowcy ucichły w dali, lecz nie oznaczało to ułaskawienia. Nauczyciel wiedział, że Zhu pobiegnie do gabinetu mistrza błagać o litość. Musiał ruszyć w tę samą stronę inną trasą, z nadzieją, że ją uprzedzi. A w tym wyścigu kwestia wygranej była rozstrzygnięta z góry na jego korzyść. Fang nie był tak szybki jak ona, lecz przemierzał labirynt klasztornych dziedzińców dwakroć dłużej, niż Zhu chodziła po świecie. Znał wszystkie tajne schody i każdy możliwy skrót. Dziewczyna jednak wcale nie musiała zwyciężyć w gonitwie do gabinetu mistrza. Wystarczyło, że szybciej niż nauczyciel dobiegnie do pewnego konkretnego tarasu.

Jeszcze jeden ciąg schodów i zziębnięta Zhu wbiegła na równy teren. Mgnienie później po przeciwnej stronie tarasu rozległo się kłapanie bijących o stopnie sandałów. W ostatniej chwili wskoczyła w płamę cienia u szczytu tych drugich schodów. Przygotowała się, zważyła w dłoni gałąź – i gdy tylko ujrzała jajowatą głowę nauczyciela, uderzyła.

Usłyszała głucho stuknięcie. Fang padł. Zhu poczuła w piersi ucisk dojmującej niepewności. Czy dobrze oszacowała siłę? Musiała zadać mocny cios; gdyby nie ogłuszyła nauczyciela, zobaczyłby ją i wszystko zrozumiał. To byłoby najgorsze z możliwych rozstrzygnięć. Jeśli jednak włożyła w cios zbyt wiele energii... Kucnęła przy głowie nauczyciela i z ulgą poczuła na wnętrzu dłoni oddech. Nie zabiła. Spojrzała na obwisłą, pomarszczoną jak tofu skórę jego twarzy i zaczęła się modlić, by się ocknął. Po chwili poczuła w dłoniach pierwsze igiełki paniki. Im dłużej pozostawał nieprzytomny, tym większe było prawdopodobieństwo, że ktoś ją przydybie.

Po boleśnie dłużącym się oczekiwaniu z ust Fanga popłynął wreszcie słaby jęk. Zhu nigdy jeszcze tak bardzo nie ucieszyła się na dźwięk głosu nauczyciela. Ostrożnie, wciąż nie pokazując swojej twarzy, pomogła mu usiąść.

– Co się stało? – wychrypiał. Niepewnym gestem sięgnął do skroni, jakby próbując sobie przypomnieć, dokąd tak przed chwilą gnał.

Dziewczyna zauważyła, że ręka starca drży z bólu i konsternacji. Poczuła w sobie jasny, gorący płomień determinacji. To mogło się udać. Na pewno się uda.

– Ajja! Mogłeś się naprawdę poważnie zranić! – powiedziała, podnosząc ton do najbardziej kobiecego rejestru, jaki zdołała osiągnąć. Miała nadzieję, że ten zabieg nie pozwoli Fangowi jej rozpoznać. – Dokąd ci było tak spieszo, czcigodny mnichu? Upadłeś. Ale to chyba nic poważnego. Proszę, wypij to lekarstwo. Od razu poczujesz się lepiej.

Wciąż nie wysuwając się zza pleców nauczyciela, podała mu dzban. Przyjął go, nawet nie patrząc, i zaczął pić, pokazując nieco, gdy nieznany smak podrażnił mu przełyk.

– O, to, to! – pochwaliła Zhu. – Na ból głowy nie ma nic lepszego!

Zostawiła nauczyciela z ustami przywartyymi do dzbana i przemknęła po dziedzińcu do znajdującego się po drugiej stronie tarasu dormitorium. Przez natłuszczony papier w oknie sączyło się ze środka światło, chichot i szepty. Serce Zhu zabiło jeszcze żywiej. Zacerpnęła głęboko powietrza i wrzasnęła głosem tak głośnym i wysokim, jak potrafiła:

– Intruz!

Kiedy rozległy się pierwsze okrzyki, dziewczyna była już w połowie schodów i pędziła dalej przed siebie. Mniszki wybiegały z dormitorium i wznosiły pod niebo oskarżycielskie piski, które Zhu nawet z daleka słyszała tak wyraźnie, jakby wciąż stała na dziedzińcu. Mnich! Co gorsza, mnich pijany w sztok! Naruszył i skałił intymność ich gościnnej kwatery, niewątpliwie wiedziony najbardziej lubieżnymi z myśli! Kpinę uczynił z własnych ślubów, okazał się fałszywym sługą dharmy...

No i kto tu gwałci nakazy? – pomyślała Zhu z zadowoleniem, sprężyście przeskakując kolejne stopnie.

朱

Zhu i Xu Da stali na najwyższym tarasie klasztoru i przyglądali się wychodzącemu z gabinetu mistrza Fangowi. Starzec miał na sobie krótki chłopski kaftan. Od ich nauczyciela różnił się w tej chwili wyglądem tak bardzo, jak wyglądniały duch różni się od człowieka, którym był za życia. Gdy mniszki zastały pijanego nauczyciela na dziedzińcu gościnnego dormitorium, ich przełożona wpadła w szal i udała się prosto do mistrza, wskutek czego skompromitowany i pohańbiony Fang został pozbawiony mnisiej szaty. Teraz przystanął, wyraźnie niepewny, co ze sobą począć. Po chwili zwiesił jednak głowę i poczłapał w dół schodów prowadzących ku bramie klasztoru.

Nauczyciel był niewinny. Za wszystko, co go spotkało, odpowiadała Zhu. Dziewczyna była w duchu zadowolona, cieszyła się, że zrealizowała ten plan zamiast pierwotnego. Osiągnęła zamierzony skutek i co do tego nie było żadnych wątpliwości. Zbadała swoje serce i odkryła w nim współczucie, lecz ani krztyny żalu. Zrobiłabym to ponownie, pomyślała z ogniem. To życie należy już do mnie i uczynię wszystko, żeby je zachować.

– Dowiedział się, prawda? – spytał stojący obok Xu Da. – To dlatego posunęłaś się aż tak daleko?

Zhu spojrzała na chłopaka z malującym się na twarzy przerażeniem. Na moment opętała ją straszliwa myśl, że będzie musiała postąpić z nim w identyczny sposób jak z nauczycielem. Oblicze młodego mnicha pozostało jednak niewzruszone – przypominał kamiennego bodhisattwę, a jego oczy, podobnie jak twarze posągów, tchnęły empatią i zrozumieniem. Dygocąc z ulgi, uświadomiła sobie, że w głębi duszy od dawna zdawała sobie sprawę, iż Xu Da wie.

– Od kiedy...? – pytanie zawisło w powietrzu.

– Młodszy braciszku – Xu Da zachował pozory powagi, choć widać było, że wymaga to od niego heroicznego wręcz wysiłku – dzieliłem z tobą posłanie przez sześć lat. Być może inni mnisi nie mają pojęcia, jak wygląda kobiece ciało, ale ja wiem doskonale.

– Słowem nie dałeś znać... – zauważyła ze zdumieniem Zhu. Ogarnęła ją dojmująca fala nostalgii na myśl o wszystkich sytuacjach, w jakich musiał ją kryć i chronić, podczas gdy ona trwała w błogiej nieświadomości.

– A co mi za różnica? – Chłopak wzruszył ramionami. – Jesteś moim bratem, bez względu na to, co skrywa twoja szata.

Zhu bacznie przyjrzała się twarzy chłopaka, rysom, które znała lepiej niż własne. Każdy człowiek decydujący się przywdziać mnisią szatę powinien rozstać się z ideą rodzinnych

więzi. Z tej perspektywy wydało jej się dość zabawne, że dopiero po wstąpieniu do klasztoru zrozumiała, czym one są w istocie.

Za ich plecami ktoś uprzejmie zakasłał. Służący mistrzowi mnich, jeden z grona osobistych sekretarzy.

– Mnichu Xu! – zaczął, składając zagadniętemu płytki ukłon. – Wybacz, że przeszkadzam – dodał, po czym zwrócił się znacznie bardziej surowo do Zhu: – Nowicjuszu Zhu, teraz mistrz chce widzieć ciebie.

– Co? – Niedowierzanie ścisnęło serce dziewczyny. – Dlaczego?

Co dość oczywiste, Fang musiał w rozmowie z mistrzem upierać się przy swojej niewinności. Prawdopodobnie też obrzucił ją przy tym bezlikiem oskarżeń. Tylko czy wysuwane przez pohańbionego mnicha insynuacje mogą być w najmniejszym stopniu wiarygodne? Przecież mistrz nie mógł dać im wiary. Czując w głębi ducha pierwsze oznaki paniki, Zhu przebiegła w myślach wszystko, co zrobiła w latrynie i potem, na dziedzińcu mniszek. Nie, nie popełniła żadnego błędu. Powinno było się udać, stwierdziła w duchu, po czym poprawiła się stanowczo, po to by przekonać samą siebie: udało się. Tu chodzi o coś innego...

– Jestem przekonany, że sprawa nie jest poważna – rzucił Xu Da pospiesznie, widząc wyraz twarzy Zhu. Sam jednak minę miał równie nietęgą jak samopoczucie dziewczyny. Oboje znali prawdę: przez wszystkie lata, jakie spędzili w klasztorze, jeszcze żaden nowicjusz nie złożył mistrzowi wizyty, która nie skończyłaby się wydaleniem.

Tuż zanim się rozstali, chłopak ścisnął jej ramię w niemym geście braterstwa. Wchodząc na schody, Zhu poczuła żal. A jednak popełniłam błąd, pomyślała. Trzeba było go zabić.

Zhu nigdy jeszcze nie przebywała w podobnym pomieszczeniu, nie mówiąc o gabinecie przełożonego klasztoru. Stopy roztrzęsionej dziewczyny tonęły we wzorzystym dywanie; oko przykuwał połysk palisandrowych stolików. Za otwartymi drzwiami widać było rosnące na dziedzińcu drzewka lagerstremii, smukłe łodygi połyskiwały złotem w rozsiewanym przez latarnie blasku.

Siedzący za biurkiem mistrz wydał się Zhu większy, niż kiedy oglądała go z oddali podczas porannych obrządków, a jednocześnie w pewien sposób mniejszy. Na tysiąc jej przyziemnych, banalnych wspomnień wciąż nakładał się fundamentalny obraz z ich pierwszego spotkania, z chwili gdy niczym osądzający ludzkie dusze Król Piekła stanął nad marznącą niemal na śmierć dziewczyną, skuloną przed klasztorными wrotami. To właśnie wtedy w odpowiedzi na jego pytanie naprawdę i bez reszty przejęła życie Zhu Chongby.

Przytłaczający ciężar jego władzy pchnął dziewczynę na podłogę, wcisnął jej czoło w gruby kobierzec.

– Ach, nowicjusz Zhu. – Usłyszała szelest. Mistrz wstał. – Dlaczego słyszę o tobie tak często?

Zhu ujrzała w duchu, jak mnich spokojnie wyciąga nad nią dłoń, równie gotową odebrać jej życie Zhu Chongby, jak podarować je na wieki. Fala czystego sprzeciwu poderwała jej czoło ku górze i dziewczyna zrobiła coś, na co nigdy nie ważył się żaden nowicjusz: spojrzała mistrzowi prosto w oczy. Nawet tak drobny w istocie akt nieposłuszeństwa okupiła potężnym wysiłkiem. Gdy spotkali się wzrokiem, pomyślała, że mistrz nie może nie widzieć wylewającej się z niej żądz. Jej niegodnego mnicha przywiązania do życia – pragnienia przetrwania.

– Historię z nauczycielem Fangiem uważam za wyjątkowo niefortunną – odezwał się mistrz, nie zdradzając tonem, czy niecodzienna śmiałość dziewczyny wywarła na nim dobre, czy złe wrażenie. – Jest mi przykro, że w tak sędziwym

wieku muszę zajmować się tego rodzaju sprawami. A jak szkaradnie oczernił ciebie, nowicjuszu Zhu! Opowieść, jaką od niego usłyszałem, była naprawdę wstrętna. Co ty na to?

Serce Zhu, które zamarło, gdy tylko z ust mistrza padło nazwisko nauczyciela, ożyło i przepełniła je ulga. Skoro wezwał ją po to jedynie, by zaprzeczyła oszczerstwom Fanga...

– Szacowny mistrzu! – wypaliła i ponownie skuliła się na dywanie. Głos dziewczyny łamał się pod naporem szczerych emocji, które przy braku prawdy były jedynym, co miała do zaoferowania. – Nędzny nowicjusz klnie się na cztery relikwie, że nigdy nie uczynił niczego, co usprawiedliwiłoby kalumnie, jakimi obrzuca mnie nauczyciel Fang. Jestem niegodnym młodzikiem, ale zawsze byłem posłusznym!

Zerknęła na obleczone w nieskazitelnie czyste skarpety stopy mistrza, które wraz z rozkołysanym rąbkiem złotej szaty okrążyły biurko.

– Zawsze? Czyżbyś nie był człowiekiem, nowicjuszu Zhu? A może dostąpiłeś już oświecenia? – Zatrzymał się tuż przed nią i poczuła jego spojrzenie na potylicy. – Niezwykle to ciekawe – podjął spokojnie. – Gdyby dowody nie przeczyły tak jawnie moim wrażeniom, uznałbym, że nauczyciel Fang nie skosztował w życiu ani kropli wina.

Słowa duchownego zabrzmiały bardzo wymownie. Zhu poczuła mroźny dreszcz, który sięgnął aż śledziony.

– Szacowny mistrzu...?

– Naprawdę go w to wrobiłeś, prawda? – rzucił mistrz i nie czekając na odpowiedź, trącił ją stopą. – Wyprostuj się wreszcie!

Kiedy Zhu podniosła się na kolana, z przerażeniem zobaczyła, co mistrz trzyma w dłoniach.

Dwa dzbany wina. Ten, który dziewczyna zostawiła nauczycielowi, i drugi, identyczny, który ostatnio widziała w dormitorium w rękach swawolących nowicjuszy.

– Uważam za dość zabawne – ciągnął mnich, przyglądając się naczyniom – że choć pokolenie mija za pokoleniem, nowicjusze niezmiennie łamią te same zakazy. – Przez moment w jego tonie dało się słyszeć rozbawienie. Szybko jednak zniknęło i dalej mówił już bardzo surowo: – Nie podobą mi się, kiedy ktoś inny czyni mnie narzędziem własnych niecných knowań, nowicjuszu Zhu.

Niezbity dowód potwierdzający, że złamała zasady klasztorного życia, miała tuż przed sobą, mistrz ścisnął go w rękach. Zdjęta grozą dziewczyna nie potrafiła w tej chwili uwierzyć, że miała czelność naruszyć pomniejszych zakazy wraz z pozostałymi nowicjuszami. Uczyniła to, sądząc, że jest taka sama jak oni. Ufając, że naprawdę stała się Zhu Chongbą. Może nigdy nie miałam szansy uciec przed losem, pomyślała ze ściśniętym sercem. Może wszelkie moje wysiłki były z góry skazane na porażkę. Ledwie jednak ta myśl powstała w jej głowie, dziewczyna stwierdziła, że w nią nie wierzy, że nie może w nią uwierzyć.

– Szacowny mistrzu! – zawołała, po raz kolejny przypadając do dywanu. – To jakaś pomyłka...

– Dziwne, nauczyciel Fang mówił dokładnie to samo. – Brzmiące w głosie mistrza niezadowolenie miało moc żywiołu; było jasną i wyraźną obietnicą unicestwienia.

Nastąpiła chwila milczenia. Zhu słyszała jedynie jałowy szelest kołyszących się na dziedzińcu drzew i poczuła, jak ta jałowość i pustka sączą się w głąb jej duszy, kropla za kroplą. Wypełniały ją niepowstrzymanie, mimo że dziewczyna opierała się, błagała i wściekała się.

Wtem stojący nad nią mistrz wydał z siebie dźwięk tak nieoczekiwany, iż Zhu w pierwszej chwili nie rozpoznała w nim słów.

– Och, podnieś się już! – rzucił, a kiedy Zhu zerknęła nieśmiało ku górze, w jej oczach zagościło bezkresne zdumienie:

mistrz się śmiał! – Nigdy nie przepadałem za nauczycielem Fangiem, tą zasuszoną papają. Od początku żywił do mnie urazę. Był zdania, że mistrzem powinien zostać najbardziej świętoszkowaty z mnichów. – Uniósł dzban do ust i spoglądając ponad krawędzią dziewczynie w oczy, pociągnął spory łyk wina. – Zielone śliwki, prawda?

Mistrz łamał zasady! Zhu opadła szczęka.

Przełożony klasztoru zauważył jej minę i parsknął śmiechem.

– Ach, nowicjuszu Zhu. Świętoszek nie byłby w naszych niepewnych czasach dobrym mistrzem. Czy myślisz, że klasztor Wuhuang przetrwał aż tak długo pośród zbuntowanych nanrenów i palających żądzą odwetu Mongołów wyłącznie dzięki życzliwemu spojrzeniu niebios? Zaręczam, że nie! Wiem, co trzeba robić, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo, i robię to, nie bacząc, czy są to uczynki godne mnicha. Och tak, rozumiem, że w przyszłych wcieleniach przyplączę to cierpieniem. Kiedy jednak zadaję sobie pytanie, czy warto ponieść cenę przyszłego bólu w imię życia, jakie wiodę obecnie, za każdym razem dochodzę do wniosku, że tak.

Kucnął i spojrzał klęczącej Zhu w oczy. Jego więdnącą skórę ujędrniała od wewnątrz rozwibrowana energia: dzika i zawzięta, zupełnie niereligijna radość człowieka, który z pełną świadomością odrzucił szansę na osiągnięcie nirwany, przyznając pierwszeństwo własnemu przywiązaniu do życia. Oszołomiona, zapatrzona w mistrza Zhu ujrzała w nim własne odbicie.

– Wiesz? Pamiętam cię. To ty czekałeś przed bramą. Cztery dni o głodzie i chłodzie! Już wtedy wiedziałem, że masz silną wolę. Tym jednak, co w tobie najbardziej niezwykle, jest fakt, że większość ludzi obdarzonych taką siłą woli nie pojmuję, że sama tylko wola nie stanowi gwarancji przetrwania. Nie zdają sobie sprawy, że jeszcze bardziej niż silna wola



o przetrwaniu decyduje zrozumienie innych ludzi i mechanizmów władzy. Fangowi z pewnością nie brakowało woli! Ale to ty uświadomiłeś sobie, że możesz obrócić przeciwko niemu siłę znacznie większą, a co więcej, nie zawahałeś się tego uczynić. Ty, nowicjuszu Zhu – dodał na zakończenie mistrz – i to, to właśnie niezwykle mnie intryguje.

Nikt nigdy nie przyglądał jej się tak bardzo uważnie jak on w tej chwili. Dziewczyna zadrżała pod spojrzeniem mnicha, strach padł na nią niczym cień drapieżnego zwierzęcia. Mimo że zainteresowanie mistrza mogło oddalić widmo wydalenia, wydało jej się niebezpieczne ponad wszelką miarę, że ktokolwiek dostrzegł w niej coś, co należało wyłącznie do niej. Jedyną cechą nowicjusza Zhu Chongby, która zrodziła się w jej własnej duszy: niezłomną wolę życia.

– Poza murami klasztoru narasta chaos i przemoc – podjął w zamyśleniu mistrz. – W miarę upływu czasu coraz trudniej jest utrzymywać nasze delikatne położenie pomiędzy buntownikami i Mongołami. Jak ci się wydaje, z jakiego powodu tak uparcie nalegam na konieczność kształcenia mnichów? Otóż nie siła, ale wiedza będzie narzędziem, które pozwoli nam przetrzymać nadchodzące trudne czasy. Nasze zadanie polegać będzie na zabezpieczeniu majątku i pozycji, jaką się w tym świecie cieszymy. I żeby to zadanie wypełnić, potrzebuję mnichów dysponujących intelektem i pragnieniem przeniknięcia zasad rządzących tym światem. Trzeba mi ludzi skłonnych i potrafiących wykorzystać tę wiedzę ku naszej korzyści. Mnichów będących w stanie zrobić to, co konieczne. – Wstał i spojrzał na dziewczynę z góry. – Niewielu duchownych wykazuje ten typ charakteru. Ty jednak, nowicjuszu Zhu... w tobie tkwi potencjał. Może zechcesz w czasie, jaki został ci do święceń, pracować dla mnie? Nauczę cię wszystkiego, czego nie dowiesz się od świętoszka, którym wkrótce zastąpię Fanga. Dzięki mnie zrozumiesz, jakie regu-

ły rządzi światem naprawdę. O ile tego właśnie chcesz. – Pomarszczoną twarz mistrza przeciął szeroki uśmiech.

„Sama tylko wola nie stanowi gwarancji przetrwania”. Wciąż czując w kościach egzystencjalną grozę, o jaką przyprowadziła ją konfrontacja z Fangiem, Zhu nie musiała się długo zastanawiać. Tym razem już się nie płaszczyła, a drżenie głosu zniknęło bez śladu. Podniosła wzrok i niemal wykrzyknęła:

– Nędzny nowicjusz z najwyższą wdzięcznością przyjmie wszelką wiedzę, jaką szacowny mistrz raczy go obdarzyć! Nędznik, którego masz przed sobą, obiecuje, że uczyni wszystko, co konieczne!

Przełożony klasztoru Wuhuang zaniósł się głośnym śmiechem i wrócił za biurko.

– Ach, nowicjuszu Zhu. Nie składaj mi żadnych obietnic. Nie masz pojęcia, co cię czeka.

1354, dziewiąty miesiąc

Niebo wciąż było ciemne, nie mogła jeszcze nawet minąć godzina tygrysa, gdy Zhu drgnęła, wyrwana ze snu przez hałas otwierających się drzwi. Po chwili do jej niewielkiego pokoju wszedł Xu Da i przysiadł na skraju siennika.

– Nie do wiary, że pozwalają ci spać w przeddzień święceń! – rzucił szorstko. – Nas Fang zmuszał do całonocnej medytacji.

– No wiesz, nauczyciela Fanga już nie ma – zaśmiała się dziewczyna i usiadła na posłaniu. – Przyznam też, że nie rozumiem, dlaczego za każdym razem, kiedy wspominasz swoje święcenia, zachowujesz się, jakby to było nie wiadomo jak dawno. Masz ledwie dwadzieścia trzy lata!

Zhu miała lat dziewiętnaście, więc teoretycznie do wieku pozwalającego przyjąć święcenia brakowało jej roku, lecz po-

dobnie jak w przypadku innych różnic pomiędzy nią a Zhu Chongbą, który byłby teraz dwudziestolatkiem, starała się o tym nie myśleć. Chociaż od incydentu z nauczycielem minęły dwa monotonne, spokojne lata, dziewczyna wciąż bała się, że jakiegokolwiek potwierdzenie jej odmienności od brata – nawet zwykła myśl – może dać niebiosom znać, iż nie wszystkie sprawy toczą się tak, jak powinny.

Gdy wzrok Zhu dostosował się do mroku, zauważyła, że Xu Da ma na sobie słomkowy kapelusz i szal podróżny.

– Znowu znikasz? Dopiero co wróciłeś.

– Wynikła pewna sprawa. – Uśmiech chłopaka podobny był do jaśniejszego w ciemności sierpa księżycy. – Nauczyciel Wen zajęty jest święceniami, więc poprosił, żebym go wyręczył. Swoją drogą, czy mogę zapytać cię o zdanie? Jedna z wiosek odmawia uiszczenia opłaty za dzierżawę. Twierdzą, że dopiero co odwiedzili ich buntownicy i ściągnęli podatek na rzecz rebelii, w związku z czym nie są w stanie wywiązać się z umowy z nami. Czy powinniśmy naciskać, czy ustąpić? – Xu Da, podobnie jak pozostali mnisi, zdawał sobie sprawę, że dzięki bliskim stosunkom Zhu z mistrzem dziewczyna jest niemal równie dobrym źródłem informacji o stanie interesów klasztoru jak sam jego przełożony.

– Wioski nie mogli odwiedzić prawdziwi powstańcy – zauważyła. – Ich siły od początku miesiąca związane są walką z oddziałami Cesarstwa Wielkich Yuanów. Coś jednak musiało się tam wydarzyć. Plony mamy w tym roku obfite, dlatego nie rozumiem, czemu wieśniacy mieliby opierać się przed płaceniem. Może ograbili ich podszywający się pod rebeliantów bandyci? – Słowo „bandyci” wywołało w jej pamięci nieprzyjemny rezonans, zignorowała go. – Zaproponuj odroczenie spłaty do następnych zbiorów. Jeżeli ich teraz nie przyciśniemy, powinni mieć czym siać na wiosnę. Oczywiście ustal procent, ale połowę zwyczajowego. Nie możemy

oczekiwać, żeby stawiali opór armii rebeliantów, ale gdyby stworzyli własną milicję, mogliby przepędzić zwykłych rzeźmieszków. Podejrzewam, że narzucając procent, nakłonimy ich, żeby zaczęli się wreszcie organizować.

– Żeby podjąć walkę z bandytami, musieliby być odważniejsi ode mnie – zauważył cierpko Xu Da. – Biedni durnie. Ale tak wszystko, co mówisz, brzmi rozsądnie. Dzięki. – Zamknął ją w ciepłym uścisku i wstał. – Przykro mi tylko, że przegapię twoje święcenia. Powodzenia! Kiedy spotkamy się ponownie, obaj będziemy mnichami.

Gdy chłopak zniknął za drzwiami, Zhu zapaliła zabraną z latarni w korytarzu świeczkę i obmyła się. Jej pokój, tradycyjnie zajmowany przez w pełni wyświęconych mnichów pełniących szaczną funkcję osobistego sekretarza mistrza, bezpośrednio przylegał do sypialni przełożonego klasztoru. Dziewczyna zapukała łagodnie do jego drzwi i kiedy usłyszała zaproszenie, weszła do środka.

Mistrz stał na progu tarasu.

– Nowicjusz Zhu – przywitał ją. – Wcześniej jeszcze. Nie możesz spać?

– Mnich Xu mnie zbudził. Przyszedł się pożegnać.

– Ach tak. Wielka szkoda, że nie może zostać w tak ważny dla ciebie dzień.

Na zewnątrz przybywało światła. Świergotały już ptaki, a coraz wyraźniejszy chłód jesieni obmywał okolicę ostrym tchnieniem, podkreślonym srebrzystą wonią pokrywającej liście drzew rosy. Spoza cienistej doliny nadciągały podobne do morskiej fali, skłębione chmury. Jeszcze dalej na rozległej równinie ciemniała niewyraźna plama.

– W tym roku wielmożny Esen wdarł się na tereny rebeliantów bardzo głęboko – zauważyła Zhu. Już kilka lat upłynęło, odkąd starzejący się książę Henanu przekazał dowództwo armii w ręce najstarszego syna. – Do czego mu się tak pali?

Mistrz spojrział w zadumie ku maszerującej na horyzoncie armii.

– O tym jeszcze ci nie mówiłem. Sam dowiedziałem się niedawno. Podejrzewam, że Yuanowie reagują w ten sposób na wieści o rzekomym odnalezieniu Księcia Światłości. Przez powstańców – dodał. – Czerwone Turbany. Tak się teraz nasi buntownicy każą nazywać.

Zhu wbiła w starego mnicha osłupiały wzrok. Księżę Światłości, herold zwiastujący nadejście nowego. Jego przybycie oznaczało, że zbliżała się zmiana: wydarzenie o skali na tyle monumentalnej, by przeobraziło cały świat. Płomyki rozstawionych w pokoju mistrza świec zafalowały pod wpływem siły, której nie widziała nawet ona. Przeszył ją dreszcz.

– To jeszcze dziecko – podjął mistrz. – Niemniej świadkowie donoszą, że chłopiec bez wahania wybrał spośród kilku podobnych przedmiotów te, które należały do jego poprzedniego wcielenia, więc pomyłka jest wykluczona. Nic dziwnego, że Mongołów ogarnął strach. Cóż innego bowiem może oznaczać pojawienie się Księcia, jak nie kres panowania Yuanów? Wedle ostatnich doniesień ich mandat niebios nie lśni jaśniej od płomienia tonącej latarni, a cesarz już od dawna nie ważył się demonstrować go publicznie. Kto wie? Do tej pory mógł go utracić na dobre. Jednak jeżeli nawet nie posiadał już mandatu, nie będzie skory zrezygnować z władzy. Dlatego też rozkazał księciu Henanu za wszelką cenę położyć kres rebelii jeszcze w tym roku. A teraz, kiedy odnalezienie Księcia Światłości dodało Czerwonym Turbanom animuszu, świat zewnętrzny pogrzyży się w jeszcze większym chaosie. Na poprawę będziemy musieli długo czekać.

Coraz silniejsze promienie świtu podświetlały twarz starego mnicha od dołu, dodając jego rysom mocy i wyrazistości. Dziewczyna miała przed sobą mężczyznę gotowego powitać trudne czasy nie z rozpaczą, lecz z optymizmem

człowieka, który nigdy nie unikał konfrontacji z problemami i jak dotąd zdołał przetrwać.

– Nie miejmy złudzeń, chaos oznacza zagrożenie – ciągnął mistrz – ale przyniesie ze sobą również nowe możliwości. Ostatecznie to przecież za sprawą chaosu przyszło nam żyć w czasach, w których nawet przeciętni ludzie mają szansę dostąpić wielkości. Kimże innym są przywódcy Czerwonych Turbanów, jeśli nie szaraczkami? Ale to szaraczkowie, którzy uwierzyli, że mogą przeciwstawić się książętom i panom. I właśnie teraz, po raz pierwszy od długich stuleci, jest to prawda.

Wielkość. Słowo roznieciło zasuszone wspomnienia. W duszy Zhu wezbrała fala emocji, gorących i żywych. Dreszcz i zachwyt towarzyszący jej pierwszemu zetknięciu z wielkością, uosabianą przez majestatyczne sylwetki księcia Henanu i jego synów, małe figurki kroczące w dole, po klasztornej dziedzińcu. Przypomniała sobie też zdarzenie znacznie wcześniejsze – chwile spędzone w oświetlonej blaskiem pojedynczej świecy wioskowej izbie, o których starała się usilnie zapomnieć. Przypomniała sobie konsternację i smutek, jakie poczuła, słysząc po raz pierwszy w życiu słowo „wielkość” z pełną świadomością, że należy ono do świata cesarzy, królów i generałów, rzeczywistości, z którą jej nie przyjdzie się nawet zetknąć.

Tymczasem świat wielkości widziała w tej chwili na własne oczy. Tam, na tej odległej równinie. Gdy tak przyglądała się tumanom kurzu, poczuła, że działa na nią specyficzne przyciąganie. Uczucie odmienne od doznania, jakie opadło ją, kiedy miała lat dwanaście – nieabstrakcyjna ciekawość dziewczynki zastanawiającej się, co by było, gdyby skoczyła. Dzisiaj Zhu czuła się jak ktoś, kto już skoczył. Skoczył, lecz wciąż jeszcze nie upadł. Trwała w chwili, w której świat chwytą frunące ciało i szykuje się, by w następnym mgnieniu sprowadzić je tam, gdzie znaleźć się powinno. Odczuła

działanie siły, której nie może pokonać ludzka wola, energii będącej istotą samego świata. To przeznaczenie, przemknęło jej przez myśl. Doznała niepokojącego wrażenia kontaktu z czymś, czego nie potrafiła zinterpretować. Poczula zew losu czekającego gdzieś poza klasztorem, w świecie, w którym wykuwało się wielkość.

– Ach, młodzi mnisi! Aż świerzbi was do przygód! – Mistrz zauważył, jak intensywnie lśnią oczy dziewczyny. – Z wielką niechęcią myślę o pozbyciu się twojego wsparcia, ale uważam, że mogę dać ci nieco wolności. Na przykład rok. Sądzę jednak, że możemy znaleźć zadania bardziej przystające do twoich talentów niż te, które wykonuje twój brat, mnich Xu. Jak uważasz, czy kiedy zostaniesz już wyświęcony, powinienem uczynić cię pierwszym w dziejach emisariuszem klasztoru Wuhuang, naszym posłem w świecie zewnętrznym?

Przyciąganie przybrało na sile, stało się drażniącym trzewia ssaniem. Czy było możliwe żyć życiem Zhu Chongby i maskować swoją odmienność od tak dawna, że nawet niebiosy uwierzyły, iż ona i brat są jednym i tym samym, że w związku z tym zmieniło się jej przeznaczenie? Ledwie jednak ta myśl powstała w jej głowie, Zhu zrozumiała, iż to niemożliwe. Drażniące ssanie było sygnałem tego, co nieuchronne – i nie budziło wcale nadziei, lecz strach. Spoglądała z klasztornych wyżyn ku odległemu światu, gdzie pod wzorzystą szachownicą zieleni i brązu wrzały przemoc i chaos. Uświadomiła sobie, że ten świat zawiera w sobie nie tylko załązki wielkości, kryło się w nim również ziarno nicości.

– Czcigodny mistrzu, czy naprawdę zamierzasz obłożyć mnie klątwą ciekawego życia? – odparła fałszywie swobodnym tonem, żywiąc rozpaczliwą nadzieję, że niebiosy jej nie usłyszą. – Nie trzeba mi przygód. Skoro myślisz o wypuszczeniu mnie w świat z niechęcią, może pozostaw mnie tutaj, gdzie będę najbardziej przydatny?

– Ach, nowicjuszu Zhu! – Starzec uśmiechnął się z zadowoleniem. – Właśnie dlatego jesteś moim ulubieńcem. Nie obawiaj się życia na tej górze. Nie czeka cię zawód. Wspólnie przetrzymamy nadchodzące zmiany i razem wprowadzimy klasztor Wuhuang w erę Księcia Światłości, w której będziemy rozkoszować się owocami pokoju i dobrobytu. A gdy mój czas dobiegnie końca – dodał beztrząsowo – uczynię wszystko, żebyś ty zastąpił mnie na stanowisku mistrza.

Zhu zaparło dech w piersiach. Waga przyrzeczenia była zaiste niemała. Oczyma duszy ujrzała klasztorny mikrokosmos: mnichów zmierzających do biur buchalterii, wielkie stada szurających sandałami mnichów udających się do sal medytacyjnych, nowicjuszy zaśmiewających się na świeżo przekopanych polach w dolinie. Strzeliste dachy kryte zieloną dachówką i pochyłe górskie zbocze, a wszystko to nakryte złotą kopułą nieba. Świat mały i bezpieczny. Nie takiego pragnęła, od początku był dla niej przede wszystkim schronieniem przed tym, czego obawiała się najbardziej. Niemniej to ten świat знаła, to nad nim mogła przejąć władzę i nigdy już nie musiałaby stąd odchodzić.

Rzuciła pożegnalne spojrzenie poza klasztorne mury. Biała ukośna błyskawica słońca usadowiła się właśnie na najwyższym wierzchołku dalekiego łańcucha południowych gór, skrywając krainę poniżej pod maską bezkształtnej jasności. Odwracając się, z oczyma pełnymi jaskrawych powidoków, miała w sercu tylko jedną myśl:

Jeśli skoczysz, zginiesz.

朱

Cztery olbrzymie posągi Sali Niebiańskich Królów mierzyły srogimi spojrzeniami szereg klęczących nowicjuszy. Za plecami młodzieńców mnisi mamrotali sto pięćdziesiąt zasad

stanowiących treść klasztornej przysięgi. Zhu czuła głęboko w zatokach drażniące smugi dymu z palonych kadzideł, dodatkowo zaciemniającego tonące w półmroku pomieszczenie, a jej kolana rozrywały fale bólu; klęczeli już od kilku godzin. Od strony pozostałych nowicjuszy dolatywały ją stłumione odgłosy cierpienia zupełnie innego rodzaju. Co chwila kolejny z nich otrzymywał święcenia.

Wreszcie mistrz przystanął tuż przed dziewczyną, a na jego twarzy pojawił się zarezerwowany wyłącznie dla niej wyraz zażyłości.

– Nowicjuszu Zhu! – Starzec unieruchomił jej twarz, chwytając chłodnymi dłońmi za policzki, a towarzyszący mu mnisi ustawili jej na głowie dwanaście stożkowatych kadzidełek. Smutki dymu spłynęły wokół czaszki, w znajomą woń wmieszała się nowa nuta: zapach przypiekanego ciała. Zabolalo tak, jakby założono jej koronę z płonących gwiazd. Świetlisty wzór wypalił się bezpośrednio w jej mózgu. Ból nie ustawał, za to zmieniał się i w pewnym momencie przeniósł ją gdzie indziej. Odniosła wrażenie, że unosi się wśród pustki w centrum wszechświata, a jej ciało odbiera drżenie każdej, najdalszej nawet isierki życia.

– Zhu Chongba, jak zawsze inny niż wszyscy. Nawet nie krzyknęłaś. – Mistrz przyglądał jej się z rozbawieniem na twarzy.

Głowa Zhu jarzyła się cierpieniem. Asystujący mu mnisi podnieśli ją i podtrzymali, gdy ugięły się pod nią kolana. Ubrana była jedynie w krótki kaftan i spodnie. Chwilę potem mistrz zarzucił jej na ramiona mniśią szatę z siedmiu podziałów. Znacznie cięższą od stroju nowicjusza. Waga tkaniny przeobraziła Zhu w kogoś innego.

– Mnichu Zhu...

– Szacowny mistrzu! – Wszyscy aż podskoczyli, gdy do sali wpadł zlany potem młody mnich. Kiedy przełożony

klasztoru zwrócił na niego pełne niedowierzania spojrzenie, intruz padł z czcią na kolana i zaczął pospiesznie bełkotać: – Po tysiąckroć proszę o wybaczenie. Ale przybył generał armii księcia Henanu!

– Co? – Mistrz zmarszczył brwi. – Dlaczego nie uprzedzono nas o tej wizycie zawczasu? Gdzie on jest w tej chwili?

Młody mnich otworzył usta, lecz jako pierwszy rozległ się inny głos, lekki i ochryply:

– Dawno się nie widzieliśmy, szacowny mistrzu.

Wpadające przez wielkie wrota Sali Niebiańskich Królów światło przygasło i do środka wkroczył generał. Mnisi zachłysnęli się lękliwymi okrzykami. Zdjęci strachem, gniewem i odrazą, cofnęli się przed bluźnierczą postacią, gdyż generał Yuanów okazał się tym samym eunuchem, którego Zhu oglądała przed laty z dachu Sali Dharmy. Wówczas był jeszcze młodzieńcem, zapewne młodszym niż ona dzisiaj. Upływ czasu powinien był zmienić młodzika w mężczyznę, lecz dziewczyna odniosła wrażenie, że widzi ucieleśnione echo: człowieka równie drobnego i pięknego jak wtedy, dawno temu. Jedynie dziewczęce oblicze straciło wcześniejszy nieskazitelny urok i stało się niepokojące: ostre, nieziemskie piękno rysów tchnęło takim samym napięciem jak najprzedniejsza hartowana stal.

Miał zwyczajnego skórzanego pancerza generał miał na sobie metalową zbroję. Okrągły napierśnik podobny był do mrocznie połyskującego zwierciadła. Boki głowy oficera zdobiły włosy splecione w cienkie warkoczyki, typowe dla mongolskich wojowników. Kiedy się zbliżył, Zhu zauważyła jednak, że w jego żyłach płynie krew nanrenów. Było to sensowne: żaden prawdziwy Mongoł nie zniósłby hańby związanej z karą, jaka spotkała tego człowieka, żaden też nie zezwoliłby na jej wymierzenie jednemu ze swoich.

– Generale, wchodzisz tu bezprawnie! – rzucił mało dyplomatycznie poruszony do żywego mistrz. Tutaj, na terenie

klasztoru, to on był królem, a jawna pogarda wobec jego władzy, w dodatku na oczach tylu mnichów, sprawiła, że był jeszcze bardziej stanowczy. – Pozwól mi przypomnieć, że nawet księżęta krwi, wkraczając na tę ziemię, zobowiązani są przestrzegać naszych zasad. Nie wolno ci przekraczać progu tej sali!

– Ach, o tej regule mówisz. Zapomniałem – odparł generał, podchodząc coraz bliżej. Twarz eunucha była tak doskonale pozbawiona wyrazu, jakby nie posiadał niczego, co można by nazwać życiem wewnętrznym. – Przepraszam – mówił w han'er, języku pochodzącym z północy, którym często posługiwali się goście klasztoru, choć z kaleczącym uszy, płaskim akcentem, jakiego Zhu nie słyszała nigdy w życiu. Mongolskim.

Za plecami oficera płomienie lamp na moment przygasły, po czym rozbłysły jaśniej. Przez próg sali przelewały się zjawy. Nie zmienił się generał, nie zmieniły się i one. Zhu dostała gęsiej skórki. Widok gromadzącego się wokół intruza bladego tłumu duchów wydał jej się jeszcze dziwniejszy niż za pierwszym razem. Przez wszystkie te lata nie widziała ani jednego człowieka, któremu towarzyszyłby podobny orszak.

Przyglądając się otoczonemu sylwetkami zjaw eunuchowi, dziewczyna poczuła nagle niemal zapomniane wrażenie. Znów gdzieś głęboko w niej zagrała niespodziewanie trącona struna. Podobne łączy się z podobnym. Przeszyła ją paląca świadomość własnej odmienności od osoby, której życie wiodła. Wzdrygając się z odrazą, próbując otrząsnąć z doznania powinowactwa z generałem, poczuła zawarte w nim zrozumienie. Podobne rozpoznaje podobne. Przypomniała sobie upokorzenie, jakiego eunuch doświadczył przed laty z rąk mistrza, i odruchowo zdała sobie sprawę, że pozbawiona wyrazu twarz jest maską, skrywającą sardoniczną radość. Intruz świetnie rozumiał, jak bardzo swą obecnością obraża

mnichów i jak ich niepokoi. Odpłacał się bólem za ból; nie zapomniał.

Eunuch przeniósł spojrzenie za plecy mistrza, ku szeregowi nowicjuszy z poparzonymi czaszkami.

– Widzę, że przeszkadzam, więc pozwólcie, że wypowiem się zwięźle. W świetle niedawnych niepokojących wydarzeń wielki chan nakazał obrońcom cesarstwa podwoić wysiłki mające na celu pokonanie wrogów. Książę Henanu oczekuje ze strony klasztoru zapewnienia o wsparciu jego działań zmierzających do przywrócenia stabilności na całym południu – przemawiał tonem do tego stopnia obojętnym, że Zhu stwierdziła w duchu, iż poza nią nikt nie mógł usłyszeć dzikiej nuty ukrytej w następnym zdaniu: – Jestem głęboko przekonany, że wasz klasztor, jako lojalny poddany dynastii Yuanów, nie zawaha się przed podjęciem pełnej współpracy.

„Niedawne niepokojące wydarzenia”... Miał na myśli dokonane przez powstańców spod znaku Czerwonych Turbanów odkrycie Księcia Światłości. Yuanowie, czując, że mandat niebios wymyka im się z rąk, wpadli w taki popłoch, iż uznali za stosowne zdławić w zarodku wszelką pokusę, jaką mogły poczuć klasztory, by wesprzeć wpływowymi i bogactwem zbuntowanych nanrenów.

Eunuch potoczył wzrokiem po sali, przyjrzał się misternej roboty drewnianym belkom i kolumnom, złotym posągom i porcelanowym kadzielnicom.

– Jakże ten klasztor rozkwitł, odkąd odwiedziłem go ostatnio. Złote sale i dachy wykładane nefrytowymi płytkami! Na pierwszy rzut oka widać, że niebiosa darzą was swoim uśmiechem – stwierdził, po czym na powrót skupił uwagę na mistrzu. – Książę Henanu polecił, żebym przekazał ci informację, że od dzisiaj Wuhuang będzie oddawać dwie trzecie rocznych dochodów z rent ziemskich i wszelkich innych źródeł bezpośrednio zarządcy prowincji, który wykorzysta je do

walki z buntownikami. – Wciąż mówił bez emocji. – Mając na uwadze, że ostatecznym celem mnichów jest wyzbycie się wszystkich ziemskich wygod, ufam, że nie okaże się to dla was nadmiernie kłopotliwe.

Dwie trzecie.

Zhu wyraźnie widziała, jak boleśnie uderzył mistrza ogrom kwoty, zauważyła rodzącą się w starcu wściekłość. Wściekłość pozbawioną nawet cienia ogłady. Dziewczyna z niepokojem uświadomiła sobie, że przełożony klasztoru, człowiek, który niezmiennie utrzymywał, iż jego najpotężniejszą bronią jest wiedza, nie ma pojęcia, że eunuch wciąż nosi w sercu urazę za dawne upokorzenie. Dostrzegał jedynie piękną powłokę, równie nieprzeniknioną jak biały nefryt.

Zhu postąpiła krok naprzód. Ruch wywołał eksplozję bólu w jej głowie i kolanach. Wewnątrz czuła cierpienie mniej dotkliwe, innego rodzaju, pulsującą więź łączącą ją z eunuchem. Generał zwrócił ku niej spojrzenie. Jego brwi nieznacznie się zbiegły, chłodną doskonałość rysów zmąciła konsternacja. Podobne rozpoznaje podobne, pomyślała z lękiem dziewczyna i odezwała się:

– Szacowny mistrzu...

Mistrz jednak nie słyszał. W pełni skoncentrowany na generale Yuanów, wyprostował się na całą wysokość. Był roslym, ciężkim mężczyzną i targany gniewem zdawał się majaczyć nad delikatnej budowy eunuchem niczym góra.

– Dwie trzecie! – zagrmiał. Równie dobrze jak Zhu rozumiał, że haracz tej wysokości uczyni z mnichów nędzarzy. – Pomyśleć, że książkę Henanu ma czelność obrażać mnie za pośrednictwem ust swojej kreatury!

– Odmawiasz? – spytał eunuch, w którego głosie niespodziewanie zabrzmiała nuta strasznego zainteresowania.

– Dobrze wiesz, generale, że cokolwiek klasztor posiada, przypada mu to z woli niebios. Kto domaga się tego, co nasze,

odtrąca błogosławieństwo Buddy. Czy także świadomi konsekwencji nadal będziecie kroczyć tą drogą?

Zhu wiedziała, co oznacza pobrzmiwające w gardłowym tonie mistrza poczucie triumfu. Bo dlaczego mistrz nie mógłby odmówić? Żadna armia nie zdoła unicestwić najpotężniejszego chroniącego klasztor muru: faktu, że wyrządzona mnichom krzywda odbija się na sprawcy cierpieniem w niezliczonych przyszłych wcieleniach. Lecz ku przerażeniu starca eunuch wybuchnął po prostu śmiechem. Śmiechem okropnym, depczącym wszystko, co święte.

– Szacowny mistrzu, czy ty próbujesz mnie przestraszyć? Nie wątpię, że twoja groźba okazałaby się skuteczna w rozmowie z księciem Henanu, czy nawet moim panem, wielmożnym Esenem. Ale jak ci się wydaje, dlaczego przysłali tu właśnie mnie? – W głos generała wkradł się mroczny warkot: zajądlność wymierzona tyleż w samego siebie, co w mistrza. – Czy myślisz, że ktoś taki jak ja obawia się cierpienia, na jakie możesz go skazać? W obecnym życiu lub w następnych?

W tym momencie Zhu ujrzała duszę eunucha tak wyrażenie, jakby jego twarz wykuta była z przejrzystego lodu. Zobaczyła wrzące pod obojętną powłoką wstyd i gniew. Zdjęta nagłym przerażeniem, uświadomiła sobie, iż generał nawet przez moment nie chciał, by mistrz mu uległ. Przeciwnie, pragnął, by duchowny stawiał opór, po to by on mógł przymusić go siłą. Przybył tu w poszukiwaniu zemsty.

– Do mnie! – zawołał eunuch.

Do sali wlała się pobrzękująca, skrzypiąca, ciemna rzeka żołnierzy. Ciała żołdaków nakładały się na sylwetki duchów, mrok zastępował światło. Zewnętrzny świat przeniknął do miejsca, które jeszcze niedawno stanowiło sanktuarium. Zhu aż jęknęła, czując, jak silne i bolesne stało się przyciaganie. W podmuchu cierpienia zrozumiała, jak nieuchronne jest wszystko, co rozgrywa się właśnie na jej oczach. Klasztor ni-

gdy nie miał się stać jej ostatnią przystanią, od początku powinna była wiedzieć, że w końcu zostanie stąd wydarta i rzucona prosto w świat chaosu i przemocy – wielkości i nicości.

Nicość. Umykała przed nią długie dziewięć lat i nie miała zamiaru poddać się teraz. Zawsze jest jakieś wyjście. Ledwie zdążyła to pomyśleć, zrozumiała, na czym polega jej droga. Skoro w świecie zewnętrznym można znaleźć nie tylko nicość, ale i wielkość, to jedyną metodą uniknięcia jednego było dostąpienie drugiego. Przeznaczeniem Zhu Chongby była wielkość. Skoro musiała wyjść na świat, to musiała w nim być Zhu Chongbą tak całkowicie i bez reszty, by zrealizować jego przeznaczenie i przetrwać.

Korzeniem wszelkiego cierpienia jest żądza. Zhu od urodzenia pragnęła jedynie żyć. W tej chwili czuła w głębi ducha moc tego pragnienia, równie nieodłącznego od niej jak oddech czy qi. Wiedziała, że w imię życia będzie musiała zaznać bólu. Nie potrafiła nawet wyobrazić sobie skali cierpienia, jakiego musiałoby wymagać osiągnięcie wielkości w chaotycznym, brutalnym świecie poza klasztorem.

Lecz eunuch nie był jedyną osobą, która nie bała się cierpienia.

Może uda ci się zniszczyć klasztor, ale nie zniszczysz mnie, skierowała żarliwą myśl do generała i poczuła zawartą w niej prawdę, która płonęła tak jasno, jakby mogła spopielić wszystko wokół. Mnie nie zniszczy nikt i nigdy. Stanę się tak wielka, że nikt mnie nie dotknie, nikt się do mnie nie zbliży, bo wszyscy będą się bać, że za moją sprawą dopadnie ich nicość.

Eunuch nie dał po sobie poznać, czy myśli dziewczyny do niego dotarły. Odwrócił się do mnichów plecami i wyszedł z sali. Nieprzerwany strumień żołnierzy rozstąpił się i oblał go, jak woda w strumieniu obmywa twardy głaz.

– Puście ten klasztor z dymem – rozkazał po drodze.



CZĘŚĆ
DRUGA

1354–1355



5

Nizina rzeki Huai He,
dziesiąty miesiąc

Jesienne poranki na równinie były chłodne i szarobure. Okryty grubą warstwą dymu z palonego łąjna obóz armii księcia Henanu wrzał aktywnością. Generał eunuch Ouyang i jego zastępca, starszy komendant Shao Ge, jechali wierzchem w kierunku stanowisk piechoty. Obozowisko było tak rozległe, że dotarcie do celu pieszo zajęłoby zbyt wiele czasu. Zostawili za sobą centralną część, w której stały okrągłe filcowe jurty dowódców, i minęli namioty cudzoziemców z kasty semu, wspomagających wojska Yuanów wiedzą z dziedziny inżynierii bojowej i machin oblężniczych. Przejechali obok taborów i stad zwierząt. Dopiero wtedy, na peryferiach, znaleźli się wśród piechurów: około sześćdziesięciu tysięcy ochotników i poborowych z najniższych warstw społecznych. Ludzie ci, nanreni, jak oficjalnie nazywano ich kastę, byli dawniej poddanymi obalonych rdzennych cesarzy południa. Mongołowie znacznie częściej określali ich mianem manji. Barbarzyńcy.

– Zdradzić Wielkich Yuanów i zbratać się z buntownikami – prychnął po drodze Ouyang. – A takim był dobrym generałem. Nie rozumiem, dlaczego tak postąpił. Musiał wiedzieć, czym się to skończy.

Aż do zeszłego tygodnia Czerwone Turbany – tak od niedawna nazywali się rebelianci z nadrzecznych równin – walczyli pod wodzą generała Ma, doświadczonego oficera armii cesarskiej, który kilka lat temu przeszedł na stronę przeciwnika. Teraz już nie żył. Ouyang, człowiek, który w toku kariery zabił mnóstwo ludzi, stwierdził, że twarz starego generała została z nim dłużej niż oblicza większości. Na rysach Ma zastygła rozpaczliwa świadomość nieuchronnego. I chociaż Ouyang chętnie pochlebiłby sobie, sądząc, iż tym nieuchronnym był on sam, to podejrzewał w duchu, że zdrajca myślał jednak o czymś innym.

– To było dobre zwycięstwo – stwierdził Shao w mowie han'er. Ponieważ obaj należeli do nielicznego grona oficerów mongolskiej armii, którzy wywodzili się z nanrenów, Shao za każdym razem, gdy zostawali sami, przechodził właśnie na ten język. Ouyangowi nie podobała się aż taka poufałość. – Kiedy zrównałeś ten klasztor z ziemią, miałem obawy, że szczęście się od nas odwróci, ale wygląda na to, że niebiosa nie skazały cię jeszcze na spożywanie gorzkości. Pewnie odkładają tę karę na potem – dodał Shao, rzucając Ouyangowi chytry uśmieszek.

Generał eunuch nie po raz pierwszy stwierdził, że nie tylko nie przepada za zbytnią poufałością zastępcy, lecz po prostu nie lubi samego Shao. Niestety, czasem w życiu trzeba zagryźć zęby i znieść nawet niemiłe towarzystwo. Ouyang miał w tej dziedzinie olbrzymie doświadczenie.

– Poszło łatwiej, niż się spodziewałem – odparł, z premedytacją przechodząc z powrotem na mongolski.

Zwycięstwo istotnie przyszło dziwnie gładko, zwłaszcza biorąc pod uwagę wcześniejsze kampanie przeciwko Czer-

wonym Turbanom, podejmowane z prawdziwym mozołem. Generał Ma nie był idiotą.

W spojrzeniu Shao zamajaczył cień urazy; zmiana języka nie uszła jego uwadze.

– Bez generała Ma będą jeszcze słabsi – odrzekł, również po mongolsku. – Myślę, że jeszcze przed zimą powinniśmy przekroczyć Huai He i zdobyć Anfeng. – Wymieniona miejscowość, niewielkie, otoczone ziemnym wałem miasto kulące się w zakolu rzeki Huai He, była główną bazą Czerwonych Turbanów, którą sami buntownicy chętnie określali mianem stolicy. – A kiedy pozbędziemy się Księcia Światłości, cała ta historia skończy się raz na zawsze.

Ouyang odpowiedział niezobowiązującym pomrukiem. Księżę Światłości umocnił ludowe poparcie dla rebeliantów jak żaden wcześniejszy przywódca, lecz bunty wybuchały już przecież przed nim i bez wątpienia będzie do nich dochodzić i potem. W osobistej ocenie generała rebelie musiały od czasu do czasu wybuchać dopóty, dopóki na świecie będą chłopci. A jeśli południe miało czegoś w bród, to właśnie chłopstwa.

Wreszcie dotarli do batalionu piechoty Altana-Baatara, który rozłożył się na południowym skraju obozu, wzdłuż rzeki. Trwała właśnie musztra. Tysięcznicy stali na czele swych regimentów i wykrzykiwali komendy. Uderzenia nieprzeliczonych stóp odzierały ziemię z wierzchniej warstwy, która w postaci tumanów żółtego pyłu unosiła się w powietrzu. Masy zakutych w identyczne zbroje nanrenów obracały się w ich cieniu to w jedną, to w drugą stronę niczym stada ptaków.

Altan podjechał do gości.

– Pozdrawiam najdzielniejszego wodza Wielkich Yuanów – rzucił kpiąco. Miał dość odwagi, by nie okazywać eunuchowi należytego szacunku, ponieważ był krewnym

księcia Henanu i synem zamożnego gubernatora wojskowego Shanxi. A także dlatego, że jego siostra była cesarzową, i dlatego, że miał siedemnaście lat.

– Kontynuujcie. – Ouyang puścił zaczepny ton Altana mimo uszu. Chłopak jedynie nieco mniej subtelnie od starszych wiekiem kolegów dawał wyraz przekonaniu, iż mongolski dowódca powinien być lepiej zbudowany i pochodzić ze znamienitego rodu. W odróżnieniu natomiast od bardziej wytrawnych kompanów Altan nadal chętnie popisywał się przed przełożonymi. Jak każdy uprzywilejowany młodzieniec spodziewał się, że poradzi sobie z dowolną przeciwnością, że czeka go powszechny szacunek i odpowiadające mu miejsce wysoko na szczycie świata. Ouyang spojrzał na grdykę chłopaka, podobną do szyi kurczaka, pokrytą wyrazistymi mieszkaniami, z których wyrastał świeży zarost, i poczuł odrazę.

Żołnierze dokończyli musztrę. Poradzili sobie; inne bataliony piechoty wykazały się wcześniej porównywalną sprawnością.

– Niechlujnie. Powtórzyć – zakomenderował generał.

Jakże łatwo było czytać z niemal przezroczystej twarzy Altana. Malowały się na niej wyraźnie wszystkie roszczenia, którym nie towarzyszyło nawet podejrzenie, że ktoś może go z ich powodu nienawidzić. Ouyang obserwował emocje sunące przez oblicze młodzika niczym chmury: zaskoczenie, niedowierzanie, uraza. To właśnie uraza sprawiła mu największą satysfakcję. Obserwowali ich tysięcznicy. Zawstydzony Altan oderwał wzrok od Ouyanga i przekazał rozkaz. Żołnierze przećwiczyli wszystkie manewry raz jeszcze.

– Powtórzyć! – rzucił Ouyang. Patrzył na szeregi piechurów, rozmyślnie unikając tchnącego nieskrywany oburzeniem spojrzenia Altana. – Będziecie powtarzać, dopóki nie wykonacie każdego elementu jak należy.

– Może generał zechce mi zdradzić, czego konkretnie oczekuje? – Głos chłopaka łamał się z tłumionego gniewu.

Ouyang wiedział, że młodzik poczuł się zdradzony. W myśl milczącego porozumienia członków mongolskiej elity postępy czynione przez młodych dowódców powinny być odpowiednio nagradzane. Spojrzał na Altana z pogardą.

– Skoro musztra przerasta twoje kompetencje, spróbujemy czegoś innego. – Zerknął ku rzece. – Przeprowadź batalion na drugi brzeg.

Chłopak otworzył szeroko oczy. Rzeka była szeroka przy najmniej na pół lotu strzały, woda pośrodku koryta sięgała dorosłemu mężczyźnie do piersi, a dzień był mroźny.

– Co?

– Dobrze słyszałeś. – Ouyang zawiesił głos, pozwalając, by wściekłość młodego dowódcy kisiła się jeszcze przez moment, po czym dodał: – I każ swoim ludziom związać ręce z przodu. Sprawdzimy ich wyczucie równowagi.

– Nie obejdzie się bez ofiar – stwierdził sztywno Altan po długiej chwili milczenia.

– Niezbyt licznych, o ile zostali dobrze wyszkoleni. Wykonać!

Grdyka chłopaka zadrgała. Wreszcie jednak spiął wierzchowca i podjechał do czekających tysięcy. Po wysłuchaniu rozkazów jeden bądź dwóch oficerów zerknęło na obserwujących wypadki Ouyanga i Shao. Z oddali nie sposób było odczytać wyrazu ich twarzy.

Ćwiczenie było okrutne. Dokładnie na tym zależało generałowi. Popędzani przez rozwrzeszczanych tysięcy, poganiani uderzeniami pejczy piechurzy weszli do wody. Być może w cieplejszy dzień zadanie byłoby łatwiejsze, lecz dzisiaj żołnierze byli wymarznięci i przerażeni. W najgłębszym punkcie rzeki więcej niż kilku uległo panice. Potykali się i tonęli. Co lepsi podoficerowie, którzy ruszyli ze swymi ludźmi

na drugi brzeg, wyciągali pechowców i pocieszali krzepiący mi słowami. Gorszi pokrzykiwali z brzegu. Altan, którego koń także zanurzył się po pierś w rzece, jeździł w tę i z powrotem wzdłuż formacji. Oblicze chłopaka jaśniało gniewem.

Ouyang i Shao przejechali na drugą stronę w bezpiecznej odległości od zamętu tworzonego przez kolumny piechoty. Gdy już wszyscy dołączyli do nich na przeciwnym brzegu, a nieszczęśnicy zostali wyłowieni i ocuceni, eunuch miał do powiedzenia tylko jedno:

– Zbyt ospale. Powtórzyć. – A kiedy wojska wróciły na stronę obozu, rzucił: – I jeszcze raz!

Opór w szeregach osiągnął szczyt przy trzeciej przeprawie; potem gdy byli już wyczerpani, wojacy zaczęli wykazywać swoiste mechaniczne posłuszeństwo. Ci, którzy mieli skłonność do ulegania strachowi, wpadli w panikę i zostali usunięci już wcześniej, a dla pozostałych przerażająca perspektywa zanurzenia się w lodowatej rzece stała się zwykłą nieprzyjemnością.

– Powtórzyć.

W południe Ouyang rozkazał przerwać manewry. Stojący przed tysięcznikami Altan zmierzył go pełnym furii spojrzeniem. Większość podoficerów ociekała błotem; tylko niewielka część była wciąż sucha. Ouyang rozejrzał się wśród drugiej z tych grup.

– Ty! – zwrócił się do Mongoła o szczególnie pyszałkowatym wyrazie twarzy. – Twój regiment wykazał się opieszałością i straciłeś wielu ludzi. Dlaczego?

– Generale! – zaszutował tysięcznik. – Ci żołnierze nie nawykli do takich manewrów. Strach sprawia, że stają się ospali. To manji są problemem. Manji są urodzonymi tchórzami. Żałuję, że nie miałem jeszcze okazji wyleczyć ich z tej przypadłości.

Ouyang wydał z siebie pomruk aprobaty.

– Boją się zimnej wody i ciężkiej pracy! – perorował podoficer w najlepsze.

Na twarz Ouyanga wypłynął wyraz zastanowienia.

– Tysięczniku – powiedział po chwili – zauważyłem, że przez cały czas ćwiczeń pozostałeś na koniu.

– Generale? – rzucił Mongoł niepewnie.

– Krytykujesz ich, twierdząc, że boją się zimnej wody i ciężkiej pracy, a jednak nie widzę po tobie, żebyś wykazał się odmiennym zachowaniem. Wielu twoich podkomendnych utonęło, a ty jesteś suchy jak pieprz. Czy kiedy patrzyłeś, jak walczą o życie, nie przyszło ci na myśl, że mógłbyś ruszyć im na pomoc? – Mimo że Ouyang świetnie nad sobą pannał, naturalne emocje zaczęły wydostawać się na zewnątrz; sam słyszał, jaki chłód zagościł w jego tonie. – Czyżby byli tak tchórzliwi, że aż niegodni ratunku?

Tysięcznik otworzył usta, lecz jako pierwszy odezwał się Altan:

– Generale, dopiero co go awansowałem. Jest jeszcze świeży.

– Mam wrażenie, że awansuje się żołnierzy w nagrodę za umiejętności, które już posiadają. Bo jeśli nie za nie, to ciekawe za co? – Ouyang rzucił młodzikowi uśmiech ostry jak wnikające pod zbroję ostrze. – Nie, moim zdaniem nie nadaje się na dowódcę – skwitował i spojrzał na Shao. – Wymienić go.

– Nie możesz tak po prostu wymieniać moich podoficerów! – Altan niemal krzyknął.

– Ależ mogę. – Generał poczuł przypływ zjadliwej przyjemności. Zdawał sobie sprawę, że to emocja małosłowna, dokładnie taka, jaka według wielu jest typowa dla wszystkich eunuchów, lecz czasami nie potrafił oprzeć się pokusie. – Zbierzcie ciała. Zrób, co konieczne, żeby twój batalion był gotów. Za dwa dni wielmożny Esen wyda rozkaz wymarszu.

Odchodząc, słyszał mamrotane przez Altana wyzwiska, lecz nie znalazł w nich niczego nowego:

– Pieprzyć osiemnaście pokoleń potomków tego psa! Jak śmie tak się zachowywać, skoro sam jest tylko... podludkiem?



Jurta wielmożnego Esena-Temura, dziedzica księcia Henanu i wodza południowych armii Yuanów, jaśniała w sercu obozu niczym statek na nocnym morzu. Przez okrągłe ściany namiotu wypływały śmiechy. Ouyang nie spodziewał się niczego innego: jego pan był człowiekiem z natury towarzyskim, którego przebywanie wśród innych ludzi cieszyło bardziej niż własne myśli.

Generał pozdrowił strażników krótkim skinieniem i wśliznął się pod klapą do środka.

Siedzący wygodnie w otoczeniu grupki oficerów Esen podniósł wzrok. Ouyang, wysoki i muskularny, obdarzony kształtnymi, przesłoniętymi zarostem ustami, stanowił tak doskonały egzemplarz mongolskiego wojownika, że przywodził na myśl hagiograficzne portrety wielkich chanów bardziej niż oni sami.

– W samą porę! – rzucił Esen i odprawił zdawkowym gestem pozostałych.

– Mój panie? – Ouyang uniósł brew i usiadł. Jego ruch jak zwykle wywołał powiew, przez który płomienie centralnego paleniska gwałtownie zafalowały. Dawno temu pewien lekarz przypisał to zjawisko posiadanemu przez generała nadmiarowi ciemnej, wilgotnej, kobiecej energii yin, aczkolwiek taką diagnozę mógł eunuchowi postawić byle dureń. – Czyżbyś mnie wzywał? – Wyciągnął rękę po leżący przy ogniu bukłak z kumyssem.

– Wzywa się sługusów, którzy tytułują mnie panem. – Esen, uśmiechając się, podał mu skórzany worek. – Ja oczekiwałem przyjemności, jaką jest towarzystwo przyjaciela.

O stosowanie formalnej tytulatury spierali się od dawna. W miarę jak Ouyang z niewolnika stał się wiernym gwardzistą, a następnie generałem i jego najbliższym kompanem, Esen coraz mocniej nalegał, by zmienili sposób, w jaki ze sobą rozmawiają. Ouyang opierał się równie mocno, powołując się na tradycyjne zasady przyzwoitości. Ostatecznie Esen uznał się za pokonanego, choć i tak przy każdej okazji wykorzystywał tę kwestię w charakterze oręża.

– Oczekiwałeś? – powtórzył Ouyang. – Ryzykowałeś zatem rozczarowanie. Równie dobrze, zamiast spieszyć do ciebie, mogłem się najpierw zechcieć odświeżyć. Lub mogliśmy pomówić dopiero jutro, dzięki czemu nie przerwałbym twojego spotkania.

– Nie żałuję. Twoje towarzystwo raduje mnie po trzykroć bardziej.

– Czy powinienem w zamian za nie oczekiwać trzykrotnie wyższej nagrody?

– Dostaniesz, o co tylko poprosisz – odparł leniwie Esen. – Wiem, że jesteś tak przywiązany do zbroi, że najchętniej byś w niej sypiał, ale strasznie już cuchnie. Dostaniesz ode mnie nową.

W odniesieniu do zbroi Ouyang pozwalał sobie na próżność: jego lustrzane napierśniki były powszechnie znane i rozpoznawane, stanowiły jawną deklarację statusu budzącego grozę generała armii Yuanów.

– Najmocniej przepraszam, panie, że uraziłem twoje jakże wrażliwe zmysły. Odnoszę wrażenie, że chcesz, żebym się przebrał.

– Ha! Wiem, że założyłbyś po prostu tyle warstw odzienia, że zatrzymywałoby strzały równie skutecznie jak pan-

cerz. Ulituj się jednak i zdejmij przynajmniej hełm. Od samego patrzenia robi mi się gorąco.

Ouyang skrzywił się i zsunął hełm z głowy. Rzeczywiście, kiedy nie nosił zbroi, lubił nakładać wiele warstw. Jednym, łatwiejszym do zaakceptowania powodem był fakt, że łatwo marzł, jego przodkowie nie wywodzili się z jałowych, smaganych lodowatymi wichrami stepów. O drugiej przyczynie wolał nie myśleć. Sam Esen był świeżo wyszorowany. Głęboka, zrodzona na słońcu opalenizna ukrywała naturalnie jasną, stepową błądź jego twarzy, lecz pierś widoczna między rozchylonymi połami szaty połyskiwała w blasku ogniska jasno niczym kość słoniowa. Leżał wygodnie rozparty na poduchach, którymi zarzucono nakrytą dywanami filcową podłogę jurty. Ouyang siedział sztywno obok. Zbroja nie-szczególnie nadawała się do leżenia. Poza tym przyjęcie pozycji horyzontalnej byłoby poniżej jego godności.

– Słyszałem, że dziś rano przepełniłeś serce Altana słusznym strachem przed duchami przodków?

– Rozmawiał z tobą?

– On wie, że nawet gdyby miał się na co skarżyć, zanoszenie skarg do mnie miałyby się z celem. A miał?

Ouyang wspomniał gniew młodzika i rozciągnął wargi w bladym uśmiechu.

– Manewry spełniły swoje zadanie. Straciliśmy kilku żołnierzy. Samych Shanxi. Czy to dla twojego ojca kłopot?

– Nie przejmuj się. Szkoda tylko, że byłem zajęty. Chętnie sam bym popatrzył.

– Nużące to było.

– Co konkretnie?

– Całość. Choć nie, tylko elementy związane z Altanem. W większości.

Esen zaśmiał się i sięgnął po bukłak z kumysem. Kiedy się pochylił, jego szata rozchyliła się nieco bardziej, przez co

Ouyang ujrzał przelotnie cień między udami swego pana. Widok jak zwykle obudził w nim chorą fascynację. Doskonale męskie ciało, używane z taką beztroską – ciało, którego właściciel nigdy nie musiał poświęcić nawet myśli kwestii jego kompletności. Umysł eunucha wzdragał się przed wszelkimi porównaniami tego ciała do własnej okaleczonej powłoki.

Esen nie zauważył chwilowego rozkojarzenia generała. Nalał kumysu sobie i jemu.

– A pozostałe bataliony?

Ouyang złożył wyczerpujący raport. W ciągu lat wypracowali pewien format, który wyewoluował w coś zbliżonego do rytualnego obrzędu. Cieszył się, czując skupioną na sobie leniwą, zadowoloną uwagę Esena; cieszył go swojski widok słuchającego jego słów arystokraty, bawiącego się w roztargnieniu wplecionymi we włosy koralikami.

– Ogromnie dziękuję – powiedział Esen, gdy generał umilkł. – Jak ja bym sobie bez ciebie poradził?

– Altan powiedziałby, że znakomicie.

– Nie mogę się go pozbyć – jęknął Esen. – Jego ojciec jest stanowczo zbyt wpływowy.

– Chłopak nie jest głupi. Myślę, że da się z niego zrobić mojego następcę. W jakieś dziesięć lat. No, może piętnaście.

– Tego bym nie zniósł! – rzucił teatralnym tonem Esen. Jego uśmiech rozświetlił głównie okolice oczu; blask paleńska pełgał na lekko rozchylonych wargach. – Nie porzucaj mnie.

– Któż poza tobą mógłby mnie zechcieć?

– To zabrzmiało jak obietnica. Zatem trzymam cię za słowo.

– Czy ja kiedykolwiek żartuję?

– Ha! O to rzeczywiście nikt cię nie oskarża – zaśmiał się Esen i widząc, że Ouyang wstał i szykuje się do wyjścia, dodał: – Nie zostaniesz? Moglibyśmy pogawędzić. Nie po-

trafię pojąć, dlaczego musisz rozstawiać tę swoją pustą jur-
tę tak daleko. Czy naprawdę przyjemnie jest być cały czas
samemu?

Esen nigdy nie rozumiał, dlaczego generał zwykł trzymać
się na uboczu i z jakiego powodu żył skromnie niczym klasz-
torny mnich. Większość ludzi, których spotkała w życiu rów-
nie drastyczna poprawa pozycji społecznej, otaczała się luk-
susami, a Ouyang wiedział, iż Esen z przyjemnością dałby
mu dosłownie wszystko. Czy jednak wykastrowany żołnierz
potrzebuje czegoś poza bronią i zbroją? Generał przypomniał
sobie pogardę mistrza, klątwę Altana. Kreatura. Podludek.
Był narzędziem, które niczego nie potrzebuje i nie żywi włas-
nych pragnień.

Esen wpatrywał się w niego z nadzieją. Przystojny, uroczy
Esen, któremu nigdy nie odmawiano. Ouyang poczuł skurcz
żołądka. Ale to tylko przez ten napój, od urodzenia źle tole-
rował mocne trunki.

– Późno już, mój panie.

Zobaczył w oczach Esena zawód i stłumił falę poczucia
winy. Pamiętał jednak, że jutro ruszają w drogę, a Esen miał
rację, że jego zbroja – a więc i on sam – cuchnie.

Po dzisiejszej nocy nie będzie okazji na kąpiel aż do An-
fengu. Aż do zwycięstwa.

朱

Zagrały tarabany. Ouyang stał na czele zgromadzonej
armii. Esen wychynął z jurty w odświętnej zbroi. Na ramio-
na narzucił płaszcz ze srebrzystego futra, znakomicie uzupeł-
niający ogorzałą cerę. Brodę miał przyciętą tak, że wyraźnie
było widać gładką, prostą kolumnę gardła. Kroczył przed
siebie niczym pan młody w dniu ślubu, zalany czerwonym
blaskiem świtu. Niezwykły o tej porze roku ciepły, zwiastu-

jący powodzenie wietrzyk niósł ze sobą zmieszane zapachy metalu i koni.

Generał czekał, czując za plecami obecność sześćdziesięciu tysięcy żołnierzy. Jego zwierciadlana zbroja była wypolerowana tak doskonale, iż płonęła jaskrawo nawet pod tym nisko zawieszonym niebem. Na polu walki stawała się pochodnią, ku której się zwracano bądź przed którą umykano w panice.

Gdy Esen podszedł bliżej, Ouyang padł na kolana. Buty Esena zatrzymały się tuż przed nim. Eunuch pochylił się nisko nad arystokratycznym podbiciem i zawołał:

– Mój panie! Pozdrówcie mojego pana, syna księcia Henanu!

– Chwała synowi księcia Henanu! – odpowiedziały mu krzyki.

– Mój panie! Twoja armia czeka w pełnej gotowości.

Wyczuł, że Esen prostuje się jeszcze bardziej i z zadartą głową sunie spojrzeniem po szeregach żołnierzy. Zgięty wpół Ouyang czuł obmywające go nikle skrzypnięcia i metaliczne pobrzękiwanie. Nawet nieruchoma armia wydaje swoiste odgłosy. Zobaczył to oczyma ducha: pokrywające równinę kolumny piechurów, dziesiątki tysięcy identycznych sylwetek, zlewające się w jednolitą masę ciemnego metalu. Las pik, a ponad nimi bezkres sztandarów, czysty błękit płomienia bądź bezchmurnego stepowego nieba, głoszące potęgę mongolskiego Cesarstwa Wielkich Yuanów.

– Wstań, mój generale. – Ouyang podniósł się z klęczek i rozświetlił go uśmiech Esena. – Widok twojej armii sprawia mi radość. Raduję się, mogąc cię za to nagrodzić – powiedział arystokrata i skinął na adiutanta. Po chwili jego uśmiech stał się szelmowski. Poufały, zadowolony. – Ledwie ją ujrzałem, natychmiast zrozumiałem, komu powinna przypaść.

Podarkiem była czarna klacz o karku niemal tak grubym jak u ogiera.

Patrząc na Ouyanga, zastrzygła uszami i wydała z siebie ciche parsknięcie, to dziwne pozdrowienie, jakim witały się z nim po raz pierwszy wszystkie zwierzęta. Klacz była brzydka, silna i wspaniała – wśród ludzi, dla których konie są najważniejszym i najbardziej cenionym dobrem świata, stanowiła dar iście królewski. Generał przyjrzał się zwierzęciu, czując ukłucie smutku. Jedynie Esen zauważał, że Ouyangowi należy się nagroda. Tylko on nie chciał widzieć tego, co widzieli wszyscy inni. Kiedy przekazywał eunuchowi wodze, przelotnie zetknęły się ich nagie dłonie.

– Pojedź u mego boku, generale. – Esen dosiadł własnego rumaka i powiodł spojrzeniem dokoła. – Wielka armio Yuanów! – zawołał dźwięcznym głosem. – Żołnierze księcia Henanu! W drogę!

Ouyang wydał rozkaz; komendę podchwycili i powtórzyli dowódcy dziesięcioletnich batalionów, a za nimi tysięcznicy i setnicy. Podniesione głosy krążyły pod chmurami niczym stado ptaków, tworząc wspólną pieśń rozbrzmiewającą w wąwozie dudniącym echem. Armia ruszyła naprzód. Pochłaniające światło kolumny rozlały się po równinie; metal miażdżył trawę, podrywając ku górze fale ziemistej woni. Niezmordowane furkocące na wietrze sztandary powiewały nad wielmożnym Esenem i generałem Ouyangiem, którzy ramię w ramię na czele armii Cesarstwa Wielkich Yuanów pomaszerowali na spotkanie Czerwonym Turbanom, prosto na Anfeng.



6

Anfeng, południe prowincji Henan,
jedenasty miesiąc

Anfeng, stolica Czerwonych Turbanów, był w czas sloty miastem przygnębiającym. Ma Xiuying bez parasola w dłoni brodziła w błocie, przedzierając się w kierunku pałacu pierwszego ministra Liu. Na to wezwanie od pewnego czasu czekali już wszyscy: pierwszy minister miał nareszcie wybrać nowego generała powstańczej armii. Za każdym razem, gdy o tym myślała, Ma czuła bolesny skurcz kiszek. Jej ojciec, generał Ma, poprowadził rebelianckie wojska do tylu zwycięskich bitew i wyzwolił z rąk Yuanów tak wiele miast południa, że wszyscy zaczęli uważać go za wodza nieomylnego. W końcu jednak nie tylko poniósł porażkę, lecz sam zginął w walce. Jakoś kiedy potrzebowali ich najbardziej, myślała dziewczyna z goryczą, nie było przy nim żadnego z zaufanych towarzyszy. Wyobraziła sobie ojca stojącego twarzą w twarz z tym eunuchem, generałem księcia Henanu. Ojca, który odkrył nagle, że został zupełnie sam. Zdradzony. Nie musiała sprawdzać, by wiedzieć, że stał za tym sam pierwszy

minister. Po odnalezieniu Księcia Światłości Liu zmienił się błyskawicznie. Niesiona przez świętego chłopca obietnica pokonania Yuanów przyprowadziła pierwszego ministra o paranoję. Po im większą władzę dla siebie samego sięgał w marzeniach, tym wyższe aspiracje dostrzegał u ludzi z najbliższego grona. Na dwa dni, zanim generał Ma wyruszył przeciwko armii księcia Henanu, doszło między nim a pierwszym ministrem do sprzeczki. A teraz już nie żył.

Ma wyszła zza węgła i ujrzała przed sobą podążającą przez mżawkę żwawym krokiem znajomą wysoką postać. Nie był to ktoś, kto mógł podnieść ją na duchu, lecz w tej chwili wystarczało dziewczynie, że nie jest obcy.

– Guo Tianxu! – zawołała, po czym zakasała spódnicę i podbiegła. – Pozwól, że pójde z tobą.

– Idź sama! – odparł jej narzeczony i przyspieszył. Komentując Guo miał wprawdzie dopiero dwadzieścia dwa lata, lecz bezustannie pracujące brwi, raz po raz spływające ukośnie tuż nad nos, zdążyły wyłobić na jego czole trzy pionowe linie. Wszyscy w Anfengu nazywali chłopaka Małym Guo, co doprowadzało go do szału. Przywilej bycia pierwotnym, dużym Guo przypadał jego ojcu, piastującemu w rządzie Czerwonych Turbanów funkcję ministra prawej strony. – Strasznie się wleciesz!

– Tak się boisz, że nie zdążysz na spotkanie z pierwszym ministrem? Trzeba było wcześniej wyjść – fuknęła zirytowana Ma.

– Kto tu się boi? – Wyraźnie niezadowolony Mały Guo zatrzymał się w pół kroku. – Po prostu nie znoszę chodzić z niskimi ludźmi. Poza tym czy myślisz, że nawet gdybym się spóźnił, pierwszy minister rozpocząłby spotkanie beze mnie? A niech sobie poczeka!

– Zwariowałaś? – Ma pospiesznie rozejrzała się wokół, by sprawdzić, czy nikt ich nie słucha. – Nie możesz w taki sposób mówić o pierwszym ministrze!

– Będę mówić, jak zechcę. A już ty z pewnością nie będziesz mi niczego zabraniać.

Ma została oddana pod opiekę rodziny Guo wiele lat wcześniej, być może dlatego jej związek z Małym Guo zdecydowanie bardziej przypominał relację nieprzypadającego za sobą rodzeństwa o zupełnie odmiennych poglądach niż narzeczeństwo.

– To przykre, co spotkało generała Ma – podjął Mały Guo, ruszając energicznie przed siebie – ale już od dawna trzeba nam nowych pomysłów, które mogłyby wspomóc sprawę powstania. Dla mnie to szansa. Mam kilka takich i mogę wcielić je w życie.

– Czy... teraz ty zostaniesz generałem? – Miało to sens, a zarazem nie miało. Mały Guo nie był ani najbardziej doświadczonym, ani najbardziej utalentowanym w gronie oficerów Czerwonych Turbanów, o czym wiedzieli wszyscy poza samym zainteresowanym.

– A niby kto inny? Pierwszy minister przyobiegał to już mojemu ojcu. Bo co? – prychnął, spoglądając na Ma. – Myślisz, że się nie nadaję?

– Nie w tym rzecz. Wydaje mi się po prostu, że pierwszy minister ma swoje koncepcje strategiczne. Jeśli zaczniesz nagle naciskać na realizację własnych pomysłów... – Dziewczyna przypomniała sobie los ojca i ponownie poczuła mdłości. – Nie działaj zbyt ambitnie, Guo Tianxu.

– Przypuszczam, że pierwszy minister dlatego tak długo nie zgadzał się na plan twojego ojca, bo rozumiał, że to nie może się udać. I nie udało się! To człowiek, który potrafi odśiać dobre pomysły od złych. Poza tym teraz mamy Księcia Światłości. Jeśli tylko dowiedziemy niebiosom, że jesteśmy godni mandatu, porażka będzie wykluczona.

– Księcia Światłości mieliśmy też w dniu klęski mojego ojca – zauważyła smętnym tonem Ma. Dziewczyna wiedzia-

ła, że pojawienie się na ziemi Księcia Światłości stanowi zapowiedź nastania nowej ery, niewykluczone nawet, że lepszej. Jeżeli jednak śmierć jej rodziciela stanowiła przykład zmian, jakie musiały zajść, by ta nowa epoka mogła się rozpocząć... strach pomyśleć.

W pewnym momencie zaskoczył ich hałas. Na środku ulicy gęstniało zbiegowisko. Wyciągający szyje, zaintrygowani mieszkańcy miasta tłoczyli się wokół postaci sunącej chwiejnie na wysokości ich barków. W pewnym momencie ciżba eksplodowała i postać pomknęła naprzód: nie niosły jej ludzkie ramiona, lecz koński grzbiet. Dość niezwykłą jej cechą była wygolona głowa i szara mnisia szata. Wierzchowiec pędził ulicą zygzakiem, wpadając po drodze na stragany i prowokując przydługie tyrady wyzwisk i przekleństw. Ciekawość tłumu osiągnęła poziom gorączki. Wtem koń zatrzymał się gwałtownie w miejscu i zrzucił swój bagaż prosto w kałużę błota. Tłuszcza zaniosła się powszechnym rechotem.

Koń, bardzo niezadowolony, ruszył klusem w kierunku Ma. Dziewczyna wyciągnęła rękę i chwyciła wodze.

– Ej! – Mały Guo podszedł zamaszystym krokiem do zebranych. – Wy nieużyte żółwie jaja!

Na widok swego dowódcy mężczyźni spuścili spojrzenia i umilkli.

– Ty! Tak, ty. Przyprowadź mi tu tę... osobę.

Mnich został czym prędzej wyłowiony z kałuży i przemieszczony, dość łagodnie, przed oblicze Małego Guo. Okazał się człowiekiem młodym i żyłastym, o zapadającej w pamięć twarzy. Zbyt szerokiej u góry i zbyt wąskiej u dołu, wskutek czego budzącej skojarzenia ze świerszczem bądź modliszką.

– Niech ci Budda błogosławi, komendancie Guo – przywitał się swobodnie i uklonił.

– W jakim celu przybywasz do Anfengu? – rzucił szorstko Mały Guo.

– Nędzny mnich jest mnichem chmur i wody. – Określenie to oznaczało mnicha wędrownego, niezwiązanego z żadną konkretną świątynią czy klasztorem. – Przez Anfeng po prostu przejeżdżam. Miło znów ujrzeć ludzkie twarze. Długo bawiłem na prowincji. – Duchowny uśmiechnął się samymi oczyma. – Czy też może zwróciłeś uwagę, że w naszych czasach osobników, których spotyka się na gościńcach, najrozsądniej jest unikać?

– Masz mnie za idiotę? Chcesz, żebym uwierzył, że naprawdę jesteś mnichem? – Mały Guo zerknął na konia. – Przyłapałem cię z ręką na własności Czerwonych Turbanów. Według mnie czyni cię to złodziejem.

– Gdyby nędzny mnich rzeczywiście zdołał położyć na tym stworzeniu rękę, zapewne dłużej utrzymałby się w siodle.

– Zatem jesteś marnym złodziejem.

– To była gra. Hazard – podjął mnich, a uśmiech w jego oczach jaśniał z każdą chwilą bardziej. Mówił z niejakim wstydem i dykcją człowieka wykształconego. Dokładnie tak, jak powinien wysławiać się duchowny. Co jedynie wzmagало prawdopodobieństwo, że nim nie jest. – I nędznemu mnichowi udało się wygrać.

– Raczej oszukać. Co czyni cię... Jak to szło? Ach tak, złodziejem.

– Nędzny mnich nazwałby się jednak pospolitym szczęściarzem. – W głosie rzekomego duchownego pojawiła się żalosna nuta.

– Pozwól, że przypomnę ci, jaki los spotyka w tym mieście złodziei. – Mały Guo skinął głową w kierunku otaczającego Anfeng ziemnego wału. – To!

Mnich spojrział na długi szereg nabitych na włócznie ludzkich głów. Otworzył szeroko oczy.

– Ach... – Zachłysnął się. – Ale ten nędznik naprawdę jest mnichem! – Padł na kolana.

Ma była przekonana, że usłyszy płacz lub może błagania o darowanie życia. Usłyszała jednak śpiew.

– Och, do... – Twarz Małego Guo wykrzywił grymas irytacji. Sięgnął po miecz, lecz zanim zdążył wysunąć ostrze z pochwy, Ma podbiegła i chwyciła go za łokieć.

– To naprawdę mnich! Posłuchaj tylko!

– Czego tu słuchać? Pierdzi przez usta i tyle! – Mały Guo posłał dziewczynie jadowite spojrzenie i uwolnił ramię szarpnięciem.

– Pier... Przecież to sutra serca! – syknęła Ma. – Jak możesz tego nie wiedzieć? Zastanów się, Guo Tianxu. Skoro obecność Księcia Światłości jest dla nas świadectwem przychylności niebios, jak długo ją zachowamy, jeśli zaczniesz ścinać mnichów na lewo i na prawo?

– Ty też znasz sutry, a mniszka nie jesteś! – stwierdził kwaśno Mały Guo.

– Popatrz na jego szatę! I na głowę! Czy myślisz, że wypalił sobie te blizny dla zabawy?

Oboje przyjrżeli się zanoszącemu pieśń mnichowi. Na pochylonej czaszce widniały zaokrąglone blizny, wyglądające tak, jakby ktoś położył mu na głowie rozgrzaną do czerwoności żeliwną podstawkę pod garnek. Młodzieńcze oblicze rozświetlała koncentracja i napięcie. Początkowo Ma uznała tę drugą emocję za przejaw strachu, lecz zaraz potem spotkali się spojrzeniami i uderzyło ją, że w ciemnych oczach chłopaka nie ma ani odrobiny lęku. Wtedy uświadomiła sobie, czym naprawdę jest to specyficzne napięcie. Była to pewność: zacięte, religijne niemal skupienie człowieka, który po prostu nie wierzy, by wypadki mogły potoczyć się w kierunku innym niż pożądany.

Mały Guo, widząc po twarzach, że i mieszkańcy miasta dali wiarę mnichowi, przez chwilę toczył wyraźnie widoczną wewnętrzną walkę: pragnienie zachowania twarzy zmagало się z troską o pomyślność przyszłych wcieleń.

– Dobrze – wycedził i Ma skrzywiła się, słysząc ton narzeczonego. Mały Guo był równie uparty jak bohater powieści, który zapłakał dopiero na widok trumny. Co więcej, nigdy nie zapominał nikomu dawnych uraz. – Myślisz, że mamy tu miejsce dla nierobów? To armia, w Anfengu walczą wszyscy. Mam nadzieję, że twoje śluby tego nie zabraniają.

– A jeśli zabraniają? – Zaśpiew chłopaka ustał.

Mały Guo przez chwilę wpatrywał się w mnicha, po czym podszedł do najbliższego oficera, odebrał mu miecz i rzucił duchownemu.

Chłopak chwycił broń bardzo nieporadnie, wypadła mu z rąk prosto w kałużę.

– Jeśli uprze się zostać, przydzielcie go do straży przedniej – polecił Mały Guo z gorzką satysfakcją i odmaszerował ciężkim krokiem.

Naturalnie była to zemsta. Straż przednia, formacja złożona z najmniej wartościowych rekrutów, istniała niemal wyłącznie po to, by przyjmować na siebie grad mongolskich strzał, który rozpoczynał każdą praktycznie potyczkę. Przydział ten oznaczał dla mnicha właściwie pewną śmierć, za którą jednak nawet same niebiosy nie mogłyby obwinić Małego Guo.

Gapie się rozeszli, zostawiając w spokoju młodego mnicha, który zaczął zdrapywać z szaty placki błota. Ma dopiero teraz zauważyła, że chłopak nie przerasta jej nawet o włos i jest przy tym chudy jak łodyga bambusa. Dziwnie było pomyśleć, że jest niewiele więcej niż dzieckiem; ta myśl gryzła się z tym, co dostrzegła przed chwilą w jego oczach.

– Szacowny mnichu – odezwała się, podając mu lejce – może następnym razem, kiedy umyślisz grać o konia, zechcesz przedtem nauczyć się jeździć?

Duchowny podniósł wzrok. Ma znów poczuła dreszcz: twarz młodzieńca była tak słonecznie czysta, że przemknę-

ło jej przez myśl, iż musiała się pomylić. W tej chwili nie widział w nim nawet śladu napięcia czy skupienia – spoglądał tak, jakby nie miał pojęcia, że uniknąwszy jednego rodzaju śmierci, został skazany na inny.

– To była propozycja? – spytał z zachwytem. – Czy... Ale czy ty potrafisz jeździć konno? – Omiótł baczным spojrzeniem przypominającą kształtem naleśnik twarz Ma i jej wielkie stopy. – Ach! Nie jesteś nanrenką. Jesteś semu, oczywiście, że potrafisz. Wszyscy nomadzi potrafią.

Tym ją zaskoczył. Naturalnie, że była semu: jej ojciec służył jako generał w armii Yuanów, a generałów rekrutowano wyłącznie spośród Mongołów bądź właśnie semu – kasty stepowych nomadów i innych zachodnich ludów. W całym imperium Wielkich Yuanów był tylko jeden generał wywodzący się z nanrenów i wszyscy świetnie wiedzieli, kim jest. Tak więc mnich odgadł trafnie, ale wystarczył mu do tego jeden jedyny rzut oka.

– Twój nędzny uczeń nazywa się Zhu, szacowna nauczycielko – podjął cały w skowronkach. – Proszę, przekaż mu pierwsze instrukcje!

Tupet młodzika sprawił, że Ma parsknęła śmiechem.

– Ajja, troszkę zbyt śmiały jesteś! Jeszcze napytasz sobie kłopotów. Pozwól, że coś ci powiem, mnichu Zhu. Zabierz swojego konia i jak najszybciej stąd odjedź. Myślę, że dzięki temu znacznie dłużej pożyjesz. – Dziewczyna pokręciła głową, poklepała konia (zwierzę próbowało ją ugryźć) i odeszła.

Zza pleców doleciały ją głośnie okrzyki: wierzchowiec pociągnął chłopaka za sobą. Ma poczuła przelotne ukłucie żalu. Czy to w straży przedniej Czerwonych Turbanów, czy wędrując po nawiedzanych przez bandytów równinach, samotny wędrowny mnich spod znaku chmur i wody nie miał większych szans na przetrwanie. Z drugiej strony były to cza-

sy wojen powstańców z wojskami cesarza, a w tych czasach nikt nie mógł być pewien dnia ani godziny.



Ma stała z tyłu sali tronowej pierwszego ministra i tuliła w dłoniach imbryk do herbaty. Ponieważ przed okupacją Czerwonych Turbanów Anfeng nie był stolicą niczego, pomieszczenie, w którym się znajdowała, nie było salą tronową z prawdziwego zdarzenia. I nie stanowiło części prawdziwego pałacu. Przed laty, kiedy powstańcy, którzy mieli potem stać się Czerwonymi Turbanami, odebrali miasto Yuanom, większą część zabudowań strawił pożar, który nie oszczędził również rezydencji gubernatora. Wskutek powyższego pierwszy minister Liu Futong kierował rebelią z dużego, lecz sypiącego się już piętrowego budynku o kilku dziedzińcach. Obecna sala tronowa była w przeszłości poświęconą przodkom kaplicą, a jej drewniane, pokryte plamami białej pleśni ściany wciąż tchnęły wonią kadzidła i suszonej skórki mandarynki. Z przodu pomieszczenia na mniejszym z dwóch ustawionych na podwyższeniu tronów zasiadał pierwszy minister. Jego rozbiegane oczka i wyraźnie widoczna ponad postrzępionym kołnierzykiem obszernej szaty siwa broda sprawiały, że przypominał opętanego paranoją, złośliwego gronostaja. Obok zajmował miejsce Księżę Światłości.

W porównaniu z politykiem ziemskie wcielenie światła i ognia lśniło blaskiem tak jaskrawym, jak świeżo wybita moneta błyszczy w dłoni żebraka. Mały, siedmio- lub ośmioletni chłopiec opatulony sztywną szatą barwy rubinów zdawał się promieniować, jego postać sprawiała wrażenie wyjętej poza ramy czasu. Spojrzenie malca, widoczne poprzez liczne sznury nefrytowych koralików zwieszających się z runda kapelusza, jaśniało; uśmiechał się wdzięcznym, nieugiętym

uśmiechem posągu. Ma wiedziała, że dziecko jest prawdziwe: chłopczyk oddychał jak każdy człowiek, lecz w ciągu długich miesięcy, jakie spędził pośród Czerwonych Turbanów, ani razu nie słyszała, by zagrzechotał choć jeden z tych paciorków. Patrząc w uderzające spokojem oblicze malca, niezmiennie, lecz obiecujące zmianę, czuła mrowienie na samym czubku głowy. O czym mógł myśleć, siedząc na tym tronie? A może wcale nie myślał? Może jest pustym w środku przekąźnikiem woli niebios? Dziewczyna zadrżała, wieczko imbryka cicho zabrzęczało.

Przed podwyższeniem klęczeli członkowie najwyższego dowództwa Czerwonych Turbanów. W pierwszym rządzie minister prawej strony Guo Zixing i minister lewej strony Chen Youliang trwali w identycznych, pełnych szacunku pozach, z przyciśniętymi do podłogi gołymi głowami. Rząd drugi tworzyło dwóch z trzech młodych dowódców: Mały Guo i jego wierny przyjaciel Sun Meng. Trzeciego dowódcy, komendanta Wu, nie było: obarczono go niegodnym pozazdroszczenia zadaniem utrzymywania stopniowo cofającego się frontu, nękanego nieustannymi atakami generała eunucha.

Innym nieobecnym był generał Ma. Jego córka, owszem, przeżyła śmierć ojca, lecz żałoba okazała się dla niej doznaniem abstrakcyjnym. Od czternastego roku życia mieszkała w domu rodziny Guo, a przed śmiercią ojciec kontaktował się z nią jedynie przelotnie, jakby byli sobie zupełnie obcy. Z jego punktu widzenia dziewczyna swoją rolę już wypełniła: scementowała przymierze między nim a ministrem prawej strony Guo.

– Powstańcie – rzucił pierwszy minister, po czym podniósł się z tronu i podszedł do piaskowego stołu, przy którym zwykle planowali. Po drodze skinął na Ma, by nalała herbatę. Kiedy dołączyli do niego pozostali dowódcy, po-

wiódł po ich twarzach spojrzeniem, z którego biła kontrolowana wściekłość. – Już dawno temu powinniśmy byli zmienić generała. Potrzebujemy w tej roli człowieka, który nie tylko będzie zwyciężać w drobnych potyczkach, ale stanie się prawdziwym przywódcą i powiedzie nas ku ostatecznej wygranej w wojnie przeciwko hu. I niech nikt nie ma wątpliwości. Będzie to wódz, który nad własne ambicje przedkłada powodzenie misji i posłannictwa Czerwonych Turbanów. Generał Ma...

Zacisnął usta, lecz Ma i tak aż drgnęła, widząc malującą się na surowej twarzy polityka niechęć. Jeśli miała jeszcze jakieś wątpliwości, ta mina rozwiała wszystkie: jej ojciec odmówił realizacji planu pierwszego ministra, co ten drugi uznał za przejaw braku lojalności. I aby go ukarać, gotów był zaryzykować wszystko, co powstańcy dotąd osiągnęli.

Obaj ministrowie wymienili się wrogimi spojrzeniami. Chen i Guo nie cierpieli się serdecznie i z wzajemnością. Spowici duszną, podsycaną przez pierwszego ministra atmosferą paranoi i tajemnic, obaj mężczyźni starali się ukrywać swe aspiracje, dążąc jednocześnie do władzy. Guo służył pierwszemu ministrowi dłużej niż konkurent, lecz teraz, kiedy stracił sojusznika, jakim był generał Ma, jego pozycja stała się mocno niepewna.

– Ekscelencjo – odezwał się Chen – jeśli wolno twojemu nędznemu słudze wysunąć pokornie sugestię... Moim zdaniem odpowiednie zdolności wykazuje komendant Wu.

Chen, człowiek po czterdziestce, był jakieś dziesięć lat młodszy od rywala. Miał drobną, przystojną twarz, a jego policzki przecinały głębokie pionowe zmarszczki, co powodziło na myśl oglądany ze stanowczo zbyt niewielkiej odległości pasiasty pysk tygrysa. Ani jego szata, ani czarny kapelusz uczonego nie mogły nikogo wprowadzić w błąd. Osobnik ten nawet minuty swego życia nie poświęcił zajęciu

równie niewinnemu jak nauka. Zanim stanął u boku pierwszego ministra, był szeroko znanym z brutalności lokalnym watażką. To właśnie on zdobył Anfeng, co stanowiło bezpośrednią przyczynę zniknięcia z miasta licznych oryginalnych budowli – i wszystkich poprzednich mieszkańców.

– Wu istotnie radzi sobie niegorzej i dowiódł swojej lojalności, ale nie ma nawet dwudziestu lat – zauważył Guo. – Jak tak młody człowiek mógłby dowodzić wszystkimi siłami naszego ruchu? Z pewnością nie byłoby to stosowne. – Podobnie jak wszyscy obecni, Guo zdawał sobie sprawę, że komendant Wu siedzi w kieszeni Chena. – Ekscelecjo, naturalnym kandydatem jest komendant Guo. Zbiera doświadczenia o kilka lat dłużej niż Wu, a także budzi w sercach żołnierzy szczery entuzjazm i oddanie. Możesz być też pewny, że w pełni poradzi sobie z wyzwaniem, jakim jest pokonanie wrogich hu.

Pierwszy minister skierował stalowe spojrzenie na Małego Guo. Po chwili milczenia polityczny przywódca powstania odezwał się uprzejmym tonem:

– Guo Tianxu, czy jesteś człowiekiem, który poprowadzi nas do zwycięstwa nad hu? Czy nie zawiedziesz jak ten zdrajca generał Ma?

Mały Guo zrobił tak nadętą minę, jakby zawdzięczał sukces samemu sobie.

– Jestem! – rzucił i grzmotnął się zaciśniętą pięścią w pierś. – Nie zawiodę!

Gdy Ma nachyliła się pomiędzy Chenem i Małym Guo, by nalać herbatę, zauważyła na twarzy Chena przeblysł emocji znacznie łagodniejszej niż rozczarowanie. On wcale nie spodziewał się wygrać. A to znaczy, że zależy mu na czymś innym, przemknęło dziewczynie przez myśl.

– Znakomicie, generale Guo – podjął pierwszy minister. – W takim razie dowiedz, że jesteś godzien tego stopnia. Popro-

wadź wszystkie oddziały, jakie nam zostały, i udziel wsparcia broniącemu frontu komendantowi Wu. W walce z hu powinniśmy stosować strategię opóźniania postępów przeciwnika. Stawiajcie opór, minimalizując przy tym straty własne, po czym wycofujcie się. Naszym celem powinno być dopilnowanie, żeby pora kampanii wroga dobiegła końca, zanim dotrą do Anfengu. Potem, latem, odbijemy wszystkie utracone terytoria.

Plan był mocno zachowawczy. Nawet sam pierwszy minister rozumiał, że poświęcenie generała Ma znacznie pogorszyło ich położenie, zwłaszcza teraz, w sytuacji, gdy w wojska Yuanów wstąpiła świeża determinacja.

– Zgoda, ekscelencjo – mruknął pod nosem minister prawej strony Guo Zixing.

Chen zwrócił się do Małego Guo.

– Generale – rzucił swobodnie – proszę, podziel się z nami swoimi refleksjami dotyczącymi sytuacji.

Widząc, jak Mały Guo otwiera usta do odpowiedzi, Ma z przerażeniem domyśliła się, na czym polega plan Chena. Dlaczego miałby ścierać się z wprawionym w bojach, przebiegłym ministrem prawej strony Guo Zixingiem, kiedy mógł uderzyć bezpośrednio w najsłabsze ogniwo jego stronnictwa? W głupiego, aroganckiego, ambitnego Małego Guo.

Ze zgrozą myśląc o tym, co Mały Guo może za moment powiedzieć, dziewczyna skierowała dzióbek imbryka ku jego dłoni. Pomysł być może okazałby się skuteczny, gdyby nie żelazny uścisk, jaki w tej samej chwili poczuła na przegubie. Chen zamknął palce wokół nadgarstka Ma tak mocno, że w oczach stanęły jej łzy.

– Droga Yingzi, jeśli zaczniesz parzyć przyszłego męża za każdym razem, kiedy otworzy usta, jakże będziemy mogli poznać jego cenne sugestie?

Chwilę milczenia wykorzystał minister prawej strony Guo.

– Ekscelencjo – wtrącił pospiesznie – proponuję, żebyśmy pozwolili generałowi Guo zapoznać się najpierw z raportami komendanta Wu. Spotkajmy się w późniejszym terminie.

– Jestem przekonany, że generał Guo już w tej chwili dysponuje znakomitym oglądem sytuacji – odparł Chen. – Upraszam łaskawie ministra prawej strony, żeby pozwolił nam wysłuchać refleksji naczelnego wodza. – Nie poświęcając dziewczynie jednego spojrzenia, uwolnił jej rękę. – Kontynuuj, generale, proszę bardzo.

Małego Guo niemal dosłownie rozpierała duma; uwielbiał brzmienie własnego głosu. Ma miała ochotę krzyczeć. On wciąż nic nie rozumiał. A przecież powiedziała mu wprost. Jak mógł być tak nieświadomy, by nie pojmować, co spotkało jej ojca; jak mógł nie wiedzieć, jak cienka linia oddziela w umyśle pierwszego ministra rozumne dążenie do sukcesu od karygodnej ambicji?

Czując w przegubie bolesne pulsowanie, zerknęła na promieniającą z satysfakcji twarz Chena.

– Dlaczego mielibyśmy oddawać hu ludzi i ziemie zupełnie za bezcen? – odezwał się Mały Guo. – W dodatku jeśli dotrą tak daleko, że Anfeng znajdzie się w zasięgu ich wzroku, czy rzeczywiście zawrócą do domu, nawet jeśli pogoda będzie zbyt ciepła, jak na ich gust? Z pewnością przekroczą Huai He z nadzieją na szybkie zdobycie naszej stolicy. Czemu mielibyśmy pozwalać, żeby to oni dyktowali warunki starcia? Następną poważniejszą przeszkodą na ich drodze będzie rzeka Yao. Rzucając im wyzwanie tam, znajdziemy się w korzystnym położeniu. Odważmy się uderzyć i przepędźmy ich na cztery wiatry, aż umkną w popłochu, pokonani, aż do jurty swojego księcia!

– Otóż to! – Chen zamruczał niczym kocur. – Dlaczego się nie odważyć? Skoro wierzymy w ostateczne zwycięstwo

nad hu, dlaczego nie uwierzyć również, że niebiosa poprowadzą naszego prawdziwego przywódcę do zwycięstwa w walnej bitwie?

– Guo Tianxu... – Minister prawej strony Guo miał minę człowieka cierpiącego na paskudne zaparcie. – Być może bardziej ostrożne pode...

– Ostrożne!? – zachnął się Mały Guo, który nie był wyznawcą koncepcji, iż prawda rzadko wyraża się w krzyku. – Czy mamy działać ostrożnie bez końca i czekać, aż zginieemy śmiercią tysiąca cięć? Zgoda, wróg dysponuje większymi siłami, ale czy Zhuge Liang nie pokonał stutysięcznej armii, mając zaledwie trzy tysiące swoich?

Krótko mówiąc, taki właśnie był Mały Guo: bez cienia wstydu przyrównał się do największego stratega w dziejach.

Woda kapiąca do ustawionego pod przeciekającym dachem wiadra odegrała bezładną melodię.

– Skoro takie jest twoje zdanie, generale Guo – rozległ się po chwili posępny głos pierwszego ministra – jedź i poprowadź nasze siły w bitwie nad rzeką Yao. Niech Księżę Światłości pobłogosławi naszym wysiłkom i przyniesie nam zwycięstwo!

Święty chłopiec przyjrzał im się z góry ze swym łagodnym uśmiechem na twarzy. Jeśli nawet wiedział, co postanowiły niebiosy w sprawie nadchodzącej konfrontacji ziemskich wojsk, to w żaden sposób nie dał tego po sobie poznać. Poważnie zaniepokojona Ma poczuła, że dłonie ma śliskie od potu. Jeżeli Mały Guo nie odniesie zwycięstwa, jego strategia, inna niż koncepcja pierwszego ministra, stanie się kwestią lojalności. A sługa pierwszego ministra, człowieka, dla którego lojalność jest wszystkim, nie mógł się znaleźć w mniej bezpiecznej sytuacji.

Zerknęła ukradkiem na Chena. Kąciki jego wąskich ust wygięły się ku górze, składając się w minę, która wyrażała

całą rozkosz uśmiechu, zarazem nie zawierając w sobie nawet sugestii ciepła.

朱

Otoczone ziemnym wałem wzgórza Anfengu falowały łagodnie pod rozległymi polami namiotów i naprędce skleconych bud, w których mieszkali żołnierze Czerwonych Turbanów. Z istniejącego tu wcześniej miasta pozostały jedynie duchy i garstka piętrowych rezydencji, których górne, rozświetlone okna majaczyły w błękitnym mroku jak nocne barki na rzece. Zhu stała u boku swego konia i zaciągała się mroźnym powietrzem, zmieszonym z dymem palonego łąjna. Dotarła do Anfengu, osiągnęła swój cel. Teraz jednak, kiedy już się tu znalazła, oszałamiająco wyraźnie widziała niebezpieczeństwa, jakie czyhały na obranej przez nią ścieżce. O najbardziej poważnym bez przerwy przypominał jej ciężar nowego miecza. Nigdy wcześniej nie miała takiej broni. Nie miała bladego pojęcia, jak się nią walczy, a co więcej, w odróżnieniu od Xu Da nie potrafiła nawet jeździć konno. W klasztorze nauczyła się bardzo wiele, lecz przekazywana przez mnichów wiedza nijak nie przybliżała jej do rozwiązania problemu przetrwania na polu bitwy. Przyszła jej do głowy myśl, która przyprawiła ją o dreszcz lęklivego wyczekiwania, tak intensywny, że niemal przyjemny. Na wszystko jest sposób, pomyślała.

– To ty jesteś tym mnichem szczęściarzem – rozległ się czyjś głos.

Zhu odwróciła się i ujrzała szybującą obok w półmroku twarz młodego chłopaka. Mimo poważnego balastu, jaki stanowił nos rozmiarów świątynnej steli, w rysach nieznanego odzwierciedlała się wyrachowana żywotność. Wokół policzków spływały rozpuszczone włosy. Ponieważ młodzik ewidentnie był już w wieku, w którym mógł je wiązać na mę-

ską modłę, dziewczyna domyśliła się, że taką, a nie inną fryzurę wybrał, starając się ukryć uszy, równie potężne jak kinol.

– Co, może nieprawda? – Nieznajomy rzucił jej ujmujący uśmiech.

– Nędzny mnich przyznaje, że jest mnichem – odparła rozbawiona Zhu. – A ty jesteś...?

– Spotykałem już fałszywych mnichów. Oszuści wiedzą, jak naciągnąć ludzi na poczęstunek – stwierdził. – Chang Yuchun – dodał po zastanowieniu.

– Chang Yuchun, młody przyjacielu, pozwól, że podzielę się z tobą jedną z tajemnic naszego stanu. Darmowe jedzenie trafia nam się naprawdę bardzo rzadko – powiedziała Zhu, wspominając, jak bardzo burczało jej w brzuchu w trakcie długiej wędrówki do Anfengu. Nachyliła głowę, by zobaczyć jej blizny. – Nędzny mnich jest gotów się założyć, że nikt nie podszywał się pod mnicha dłużej niż przez trzy dni.

– Cóż, szczęśliwy mnichu. – Yuchun obejrzał ślady święceń z niezdrową wręcz ciekawością. – Myślę, że szczęście będzie ci wkrótce znowu potrzebne. Słyszałem, że Mały Guo zapalał do ciebie taką sympatią, że aż przydzielił cię do przedniej straży. – Otaksował dziewczynę spojrzeniem od stóp do głów i zwrócił uwagę na miecz. – Domyślam się, że nie masz pojęcia, co się z tym robi? Chociaż w sumie żadna różnica. I tak dostaniesz strzałą, zanim się obejrzysz.

– Na świecie istnieją też wojujący mnisi – przypomniała Zhu. – Aż do dzisiaj nigdy nie chciałem zostać jednym z nich. Ale, młodszy braciszku, widzę, że znakomicie orientujesz się w Anfengu! Proszę, podziel się z nędznym mnichem odrobiną swojej bezcennej wiedzy.

– Sprzedaj konia – poradził Yuchun bez chwili wahania.

– To najcenniejsze, co mam! – zaprotestowała dziewczyna. – To jedyne, co mam.

– Koń byłby cenny, gdybyś umiał na nim jeździć. – Obrzucił Zhu pogardliwym spojrzeniem. – Jesteś mnichem, nie potrafisz jeździć wierzchem, nie potrafisz się bić i w dodatku nie chcesz sprzedać bydłęcia. Czy w ogóle cokolwiek potrafisz?

– Nędzny mnich potrafi się modlić. Ludzie gadają, że od czasu do czasu bywa to przydatne – odparła dziewczyna, po czym ruszyła uliczką przed siebie, prowadząc konia na wozdy. – Do kwater straży przedniej to tędy?

– Uważaj! – Chłopak chwycił ją za ramię i odciągnął znad głębokiej koleiny. – Posłuchaj, szczęśliwy mnichu, oto co ci radzę. Wyjedź stąd w te pędy. Poważnie. Chyba że znasz modlitwę zdolną powstrzymać frunącą strzałę?

– Dlaczego wszyscy każą mi wyjeżdżać? Na prowincji nic na nędznego mnicha nie czeka. – Zhu powiedziała to lekkim tonem, lecz gdy tylko pomyślała o opuszczeniu Anfengu, poczuła muśnięcie zimnej nicości, przelotne jak cień jastrzębia. Tak, na tej ścieżce czekało na nią wiele niewiadomych i jeszcze więcej wyzwania, lecz odtrącenie wielkości nie wchodziło w rachubę. Gdyby wybrała inną drogę, koniec mógł być tylko jeden.

– Co właściwie spodziewasz się osiągnąć tutaj? Ech, tak czy inaczej, obóz straży przedniej jest tam. – Yuchun wskazał palcem skupisko rozpalonych w szczerym polu ognisk. – Ja mam sprawy gdzie indziej. Do zobaczenia, szczęśliwy mnichu!

Zhu poszła dalej, pławiąc się w rozkosznym wyczekiwaniu. Ledwie uszła kilkanaście kroków, wychwyciła kątem oka jakiś ruch. Koń kłapnął zębami błyskawicznie jak atakujący wąż.

– Noż w dupę zółwia! – Yuchun uniknął trzaskających szcęk i zatrzymał dziewczynę. – Oddawaj!

– Ale co ty... Au! – Ciśnięta z niebagatelna siłą sakiewka trafiła Zhu prosto w pierś.

– Wiesz, dlaczego aż tak cię zabolalo? – zawołał chłopak. – Bo w środku są, kurwa, kamienie!

– I jest to wina nędznego mnicha, ponieważ...?

– Ponieważ jakimś cudem skończyłem z sakiewką pełną kamieni, a moja prawdziwa wyparowała!

Zhu nie zdołała się pohamować: wybuchnęła śmiechem. Chłopcy w jego wieku podchodzą do siebie tak bardzo poważnie, pomyślała. Już wcześniej zauważyła, że w dwójnasób tyczy się to młodzików, którzy utrzymują się przy życiu dzięki własnej przebiegłości i nabierają w związku z tym przekonania, że zdołają wystrychnąć na dudka całą resztę świata.

– Oszuście jeden! – Chichot dziewczyny dodatkowo zaognił wściekłość Yuchuna. – Prawdziwi mnisi nigdy się nie śmieją. A przede wszystkim nie kradną. Od początku wiedziałem!

– Nie, nie! – odparła Zhu, z wysiłkiem opanowując wyraz twarzy. – Nędzny mnich naprawdę jest mnichem. Być może powinienś poznać kilku innych, żeby zrozumieć, jacy jesteśmy w rzeczywistości. – Wyłowiła spod szaty jego sakiewkę i zajrzała do środka. – Och, młodszy braciszku! Naprawdę imponujące! – Poza miedziakami i niewiele ostatnimi czasami wartymi pieniędzmi papierowymi znalazła sześć srebrnych taeli. – Jakim cudem jeszcze cię stąd nie przegnali? Kradniesz na potęgę!

– Myślisz, że zdążysz komuś wygadać? – skrzywił się Yuchun. – Oddawaj!

– A to co? Groźba? Zadzgasz mnie nożem czy co? – zainteresowała się Zhu.

– Powinienem! Co, jeśli rozgadasz, że jestem złodziejem?

– O tym i tak wszyscy już wiedzą. – Dziewczyna na moment rzuciła maskę i pokazała mu swoje prawdziwe ja. Skonsternowany chłopak niepewnie zamrugnął i odwrócił wzrok. – Nikogo nie obchodziłeś, dopóki byłeś małym chło-

paczkiem, gnojkiem, który od czasu do czasu zwędził monetę lub dwie. Ale nie jesteś już dzieckiem – ciągnęła. – I pewnego dnia ukradniesz coś znowu. Pewnie nawet nie będzie to nic kosztownego. Ale właśnie za tę kradzież ukarzą cię śmiercią, a twoją głowę zatkną na wale.

W spojrzeniu Yuchuna pojawił się błysk strachu, szybko jednak ukryty. Chłopak wyrwał jej sakiewkę.

– Gadasz jak jakiś wróżbiarz! Dlaczego miałbym ufać takiemu nieużytemu darmozjadowi jak ty? O siebie się martw! To ty trafiłeś do straży przedniej. – Urwał, wykrzywił wargę i obrzucił Zhu wyrachowanym spojrzeniem. – Ale, ale! Mni-chu, nie sądzisz, że przydałby ci się przewodnik? Przed chwilą na prostej drodze mało nogi nie złamałeś. Jak tak dalej pójdzie, nie dotrzesz nawet na pole bitwy.

– To propozycja? – upewniła się dziewczyna. Oportunizm i zadziorność złodziejaszka przypadły jej do gustu. Spodobała jej się nawet jego paskudna gęba: widziała w niej samą siebie.

– Moje usługi będą cię kosztować konia – oświadczył. – Ale nie bój się, mogę go odebrać, kiedy już zginiesz – dodał.

– Nędzny mnich od rana nie usłyszał bardziej korzystnej oferty.

Na ulicy zrobiło się ciemno; ogniska przedniej straży ważyły blaskiem.

– Cóż, młodszy braciszku – podjęła z uśmiechem Zhu. – Może zaczniesz od wskazania nędznemu mnichowi drogi?

Dziewczyna przemierzyła w ślad za Yuchunem labirynt ognisk i stojących jeden przy drugim namiotów. Co kilka kroków omijali sterty śmieci lub grupki mężczyzn obserwujących walki świerszczy. Jej zmysły uderzyła silna fala fetoru i hałasów. Przypomniła sobie czasy, kiedy zamieszkany przez kilkuset mnichów klasztor wydawał jej się gwarną me-

tropolią. Tutaj otoczył ją tłum po stokroć liczniejszy. Nigdy jeszcze nie widziała tak wielu ludzi w jednym miejscu.

W pewnej chwili dotarli do placu otwierającego się pośrodku miasta namiotów, na którym wznosiła się drewniana platforma. Oświetlona zatkniętymi wzdłuż krawędzi pochodniami, unosiła się w mroku niczym gorejący statek ponad przelewającym się poniżej ludzkim morzem.

– Co się dzieje?

– Rytuał błogosławieństwa – wyjaśnił Yuchun. – Zaraz zaczynają. A ty nie chcesz, żeby pobłogosławił cię Książę Światłości? W końcu niedługo ruszasz na pewną śmierć. Powinieneś przepchać się na przód.

Zhu uważnie przyjrzała się zbieraniu, od której zależała jej przyszłość. Miała przed sobą gromady krzepkich, młodych wieśniaków w zdobycznych pancerzach i słynnych czerwonych zawojach, od których zaczerpnęło swą nazwę powstanie. W cesarstwie, gdzie przed ludźmi, w których żyłach płynęła krew nanrenów, zamknięto wszelkie możliwe ścieżki życiowe, udział w powszechnej rebelii okazał się atrakcyjny także dla osób większego formatu, niż można by się spodziewać. Dziewczyna pamiętała jednak piękne, lodowate oblicze generała eunucha. Przypomniła też sobie wlewającą się do klasztoru rzekę jego żołnierzy w identycznych ciemnych zbrojach i poczuła na plecach dreszcz.

Nad głowami zebranych na placu Czerwonych Turbanów zapłonęła Niebiańska Rzeka, tak potężna, iż wydawało się, że lada moment wszystkich ich przygniecie i rozetrze na pył. Bębny dudniły tak głośno, że Zhu odniosła wrażenie, iż starają się przemocą nakłonić jej serce, by zrównało się z nimi swym rytmem. Ciżba gęstniała, rozległy się pierwsze zniecierpliwione nawoływania. Aż wreszcie na podwyższeniu pojawiła się odziana w czerwień postać. Niewysoka, przez co

wydawała się bardzo odległa, jakby szybowiała gdzieś między niebiosami a ziemią. Mały chłopiec. Dziecko.

Księżę Światłości wystąpił naprzód. Na jego usta wypłynął pogodny uśmiech, wyciągnął ręce w geście błogosławieństwa. Porywy wiatru szarpały płachtami grzechoczących o maszty proporców. Okrzyki żołnierzy rozbrzmiały jeszcze bardziej donośnie niż dotąd.

I wtem, zupełnie znikąd, w dłoni dziecka pojawił się płomień. Ciało zdumionej Zhu obsypała gęsia skórka. Chłopiec nie kiwnął nawet palcem, w ogóle się nie poruszył. Ogień po prostu... zaistniał. Czerwony płomyk, upiorny i jasny niczym krwawa pełnia księżycy. Tłum ryczał głośniejsze i głośniejsze, a język ognia wyciągał się wyżej i wyżej. Rozlał się po ramionach i barkach Księcia Światłości, zapłonął na czubku jego głowy, aż wreszcie całą dziecięcą sylwetkę spowiła intensywnie szkarłatna pożoga, która zamiast mrok rozpraszać, sprawiła, że stał się miękki niczym sobolowe futro.

Oszołomiona Zhu stała jak wryta. Mandat niebios. Jak wszyscy, od dawna знаła opowieści o boskim płomieniu cesarza – fizycznej manifestacji udzielanego synowi niebios prawa do sprawowania władzy. Mandat mongolskich władców płonął błękitem; stąd właśnie barwa flagi Wielkich Yuanów. Odwiedzający klasztor wędrowni mnisi wspominali niekiedy odwiedzin w stołecznym Dadu – mieście zwanym przez Mongołów Chanbałykiem. Podobno u zarania rządów cesarz potrafił przywołać błękitny płomień jednym niedbalym pstryknięciem palców. Zhu nigdy nie planowała odejścia z klasztoru, a władca ostatnimi czasy przestał demonstrować swą moc publicznie, więc nie spodziewała się, że kiedykolwiek zobaczy mandat na własne oczy. Tymczasem jaśniał tuż przed nią. Ogień miał odcień zachodzącego słońca, barwę cesarzy z pokonanej dynastii Song, ostatniej, która panowała przed najazdem barbarzyńców.

Nagle Zhu zrozumiała, dlaczego powstańcy obrali na swój kolor właśnie czerwień. I dlaczego to czerwień stanowi element nazwy całego ruchu. Stała z zadartą głową, wpatrywała się w jaśniejącą postać i poczuła przebiegające po skórze mrowienie, podobne do tego, jakiego człowiek niekiedy doświadcza przed gwałtowną burzą. Księżę Światłości zwiastował zmianę. Dziewczynę ogarnęła żądza, pragnienie równie silne i gorące jak to, które wyгнаło ją z klasztoru. To teraz, dzisiaj wszystko zaczyna się naprawdę, pomyślała.

– Nie przesadzaj z tym zachwytem – wykrzyknął jej prosto do ucha Yuchun. – To tylko światło, niczego nie robi.

– Więc czemu wszyscy są tacy podekscytowani? – zawołała w odpowiedzi. Mimo wyraźnego cynizmu w tonie chłopaka wydawało jej się, że rozumie. Widok niebiańskiej mocy przepełnił ją dziką, nieokiełznaną energią, podobną do wiatru, który dał jej w plecy, popychając do opętańczej gonitwy ku przyszłości.

Stojący w pierwszych rzędach żołnierze naporli naprzód, wyciągając uniesione ręce ku czerwonej poświacie.

– Błogosławieństwo otrzymają ci, którzy dotkną światła. Ale zginą i tak wszyscy. Już to widziałem. O, a tu masz pierwszego ministra – powiedział Yuchun, gdy na podwyższenie wstąpiła druga postać.

Księżę Światłości zauważył nowo przybyłego i skierował ku niemu dłoń, z której wystrzelił ognisty łuk. Płomień opadł na ramiona pierwszego ministra, a kiedy polityk uniośł ręce, szkarłatna poświata spłynęła na stłoczonych ludzi szeroką falą.

– Oto mandat niebios, który krążył w żyłach naszych ostatnich cesarzy! – zawołał pierwszy minister. – Światło, które wygasi ciemność hu! Blask nowej epoki, ery Księcia Światłości!

Stojący dokoła Zhu żołnierze zareagowali śmiechem i histerycznym szlochem. Wszyscy byli młodzi, żaden nie wie-

rzył, że może umrzeć. I rzeczywiście, gdy tak stali w magicznej, krwistej poświacie, przez krótki moment wydawało się to niemożliwe.

Obserwująca rozradowanych wojaków dziewczyna zaczęła się zastanawiać. Mandat zaprezentowany przez Księcia Światłości rzeczywiście zapewne oznaczał, że władza Yuanów niebawem upadnie. Zhu odebrała jednak klasztorne wykształcenie, czytała kroniki i знаła dzieje wcześniejszych dynastii. Nurt historii wije się niczym pełznący wąż. Czy płynąc wraz z nim, można z góry przewidzieć, w jakim kierunku obróci się nazajutrz? Samo posiadanie mandatu nie gwarantowało powstańcom zwycięstwa ani w nadchodzącym boju, ani w najbliższej bitwie, ani w ogóle.

Zhu jako jedyna na tym zatłoczonym placu dokładnie wiedziała, z czym przyjdzie im się zmierzyć. Z kim. Dzięki dziwnej więzi, jaka połączyła ją z generałem eunuchem, zdołała zajrzeć pod nefrytową maskę jego oblicza, spojrzała i zobaczyła tam wstyd, pogardę do samego siebie i gniew. Generał Yuanów w miejscu serca nosił otwartą ranę, co czyniło go przeciwnikiem groźniejszym, niż ktokolwiek przypuszczał. Dopiero co pokonał najbardziej doświadczonego wodza Czerwonych Turbanów i dziewczyna wiedziała, że postanowił uczynić z buntownikami to samo, co uczynił z klasztorem Wuhuang. A to, stwierdziła ponuro w duchu, byłoby mocno kłopotliwe. W czasach takich jak te jedyna ścieżka ku wielkości wiedzie przez armię, a Czerwone Turbany były jedyną armią, do której mogła się przyłączyć. Gdyby nie powstanie, wchłonęłaby ją nicość.



Rzeka Yao

Zhu i złodziejaszek Yuchun siedzieli przy niewielkim ognisku trzaskającym przed namiotem, który dziewczyna dzieliła z czterema innymi żołnierzami. Jakiś czas temu przestało wreszcie padać i cieszyli się pierwszym suchym dniem od dwóch długich tygodni. Łało przez cały tydzień, kiedy maszerowali z Anfengu nad rzekę Yao, a potem siąpiło jeszcze przez następne siedem smętnych dni, wypełnionych beczynnym oczekiwaniem na przybycie Yuanów. Teraz jednak, kiedy przeciwnik nareszcie pojawił się na przeciwległym brzegu, Zhu stwierdziła w duchu, że nie miałyby nic przeciwko, gdyby oczekiwanie przeciągnęło się bardziej. Mimo że od dłuższego czasu zastanawiała się nad zbliżającym się starciem pod każdym możliwym kątem, to wciąż nie zdołała opracować planu, który pozwoliłby jednocześnie rozwiązać obie palące kwestie: problem jej osobistego przetrwania w szeregach straży przedniej i zagadnienie rychłej anihilacji, jaka z wielkim prawdopodobieństwem czekała Czerwone Turbany za sprawą żołdaków generała

eunucha. Najbardziej irytujące było, że nie mogła się uciec do półśrodków: rozwiązanie jednej tylko kwestii skończyłoby się dla niej bądź rychłą śmiercią, bądź zagładą armii stanowiącej jej klucz do wielkości, co zasadniczo wychodziło na jedno. Wiedziała, że rozwiązanie musi istnieć, lecz jak dotąd miała wrażenie, że krąży bezradnie w kółko, co przyprawiało ją o potężny ból głowy i poczucie narastającego przerażenia.

Zhu zamieszła w wiszącym nad ogniem kociołku, w którym bulgotała żółta fasola. Ponieważ dziewczyna była najświeższym członkiem oddziału, obarczono ją zadaniem przeobrażenia mizernych racji w coś przynajmniej w przybliżeniu jadalnego. Yuchun, który sam nie należał do armii Czerwonych Turbanów i w związku z tym racji nie otrzymywał, wynajął oddziałowi Zhu kociołek (należy zakładać, iż kradziony) w zamian za jedną miskę dziennie tego, co w nim gotowali. Dym i mączysta fasola: woń życia, o którym sądziła, że zostawiła je za sobą na dobre. Błędnie sądziła.

– Brakuje tylko jaszczurki – mruknęła, myśląc o ironii losu.

– Fu! Co? – Chłopak zerknął na nią z niesmakiem.

– Ach, młodszy braciszku, widać, że nigdy nie byłeś naprawdę głodny. Szczęściarz.

– Szczęściarz? Jestem po prostu na tyle cwany, że udało mi się uniknąć sytuacji, w której musiałbym żreć jaszczurki – odparł Yuchun. – I nie próbuj mi wmawiać, że smakują jak kurczak.

– Skąd nędzny mnich miałby o tym wiedzieć? – spytała retorycznie Zhu. – Mnisi są jaroszami, a w czasach głodu o kurczakach można najwyżej pomarzyć.

– Wieprzowina jest lepsza – obwieścił Yuchun. – Tylko nie wygadaj moim przodkom, że tak powiedziałem. Są Hui. – Charakteryzujący lud Hui religijny zakaz spożywania świńskiego mięsa sprawiał, że ogarniętym istną obse-

sją na punkcie tego przysmaku południowcom wydawali się dziwolągami. – Wiesz? Myślę, że stać mnie na maciorkę lub nawet trzy. Jak myślisz, szczęśliwy mnichu, czy kiedy jutro Yuanowie wyróżną już was wszystkich, powinienem pojechać na twoim koniu na wybrzeże i otworzyć karczmę?

– Skoro taki masz plan, to ty powinienesz nam gotować – zauważyła dziewczyna. Skosztowała fasoli i skrzywiła się. – Uważasz, że przegramy?

– Mam nadzieję, że przegramy – sprostował Yuchun. – Żołdacy Yuanów nie skuszają się na taki nędzny dobytek jak wasz, więc cały dostanie się mnie. Wynik przeciwny nawet w przybliżeniu nie byłby dla mnie tak korzystny.

– Co ty nie powiesz? – rzuciła półgłosem Zhu.

Wbrew pełnej napięcia atmosferze radosnego wyczekiwania, jaką przybycie wrogiej armii wywołało w niemal całym obozie Czerwonych Turbanów, dziewczyna była coraz głębiej przekonana, że jeśli sama nic z tym nie zrobi, wynik starcia może być tylko jeden.

Płynąca z północy na południe Yao pełniła rolę kanału, którym wody jeziora rozlewającego się za majaczącą nad równiną tamą trafiały do większej Huai He, kierującej się z kolei ze wschodu na zachód. Obie rzeki tworzyły kąt prosty, strzegąc dostępu do Anfengu od północy i wschodu.

Łukowaty most, wzniesiony z kamienia jeszcze za czasów dynastii Tang, spinał brzegi Yao kawałek drogi poniżej tamy. Dalej za mostem Yao rozlewała się obficie, przechodząc w bagnistą deltę łączącą się z Huai He. Ponieważ w dolnym nurcie Yao była zbyt szeroka, by mogła ją przekroczyć jakkolwiek armia, a powyżej rozciągały się wody jeziora, most stanowił dla Yuanów jedyną możliwą przeprawę. Powstańcy w czerwonych turbanach przybyli na miejsce przed oddziałami przeciwnika i opanowali swoją stronę rzeki, dzięki czemu posiadali przewagę. Teraz jednak, gdy Zhu powiodła

spojrzeniem po spowitym w zmierzch przeciwnym brzegu, ujrzała blade smugi dymu z mongolskich ognisk, proste niczym kolumny tekstu na grobowej płycie. Gdzieś tam czekał generał eunuch. Być może nawet spoglądał w tej chwili w jej stronę. Ogarnęło ją nieodparte przeczucie, że zamiast wyglądać starcia jak młodzi żołnierze Czerwonych Turbanów, podobnie jak ona czuł w tej chwili lodowatą pewność, że bitwę zwieńczy zwycięstwo jego strony.

– Fasola potrzebuje jeszcze mniej więcej godziny. Może przypilnujesz kociołka, a nędzny mnich odda się modlitwie? – Zhu uciekła się do tradycyjnej już wymówki pozwalającej jej odłączyć się od obozu i zyskać nieco prywatności, jakże potrzebnej w pewnych sytuacjach. W ostatnich latach pobytu w klasztorze dysponowała własnym pokojem, dzięki czemu prawie nie musiała myśleć o swojej fizycznej odmienności. Obecnie, ponownie zmuszona uciekać się do rozmaitych wybiegów, cierpiała i wściekała się, widząc w tym stanie rzeczy kolejne przypomnienie o losie, jaki miał stać się jej udziałem, jeżeli nie dostąpi wielkości.

Yuchun niechętnie sięgnął po patyk, którym dziewczyna mieszała potrawę. Mimo że towarzyszył oddziałowi Zhu niemal bez przerwy, wciąż uważał się w ich obozie za gościa i z wielkimi oporami godził się wykonywać tak przyziemne prace.

– Nie sądzisz, że jeśli jakiś hu modli się właśnie, żeby dosięgła cię jego strzała, a ty z równym zacięciem modlisz się, żeby chybiła, to wasze modły powinny się wzajemnie znieść? – spytał.

– I co się wtedy według ciebie stanie? – Uniosła brew.

– Zastrzeli cię inny hu – odparł bez namysłu Yuchun.

– Skoro tak, to nędzny mnich pomodli się, żeby nie uderzyła go żadna wroga strzała. Ani miecz. Ani włócznia. – Urwała na moment. – Jak jeszcze można poleć?

– Ha! Myślisz, że zdołasz przedstawić niebiosom wyczerpującą listę? – rzucił chłopak. – Ech, mnichu, mnichu. Modlitwą przeznaczenia nie odwrócisz.

Dziewczyna strząsnęła z ramion cień, jaki osiadł na niej po uwadze złodziejaszka, i odeszła. Była Zhu Chongbą i czekała ją wielkość. W tej chwili musiała się przejmować jedynie tym, jak do tego doprowadzić. Opuściła obóz, załatwiła się, po czym ruszyła brzegiem ku zaporze i wspięła się nad jezioro. Z zawrotnie wysokiego zbocza po drugiej stronie jeziora spoglądały ku niej łagodnie wielkie posągi bodhisattwy, trzykrotnie wyższe od przeciętnego człowieka. Niebiosu czuwają, pomyślała z niepokojem dziewczyna. Według powtarzanej przez miejscowych legendy posągi należały do świątyni, która dawno temu osunęła się ze stoku i zatонуła w jeziorze, by stać się na dnie domostwem duchów lisów i innych zwierząt. Zhu, która nigdy nie widziała nie ludzkiej zjawy, od dawna żywiła poważne wątpliwości co do ich istnienia. Niemniej było w tej ciemnej, nieruchomej tafli wody coś, co sprawiało, że myśl ta nie wydawała się aż tak niedorzeczna.

Dziewczyna usiadła ze skrzyżowanymi nogami na wilgotnej ziemi i po raz kolejny zastanowiła się nad swoim dylematem. Najlepszym rozwiązaniem byłoby takie, które po prostu zapobiegłoby bitwie. Może gdyby w jakiś sposób zniszczyła most... Lecz cóż, łatwo powiedzieć. Kamienne dzieła budowniczych z czasów dynastii Tang ustępowały jedynie trzęsieniom ziemi, a ta konkretna przeprawa trwała niewzruszenie już pięć stuleci. Czy Zhu miała szansę przynajmniej ją naruszyć?

Przyjrzała się majaczącym w oddali posągom. Dopiero teraz zwróciła uwagę, że chyłą się nieco naprzód, jakby próbując podzielić się jakąś ważną nowiną. Czy wczoraj też były nachylone? Ledwie zadała sobie to pytanie, spostrzegła jeszcze jedną zmianę: gdzieś daleko w dole rozbrzmiewał

pomruk, tak niski i głuchy, że raczej go wyczuła, niż usłyszała, zupełnie jakby tarły o siebie kości samej ziemi. W chwili gdy zrozumiała, czym jest ten dźwięk, jej błędzący umysł zastygł zdjęty grozą i zarazem przepelniony ulgą. Znalazła rozwiązanie.

Od wielu długich lat Zhu za wszelką cenę starała się unikać zwracania uwagi niebios; nie chciała, by odkryły, iż przywłaszczyła sobie życie zmarłego brata. Trwanie w ukryciu równało się bezpieczeństwu, jakby była krabem chowającym się w pożyczonej muszli. To jednak sprawdzało się w niewielkim, uporządkowanym świecie klasztoru. Dzisiaj zrozumiała straszną prawdę, że osiągnięcie wielkości w świecie zewnętrznym stanowiło wyzwanie wykraczające poza zasięg indywidualnej ludzkiej woli. Bez wsparcia niebios po prostu nie mogła jej dostąpić. Aby dopiąć swego, musiała wezwać je na pomoc, ale tak, by odpowiedziały nie jej, lecz Zhu Chongbie: osobie, której same przeznaczyły wielkość.

Ledwie mogła oddychać. Rozmyślnie przykuwając uwagę sił wyższych, ryzykowała wszystko. Od bardzo dawna żyła jako Zhu Chongba, robiąc, co tylko mogła, by nawet przed sobą nie przyznawać się, iż jest kimś innym. Teraz jednak musiała nim po prostu zostać. Musiała uwierzyć, że jest nim tak głęboko, że kiedy niebiosa skupią na niej spojrzenie, ujrzą jednego tylko człowieka. Jedno przeznaczenie.

Czekał ją największy hazard w życiu. Jeśli jednak chciała dostąpić wielkości, musiała stanąć dumnie wyprostowana i po prostu ją sobie wziąć.

朱

Niebiosa dzieli od ziemi niemała odległość, więc aby zwrócić ich uwagę, dziewczyna potrzebowała odpowiedniego oprzyrządowania. Korzystając ze wskazówek Yuchuna, Zhu za-

prowadziła swojego konia na przeciwną stronę obozu, tam gdzie stały namioty starszych stopniem Czerwonych Turbanów. Odnalezienie poszukiwanej osoby nie przysporzyło większych kłopotów. Przed jednym z namiotów ujrzała skomplikowany system wiader, rozmieszczonych w ten sposób, że kapiąca miarowo woda przelewała się z jednego w kolejne i tak dalej. Ku wielkiemu zadziwieniu Zhu w pewnym momencie zamocowane nad jednym cebrzykiem pudełko otworzyło się zupełnie samo i wypadł z niego koralik, który sturlał się po drucianej prowadnicy i spadł na stos podobnych paciorków. Zegar wodny. Czytała o takich urządzeniach, lecz osobiście nie widziała jeszcze ani jednego: wydawało się magiczne.

Chwilę potem z namiotu wyszedł właściciel zegara i zmierzył ją surowym wzrokiem. Inżynier Jiao Yu nosił typową dla konfucjańskich uczonych rzadką i rozwichrzoną brodę, a na jego twarzy malował się grymas człowieka przeświadczonego, że otaczają go sami głupcy.

– Jesteś prawdziwym mnichem? – spytał ponuro.

– Dlaczego wszyscy zadają nędznemu mnichowi to samo pytanie?

– Może pamiętają, że prawdziwi mnisi składają śluby wzbraniające zabijania – odparł konstruktor. – A przy twoim boku kołysze się miecz – dodał i wyminął Zhu.

– To generał Guo zmusił nędznego mnicha do sięgnięcia po broń! – wytłumaczyła się Zhu, idąc krok w krok za Jiao, który podszedł do zaprzęzonego w osła wózka i zaczął szperać wśród zalegających na nim drewnianych i metalowych elementów. – Zagroził, że jeśli mnich nie zaciągnie się do wojska, każe zatknąć jego głowę na wale.

– To do niego rzeczywiście podobne – burknął inżynier. – Robił już o wiele głupsze rzeczy niż skrócenie o głowę duchownego. Weźmy na przykład sprowadzenie nas nad tę rze-

kę, gdzie mamy się zetrzeć z dwukrotnie liczniejszymi i pięć razy lepszymi wojskami hu.

– Wszyscy poza tobą są pewni, że jutro czeka nas zwycięstwo – zauważyła dziewczyna.

– Wszyscy poza mną są idiotami! – skwitował zwięźle Jiao. – Wspaniale, że przypadł nam mandat, ale w realnym życiu wolę jednak ufać doświadczonym oficerom i przewadze liczebnej, niż liczyć na zsyłane z niebios cuda.

Zhu parsknęła śmiechem.

– Żal, że w naszych szeregach nie ma więcej tak pragmatycznych myślicieli. Cóż, inżynierze Jiao, jeżeli niepokoi cię jutrzejsze rozstrzygnięcie, mam pewną propozycję. Zgodzisz się chyba, że twoje szanse na przetrwanie wzrosłyby wydatnie, gdybyś miał pod ręką wierzchowca? Domyślam się, że kiedy tacy jak ja bezwartościowi zjadacze ryżu pójdą się bić, ty pozostaniesz w obozie. Jeżeli jednak Yuanowie zwyciężą – dziewczyna uniosła wymownie brwi – będziesz potrzebować możliwości wykonania taktycznego odwrotu.

Jiao obrzucił ją ostrzejszym spojrzeniem. Prawidłowo go oceniła: nie miał zamiaru trwać na posterunku, jeśli batalia nie przebiegnie po myśli powstańców. Zerknął na konia, po czym ponownie zawiesił wzrok na Zhu i dłuższą chwilę milczał.

– Skąd wzięłeś bojowego konia hu?

– Jestem pewien, że to stworzenie z równą ochotą skoczy w ogień walki jak w kierunku przeciwnym – odparła dziewczyna wymijająco. – Ja sam nie umiem jeździć. Ty jednak wydajesz się człowiekiem ogromnej wiedzy, zapewne wywodzącym się ze znamienitego rodu. Jestem pewien, że potrafisz utrzymać się w siodle. W zamian za konia oczekiwałbym, że coś dla mnie zrobisz.

Konstruktor wysłuchał instrukcji Zhu i zaniósł się ponurym śmiechem.

– Tylko mnich mógł wymyślić coś równie bezużytecznego. Niemniej da się to zrobić. Tylko czy jesteś pewien, że tego właśnie chcesz? Na twoim miejscu poprosiłbym o broń.

– Mam już miecz, którym nie potrafię władać – przypomniała Zhu i przekazała inżynierowi końskie wodze. – Za to na modlitwie nędzny mnich zna się całkiem dobrze.

Odchodząc, dziewczyna usłyszała w głowie przemądrzałe proroctwo Yuchuna: modlitwą przeznaczenia nie odwrócisz.

Może za to, odpowiedziała w duchu, dzięki modlitwie zdobędzie nowe przeznaczenie.



Kiedy ludzie Ouyanga skończyli rozbijać obóz, zapadł już zmrok. Generał udał się do jurty Esena i stamtąd już razem wybrali się konno w okolice mostu, by oszacować siły przeciwnika. Jaśniejące za wodą ogniska Czerwonych Turbanów układały się wśród wzgórz w długie linie, niczym płomienie stepowych pożarów. Refleksy światła obu obozowisk odbijały się w chmurach i srebrzyły grzbiety czarnych, sunących pod mostem fal.

– Czyli tak lubi wojować ten ich nowy generał – odezwał się Esen. – Bezpośrednia konfrontacja. Wszystko albo nic. – Kiedy się uśmiechał, jego wargi rozciągały się bardzo nieznacznie, marszczyły się jedynie oba ich kąciaki. Z jakiegoś powodu Ouyang zawsze zwracał uwagę na ten szczegół. – Jego serce bije podobnie do mojego.

– Nie ubliżaj sobie – odparł Ouyang, który otrzymał już od wywiadowców wyczerpujące informacje na temat omawianej osoby. – Główną zaletą tego człowieka jest fakt, że jest synalkiem ich tak zwanego ministra prawej strony. Nazywa się Guo Tianxu, ma dwadzieścia dwa lata i wedle wszelkich doniesień jest skończonym durniem.

– Ach, cóż, trudno, się mówi. – Esen parsknął śmiechem. – Miał jednak dość rozumu, żeby wybrać na bitwę to właśnie miejsce. Dla nich to korzystna pozycja. Zmuszają nas do walki o most, przez co nasza przewaga liczebna traci na znaczeniu, a w dodatku nie możemy skorzystać z jazdy. W jeden dzień ich nie pokonamy, to pewne.

– Wygralibyśmy, nawet przypuszczając frontalny atak – oznajmił Ouyang.

Jasne kamienne łuki mostu zdawały się szybować przed nimi w ciemności, co potęgowało złudzenie, że przeprawa ciągnie się w nieskończoność. Także praktycznie nastawieni ludzie, a za takiego uważał się generał eunuch, musieli docenić konstrukcję jako jedno z najwspanialszych osiągnięć dawno wygasłej tubylczej dynastii. Ouyang poczuł dreszcz, który przebiegł mu powoli w górę i w dół kręgosłupa. Może to płynąca w jego żyłach krew nanrenów zareagowała na historyczną wagę tego miejsca. Zastanowił się – mógł przecież w poprzednim wcieleniu ten most przekraczać. Kto wie? Mógł go nawet budować własnymi rękoma. Myśl, że jego wcześniejsze życia były lepsze od obecnego, wydawała się kusząca, lecz doszedł do wniosku, że prawda musi wyglądać inaczej. Czymś przecież zasłużył sobie na karę w postaci tego wcielenia.

– Czyli zdecydowałeś się na to drugie podejście?

– Za pozwoleniem mojego pana. – Myśląc o moście, Ouyang stracił resztki i tak umiarkowanego entuzjazmu do podjęcia przeciągłej batalii, na co liczyli buntownicy. – Zwiadownicy odkryli mocny fragment brzegu, mniej więcej tuzin li w dół rzeki. Twierdzą, że grunt pozwoli tam przejść dwóm batalionom, nie zmieniając się przy tym w bagnisko.

Stratedzy Czerwonych Turbanów zakładali, że poniżej mostu rzeki nie da się przekroczyć. Yao była szeroka, a w najgłębszym miejscu jej fale mogły nakryć stojącego człowieka.

ka. Buntownicy jednak byli nanrenami, wywodzili się z rasy osiadłej. Gdyby mieli wśród swoich dowódców Mongołów, wiedzieliby, że pokonać w bród można dowolną rzekę. Kwestia determinacji. Tudzież nieliczenia się z życiem ginących przy okazji żołdaków.

– Warunki nie są sprzyjające. – Esen miał na myśli deszcz, przez które Yao wezbrała, a jej nurt przyspieszył. – Ile czasu będą potrzebować te oddziały, żeby zająć pozycje na flance wroga?

Ouyang zastanowił się nad odpowiedzią. Gdyby nie deszcz, przeprawiłby tych ludzi jeszcze nocą. W obecnej sytuacji...

– Wydam rozkaz o brzasku. Wcześniej groziłyby nam zbyt poważne straty. Staną na miejscu z nastaniem godziny węża, w połowie między świtem a południem. Bitwa będzie już wtedy w toku, ale niezbyt długo.

– Wiesz, że od czasu do czasu lubię się rozruszać – rzucił Esen. Grube niedomówienie: kochał walczyć. Nieznacznie przymrużył oczy. – Zabawimy się tu z nimi, czekając, aż oddziały na skrzydle przekroczą rzekę, a potem rozstrzygniemy bitwę. Ach, żal, że wszystko skończy się tak szybko! Cóż, będzie trzeba smakować każdą chwilę.

Mimo że oblicze Esena pozostało gładkie i symetryczne jak u posągu, emocje wezbrały w nim zbyt mocno, by pozostać w ukryciu. Ouyang zawsze czuł w sercu drgnienie, widząc swego pana w takim stanie: promieniejącego na myśl o rychłej rozkoszy, wyraźnie czującego, jak w żyłach budzi się krew przodków, wojowniczych nomadów wielkiego stepu. Była to emocja tak czysta, że wzbudzała w generale zazdrość. Sam nigdy nie potrafił zatracić się w rozkoszy w sposób tak prosty i niewinny jak Esen. Przyjemność chwili psuła mu sama świadomość, że moment przeminie – że kiedy stanie się wspomnieniem, utraci całą swą słodycz i wyrazistość.

– Tak, mój panie – powiedział, czując ukłucie za mostkiem.

朱

Dowódcy zbudzili Zhu i resztę Czerwonych Turbanów jeszcze przed świtem. Padł rozkaz zajęcia pozycji na przyczółku. Yuchun zniknął bez słowa pożegnania, dziewczyna uznała, że Jiao postąpił identycznie. Mimo ogromu zaufania, jakie żołnierze pokładali w Księżu Światłości i jego mandacie, wczorajsza ekscytacja przygasła do poziomu niespokojnego wyczekiwania. Wybrzuszony przęsło mostu unosiło się przed nimi ponad czarną wodą i znikало w ciemności.

Zhu czekała, wypuszczając z ust drżące obłoczki oddechu. Błady zimowy brzask wkradł się na niebo od strony wysokich brzegów jeziora i odpędził mrok majaczący po drugiej stronie przeprawy. Ujrzeni stojące za mostem szeregi żołnierzy. Coraz silniejsze z każdą chwilą światło dnia ukazywało co mgnienie kolejny rząd sylwetek. Coraz dalej i dalej, aż wreszcie zobaczyli wyraźnie, że formacje identycznych zakutych w ciemne zbroje piechurów pokrywają cały brzeg.

Na czele tej potężnej armii stał siedzący na wierzchołku człowiek. Jego pancerz wchłaniał promienie słońca, które odbijały się jedynie od ostrych krawędzi. Związane na kształt obręczy warkocze przypominały rozpostarte skrzydła ćmy. A pomiędzy nim a wojskiem stały zjawy, cały hufiec umarłych. Generał eunuch.

Więź ożyła w Zhu wibracją tak gwałtowną, że z bólu zaparło jej dech w piersiach. Zatoczyła się lekko i gniewnie oddepchnęła od siebie zarówno ból, jak i poczucie bliskości. Nie, nie była taka jak on. Ani teraz, ani nigdy wcześniej. Była Zhu Chongbą.

Pozostali żołnierze Czerwonych Turbanów, którzy w poprzednich starciach zawsze ustępowali pod naporem Yuanów, by zmierzyć się z nimi kiedy indziej, zdali sobie znienacka sprawę, że oto niebawem rozpocznie się bitwa, którą zakończy dopiero decydujące zwycięstwo jednej ze stron. I nagle, patrząc na stojącą za mostem armię Mongołów, zrozumieli, że nie będzie to ich strona.

Zhu wyraźnie wyczuła moment, w którym stracili wiarę. Gdy wśród otaczających ją piechurów rozeszła się fala jęku, zerknęła w górę, w kierunku jeziora, skąd przyglądały się obu armiom uśmiechnięte, skryte w cieniu oblicza posągów bodhisattwy. Zaraz potem przecisnęła się pomiędzy szeregiem powstańców i weszła na most.

Dowódca jej oddziału zareagował jedynie krótkim, rwanym okrzykiem.

Chłód kamienia przenikał słomiane podeszwy sandałów dziewczyny. Czuła przytroczony do pleców ciężar i drobniutkie igielki lodowatego powietrza drażniące jej płuca i nozdrza. Cisza wydawała się dziwnie krucha. A może to ona sama była krucha, delikatna, zawieszona w chwili pomiedzy. Każdy krok stanowił sprawdzian jej odwagi i pragnienia wielkości, był testem decydującym o tym, czy godna jest zostać Zhu Chongbą. Chcę! – myślała Zhu i żądza wypełniła jej żyły tak gwałtownie, że jedynie cudem krew nie buchnęła jej z nosa. Ciśnienie narastało, stało się niemal nieznośne, miazdżyło obawy i wątpliwości, formując z ich gorącej masy czystą, palącą wiarę. Jestem Zhu Chongbą i jest mi przeznaczona wielkość! – wołała w duchu.

Dotarła na środek mostu i usiadła. Przymknęła oczy i zaczęła śpiewać.

Z piersi dziewczyny dobył się głos czysty i wyraźny. Echo kolejnych słów składało się w wachlarz, aż wreszcie brzmiało to jak zaśpiew tysiąca mnichów. W miarę jak kolejne

warstwy nakładały się na siebie, Zhu wyczuła w powietrzu nieziemskie drżenie, podobne do manifestującej się poza ciałem grozy. Delikatne włoski na przedramionach stanęły jej dęba.

Zawołała i niebiosą słuchały.

Wstała z kamienia i zsunęła z pleców gong. Uderzyła i dźwięk poniósł się daleko ponad jeziorem. Czy posągi nachyliły się ku niej jeszcze bardziej? Czy nadstawiły ucha?

– Chwalmy Księcia Światłości! – zawołała i powtórnie odezwał się dźwięczny metal. – Niech nam panuje dziesięć tysięcy lat!

Kiedy uderzyła w gong po raz trzeci, Czerwone Turbany wyrwały się z odrętwienia. Powstańcy ryknęli i zaczęli tupać jak przed obliczem samego Księcia Światłości, tak mocno, że zadygotał sam most i ściany wąwozu rzeki.

Jedyną reakcją generała eunucha było uniesienie ręki. Rozmieszczeni za jego plecami łucznicy napięli cięciwy. Zhu oglądała to jak we śnie. W duszy miała już tylko idealną, czystą jasność wiary i pragnienia. Korzeniem wszelkiego cierpienia jest żądza. Im śmielsze pragnienie, tym cierpienie bardziej okrutne, a teraz łaknęła wielkości. Całą mocą swej woli posłała niebiosom i przyglądającym jej się posągom jedną jedyną myśl: jeśli będzie trzeba, zniosę najstraszniejsze katusze.

Jakby w odpowiedzi, drżące powietrze zgęstniało. Czerwone Turbany umilkły, a szeregi Yuanów zachwiały się, przez co ich uniesione w pogotowiu strzały zafalowały niczym las na wietrze.

Zbocze, na którym stały posągi, runęło. Nasiąknięte deszczówką, poruszone wibracjami powstańczego tupotu i okrzyków, wyzwolone przez same niebiosą w odpowiedzi na prośbę Zhu Chongby. Do wtóru przeciągłego cichego grzmotu drzewa, skały, rzeźby i gleba osunęły się do jeziora w ślad za

starożytną świątynią. Zaraz potem ciemna toń zamknęła się nad tym wszystkim na powrót i znieruchomiła. Na moment zapanowała cisza.

Pierwszy człowiek, który to zauważył, wydał z siebie zduszony okrzyk. Skala zjawiska była tak gigantyczna, że wydarzenia zdawały się rozgrywać w zwolnionym tempie: czarna tafla jeziora zaczęła się podnosić. Wielka fala sprawiała wrażenie stojącej w miejscu. Można było pomyśleć, że to nie ona narasta, lecz kurczy się jaśniejące nad nią niebo. Woda wspięła się na strome zbocze. Wszystko spowił lodowaty cień i Zhu usłyszała jej głos: wstrząsający ziemią ryk rozgniewanego żywiołu. Fala przerosła ścianę zapory, załamała się i runęła w dół.



Świat na mgnienie zastygł. Ryk wody usunął wszystkie inne odgłosy. Ouyang i mnich patrzyli prosto na siebie. Generał poczuł przeszywający ból – wibrację, która osadziła go w miejscu tak, jak drgająca włócznia unieruchamia trupa. Groza, pomyślał. Gdy zrozumiał, czego dokonał duchowny, ogarnęło go czyste, niezmącone przerażenie. Cierpiący, upokorzony, zrozumiał, że mnich wyczytał to wszystko z jego twarzy.

Jęknął, otrząsnął się z nieprzyjemnego doznania, zawrócił konia i... uciekł.

Wszędzie dokoła pędzili jego ludzie, byle dalej od brzegu i wielkiej czarnej fali spływającej z hurgotem z jeziora. Ouyang i jego koń z trudem wdrapali się na ubite wzniesienie. Na szczycie odwrócił się ku rzece. Mimo że miał pewne pojęcie, czego się spodziewać, przez długi czas mógł jedynie gapić się tępo przed siebie. Zniszczenie było całkowite. Tam, gdzie wcześniej wisiał most, sunęła masa brązowej wody, się-

gająca dwakroć wyżej niż kilka chwil temu. Nieco dalej w dół koryta dziesięć tysięcy piechurów i kawalerzystów Ouyanga bądź właśnie przeprawiało się przez rzekę, bądź tłoczyło tuż nad wodą, czekając na swoją kolej. W tej chwili już nie żyli. Nie miał złudzeń.

Wstręt, wstyd i gniew uderzyły go coraz gorętszymi falami. Gniew, gdy wreszcie się pojawił, przyniósł ze sobą ulgę. Był najczystszy i najbardziej gorący z uczuć; wypłukał Ouyanga, oczyścił go ze zlogów wszelkich innych emocji.

Wciąż jeszcze wpatrywał się w rzekę, gdy podjechał do niego Shao.

– Generale! Tutaj sytuacja została opanowana. Co do pozostałych... – Mająca w cieniu hełmu twarz zastępcy była śmiertelnie blada. – Być może przeżyła część tych, którzy zdążyli dotrzeć na drugi brzeg przed uderzeniem fali.

– Co możemy dla nich zrobić teraz, kiedy nie ma już mostu? – warknął Ouyang. – Lepiej, żeby utonęli wraz z końmi i sprzętem, niż mieliby wpaść w ręce buntowników...

Momentalna strata dziesięciu tysięcy ludzi była największą klęską, jaka spotkała tę armię od pokolenia lub nawet dłużej. Ouyang pomyślał o szoku i zawodzie Esena, o wściekłości księcia Henanu. Zamiast jednak ulec lękowi, poczuł jedynie jeszcze bardziej gorący płomień gniewu. Powiedział kiedyś mistrzowi klasztoru Wuhuang, że jego los jest tak straszny, iż nic nie może dodatkowo zaszkodzić jego przyszłości. Dziś, mimo że doznał właśnie najpoważniejszego zawodowego niepowodzenia w życiu i wiedział, iż kara go nie minie, był pewien, że tamte słowa wciąż są prawdziwe.

Mimowolnie wydał z siebie gardłowy odgłos, warknięcie raczej niż śmiech. Kierując konia z dala od rzeki, wychrypiał:

– Muszę znaleźć wielmożnego Esena. Zbierz dowódców i wydaj rozkaz odwrotu.





polub nas
na Facebooku

**Kliknij i przejdź do sklepu,
by kupić książkę**



swiatksiazki.pl



Shelley Parker-Chan

Azjatycko-australijska była dyplomatka oraz doradczyni ds. rozwoju międzynarodowego.

Spędziła prawie dekadę, pracując nad prawami człowieka, równością płci i prawami osób LGBT w Azji Południowo-Wschodniej.

Nazwana na cześć angielskiego poety romantycznego, dorastała w domu wypełnionym książkami. Została wychowana na klasyce literatury: mitach greckich, legendach arturiańskich i chińskich opowieściach o cierpieniu oraz tragicznych romansach. Wszystkie te inspiracje doskonale wykorzystała w swojej debiutanckiej powieści *Ta, która stała się słońcem*.

W 2017 roku otrzymała stypendium Otherwise (Tiptree) za wykorzystanie narracji spekulatywnej do poszerzenia rozumienia płci.

Obecnie mieszka w Melbourne w Australii wraz z rodziną.



nagroda
ASTOUNDING
2022

FINALISTKA
NAJLEPSZY
NOWY PISARZ



nagroda
HUGO
2022

FINALISTKA
NAJLEPSZA POWIEŚĆ



nagroda
GOODREADS
CHOICE
2021

NOMINACJE
NAJLEPSZA POWIEŚĆ
FANTASY
oraz
NAJLEPSZY DEBIUT



nagroda
STABBY
2021

ZWYCIĘŹCZYNI
NAJLEPSZY DEBIUT



nagroda
LOCUS
2022

NOMINACJA
DEBIUT ROKU



nagroda
BRITISH
BOOK
AWARDS
2022

FINALISTKA
POWIEŚĆ ROKU – DEBIUT



nagroda
LAMBDA
AWARDS
2022

FINALISTKA
TRANSGENDER
FICTION

DYLOGIA ^{TOM} 1 ŚWIETLISTY CESARZ

1345
ROK

*Zemsta
nic nie zmienia.
To, co utracone, pozostanie
stracone na zawsze.*

Przepowiedziano jej nicość. Miała umrzeć z głodu w pyle rolniczej prowincji, zapomnianej przez bogów i ludzi. Jednak żar przepełniający jej duszę, niepowstrzymane pragnienie życia, popchnął ją do walki. Skryła się za imieniem zmarłego brata i mając nadzieję, że niebiosa nie zauważyły oszustwa, ruszyła spełniać jego przeznaczenie. Przeznaczenie pełne bólu i wielkości. I choć wielkość przypadnie imieniu Zhu Chongba, to cały ból będzie musiała znieść osoba ukryta w skórze młodego mężczyzny.

Oto historia, w której „wielkość” może oznaczać cokolwiek, a drogi do niej pełne są cierpienia, złamanych ślubów i wyborów, jakich nikt nie powinien dokonywać. Nie ma jednak ceny, której Zhu nie zapłaci za nakarmienie płonącego w niej ognia – dzięki, nieokielznanej żądzy życia.

Książka wspaniała pod każdym względem. Wojna, pożądanie, zemsta, polityka - Shelley Parker-Chan z wielką precyzją i znawstwem stworzyła mieszankę wszystkich tych elementów, kreując queerową epopeję historyczną. *Ta, która stała się słońcem* jest powieścią, której, podobnie jak Zhu, przeznaczona jest wielkość.

Samantha Shannon

Działający na wyobraźnię, niezwykle sugestywny i rozdzierający serce debiut literacki Parker-Chan jest arcydziełem opowiadającym o wojnie, miłości i tożsamości... Ta powieść dźgnęła mnie sztyłem w pierś, a następnie posypała ranę solą i podpaliła.

S.A. Chakraborty

Ta książka rozjedzie was niczym walec i jeszcze jej za to podziękujecie.

Alix E. Harrow